nr 3 | 2018 | Kraków
cena 10 zł (w tym 5% VAT)
ISSN 2544-8447
www.czasliteratury.pl

czas LITERATURY

ISSN 2544-8447 09>

AGATA DĘBICKA 2018

DALIA **STAPONKUTĖ** | NAGRODA IM. **SZYMBORSKIEJ** | TYEHIMBA **JESS**
MARIAN **PILOT** | OLGA **TOKARCZUK** | JOSEF **ŠKVORECKÝ** | JIŘÍ **GRUŠA**
ELFRIEDE **GERSTL** | DION **CHRYZOSTOM** | WILLIAM BUTLER **YEATS**

wydawnictwo
C-KEW

EUROPEAN UNION
PRIZE FOR LITERATURE

Inga Žolude
Ukojenie dla drzewa Adama

–

NAGRODA LITERACKA
UNII EUROPEJSKIEJ 2011

KSIĄŻKI DOSTĘPNE W NAJLEPSZYCH KSIĘGARNIACH ORAZ SKLEPIE INTERNETOWYM WWW.KEW.ORG.PL

New Eastern Europe
Nowa Europa Wschodnia
Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego

w tym czasie

JESTEŚMY WSPÓLNOTĄ PRZEDE WSZYSTKIM LITERACKĄ
Z **Rasą Rimickaitė** rozmawia Jacek Hajduk | 2

DESZCZ KONTRA SŁOŃCE
Eseje **Dalii Staponkutė** | 6

NAGRODA SZYMBORSKIEJ
Wiersze i komentarze **Bonowicz, Hansén, Malek, Podgórnik, Witkowska, Fiedorczuk** | 10
DOŚWIADCZENIE DUCHOWOŚCI TU I TERAZ
Z **Julią Fiedorczuk** rozmawia Paulina Małochleb | 22
MOJA GŁOWA DOJRZEWAŁA NA GRANICY JĘZYKÓW
Z **Justyną Czechowską** rozmawia Paulina Małochleb | 23

PREZENTACJA
Wiersze **Kinga Piotrowiak-Junkiert** | 25

BOHATER CZASU
GŁOSY I LUDZIE
Z **Tyehimbą Jessem** rozmawia Anna Marchewka | 26

W GRANICACH I POZA GRANICAMI
POLA GRY **Elfriede Gerstl** | 32
NA ZEWNĄTRZ ŻYCIE JEST KOLOROWE
Amanda Michalopoulou | 36
NO PASARÁN **Marian Pilot** | 40
PODRYWACZE **Anna Nasiłowska** | 42

W STRONĘ INNYCH FORM
ACHAT ILĪ – SIOSTRA BOGÓW **Olga Tokarczuk** | 46
UOPERZYĆ PROZĘ
Z **Olgą Tokarczuk** rozmawia redakcja | 55

MIEJSCA WSPÓLNE: CZECHY
Wiersze **Václav Burian** | 57
ZWYCZAJNY TYDZIEŃ KVĚTOSLAVA PRSKA
Josef Škvorecký | 58
OŁOMUNIEC – KONIEC MAJA **Krzysztof Lisowski** | 63
POCHWAŁA STEREOTYPÓW **Jiří Gruša** | 65

WIERSZE NA MURACH | 66

PISARZ W PRACY
DEMENTI **Jerzy Franczak** | 67
NIKT NIC NIE **Maciej Miłkowski** | 69
KŁOPOTY **Anna Nasiłowska** | 71

TŁUMACZ W PRACY
DZIECKO PORWANE
O JEDNYM WIERSZU WILLIAMA BUTLERA YEATSA
Aleksandra Wieczorkiewicz | 73

WSPOMNIENIE
VLASTA DVOŘÁČKOVÁ **Daniela Léharova** | 80

WSCHODY
BABCZENKO **Jacek Wojciechowski** | 81
INNE HISTORIE **Kamil Pecela** | 83
Wiersze **Vladas Braziūnas** | 86

ŹRÓDŁA KULTURY
Mowy **Dion Chryzostom**
pod redakcją Ariadny Masłowskiej-Nowak | 88

O KSIĄŻKACH
Elfriede Gerstl, *W ukryciu*; Linda Vilhjálmsdóttir, *Wolność*
Anna Marchewka | 94

CZAS LITERATURY | KWARTALNIK
nr 3 | październik 2018 | Kraków | cena 10 zł (w tym 5% VAT)
ISSN 2544-8447
www.czasliteratury.pl
www.facebook.com/CzasLiteratury
kontakt: **czas.literatury@biblioteka.krakow.pl**
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków

Redakcja nie odpowiada za poglądy autorów i zastrzega sobie prawo do publikowania artykułów, z których treścią się nie zgadza, oraz do skracania i redagowania nadsyłanych materiałów, także bez konsultacji z autorami.
Ponadto informuje, że dokłada wszelkich starań, by żadne prawa, w tym prawa autorskie, nie zostały nadużyte. W razie jakichkolwiek pytań, wątpliwości bądź sugestii prosimy uprzejmie o kontakt mailowy.

redaktor naczelny:
Jacek Hajduk | jacek.hajduk@biblioteka.krakow.pl
sekretarz redakcji:
Jan Burnatowski | jan.burnatowski@biblioteka.krakow.pl
opracowanie graficzne i skład: **Agata Dębicka**
zespół redakcyjny:
Stanisław Dziedzic, Szymon Kloska, Wojciech Ligęza, Krzysztof Lisowski, Jadwiga Malina, Anna Marchewka, Janusz Paluch, Aleksandra Wieczorkiewicz, Michał Zabłocki
korekta: **Katarzyna Pawlik**
wydawca: **Biblioteka Kraków**
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków

Kraków
Biblioteka Kraków
KRAKOW UNESCO CITY OF LITERATURE

druk: **Drukarnia KOLUMB** ul. Kaliny 7,
41-506 Chorzów, www.drukarniakolumb.pl

Z Rasą Rimickaitė
rozmawia Jacek Hajduk

Jesteśmy wspólnotą przede wszystkim literacką

Rasa Rimickaitė | absolwentka Uniwersytetu Wileńskiego i Szkoły Nauk Społecznych przy IFIS PAN, historyk literatury i teatru, kulturolog. Od roku 2012 Attaché Kulturalny Republiki Litewskiej w RP.

Jacek Hajduk: Wybacz, zacznę bardzo ogólnie. Ciekawi mnie, jak (albo czy) polska literatura jest obecna na północy nam najbliższej, w Litwie? Czy jest to obecność podobna do tej, jaką obserwujemy u naszych sąsiadów wschodnich? Jeśli tak, to w jakim kierunku idzie zainteresowanie: klasyka czy autorzy najnowsi? I może jeszcze: jak oceniasz jakość przekładów? Jakie widzisz tu perspektywy?

Rasa Rimickaitė: Kiedyś była taka słynna piosenka Marka Bernesa *Я вам не скажу за всю Одессу*, czyli *Ja wam nie odpowiem za całą Odessę*. Nie wiem, jak jest u wschodnich sąsiadów Polski, mogę się tylko domyśleć, że jest dobrze. Tak samo jak u sąsiada północnego, czyli w Litwie, gdzie literatura polska była obecna od zawsze.

Przypominam sobie biblioteki moich kochanych, niestety już nieżyjących, rodziców i dziadków. U dziadków był i Mickiewicz i Słowacki, po polsku, ale też i dziewiętnastowieczne wydania Dostojewskiego i Puszkina po rosyjsku, i Byron po angielsku, i wiele innych książek w różnych językach, także po litewsku. Natomiast w naszym domu większość książek była już tylko po litewsku. Pamiętam, że kiedy w dzieciństwie stawałam przed ogromną biblioteką moich rodziców i przelatywałam oczami przez okładki tomów, zastanawiając się, w jaki świat by tu teraz zanurkować, zawsze moją uwagę przyciągała książka z bardzo ładną okładką i tytułem *Lėlė* (*Lalka*), a ręce mojego brata wyciągały się po *Faraona* Bolesława Prusa. Nie ma co ukrywać: wówczas te książki nas nie zachwyciły, bo niewiele z nich rozumieliśmy. Przecież byliśmy jeszcze na etapie *Trzech muszkieterów* i *Karslona, który mieszka na dachu*. Czytało się wtedy bardzo dużo, jak leci, często więc stawaliśmy przed półkami tego całego „wojska poetów", jak powiadał Osip Mandelsztam, i oglądaliśmy mundurki książek. Pamiętam więc litewskie wydania *Chłopów* Reymonta i *Potopu* Sienkiewicza, Kraszewskiego i serię „Literatury Światowej", a w niej Mickiewicza i Słowackiego. No i pamiętam, że mój tata wieczorami w kuchni namiętnie czytał po litewsku – dopiero co wydanych Joannę Chmielewską oraz Stanisława Lema. Ja w moich latach szkolnych przeczytałam po litewsku tylko *Opowiadania polskie* (wolałam *Opowiadania serbskie*, a szczególnie *Zły sen* Branislava Nušića), no i kryminały Chmielewskiej (tu zgadzałam się z ojcem, że są tak fajne, iż warto zaryzykować, bo nawet jeśli wrócą zapaćkane jajecznicą, oblane tanim winem czy uszkodzone, to jednak tą wspaniałą literaturą trzeba się dzielić). Opowiadam te historie, bo chyba podobnie było w każdym domu, w którym się czytało.

W latach szkolnych o Polsce i Polakach nie wiedziałam nic. Obowiązkową lekturą szkolną był Mickevičius, ale był w dziale Romantyzm, obok Byrona i Lermontowa, nie w dziale Literatura litewska. Pamiętam, że nauczycielka historii, która w szkole sowieckiej Litwy nieskutecznie nas indoktrynowała opowieściami o Wojnie Ojczyźnianej, wspominała coś o unii polsko-litewskiej. No ale szkoła sowiecka tak skutecznie obrzydziła nam historię, że z wielką łatwością zostawało się jednocześnie i punkiem, i kosmopolitą, włóczęgą po tylko wyobrażonych, bo przecież nieosiągalnych, ale jakże prawdziwych piramidach, morzach, górach, dolinach (co nam tam unie!). Papież, Wałęsa. Tak, tak, coś tam się słyszało. Priorytety były inne – egzystencjaliści, literatura iberoamerykańska, wcześniej zabroniony Sołżenicyn i Szałamow, filmy-kiedyś-pułkowniki, ale ważne były też bieżące wypadki, tu i teraz, czyli w ostatnie lata mojej szkoły i pierwsze lata studiów na Uniwersytecie Wileńskim, w przededniu pacyfikacji ludności litewskiej pod wileńską wieżą telewizyjną i w innych częściach miasta w 1991 roku. Dopiero po przyjeździe do Polski zaczęłam się uczyć języka i kultury polskiej oraz czytać polską literaturę.

Zgłębiłam polską kinematografię, dowiedziałam się, że kiedy „ja nie mam nic, ty nie masz nic, on nie ma nic, to razem właśnie mamy tyle, w sam raz tyle, żeby założyć wielką fabrykę"; dowiedziałam się, że jeśli „mądry, ale niepewny, to jest Polakiem"; poznawałam polskich aktorów i reżyserów, filmowych i teatralnych, słuchałam polskiej muzyki, pokochałam Góreckiego i Kilara, Chopina i Szymanowskiego, poznawałam malarzy: Matejkę, Witkacego, Abakanowicz, Kantora, Wróblewskiego, Nowosielskiego, dowiadywałam się o Łemkach i o akcji Wisła, słuchałam o „niepodległości bez cenzury", wiedziałam o Marcu 1968, o *Dziadach* Dejmka, o przystojnym kardynale Wyszyńskim, o Wojtyle, o Popiełuszce i Maksymilianie Kolbe, poznawałam kabarety Dudek i Starszych Panów. Krótko mówiąc: głęboko weszłam w polską kulturę.

Poznawałam więc naród, w którym „od lat blisko stu każda książka wychodzi za późno, a każdy czyn za wcześnie", oraz wszystkich umarłych, z którymi Polska poszła do Europy, nie tylko w języku polskim, lecz także dzięki tłumaczeniom na język litewski. No i poznałam tych, którzy mi to umożliwili – wspaniałych tłumaczy literatury polskiej na język litewski. Podziwiałam naszych niestrudzonych tłumaczy: Irenę Aleksaitė (m.in. Gombrowicza), Vytasa Dekšnysa, Almisa Grybauskasa (m.in. Miłosza), Vyturysa Jarutisa (m.in. Tokarczuk i Pilcha), Birutę Jonuškaitė (m.in. Dehnela, Rusinka, Krall, Korczaka), Algisa Kaledę, wielkiego promotora literatury polskiej w Litwie i tłumacza Szymborskiej, Kazysa Uscilę (m.in. korespondencji Giedroycia i Miłosza). Uczyłam się tłumaczenia od naszych litewskich poetów: Vytautasa V. Bložė, Sigitasa Gedy, Justinasa Marcinkevičiusa, Tomasa Venclovy, Eugenijusa Ališanki, Kornelijusa Platelisa i wielu innych, tłumaczących na język litewski twórczość poetów i pisarzy polskich, zaczynając od Norwida i Mickiewicza, a kończąc na Świetlickim i Natalii Malek.

Dzisiaj więc po litewsku możemy przeczytać wielu ze wspaniałych współczesnych polskich autorów. Ale także wielkie osobistości kultury polskiej: Kołakowskiego, Baumana, Kłoczowskiego, Modzelewskiego czy Wodzińskiego, również Tischnera. Chciałabym tu wymienić jedną z najważniejszych ostatnio pozycji – wielkie dzieło profesor Małgorzaty Omilanowskiej *Nadbałtyckie Zakopane. Połąga w czasach Tyszkiewiczów* (w przekładzie Vyturysa Jarutisa). Dumna jestem z litewskiego przekładu biografii Czesława Miłosza pióra Andrzeja Franaszka (Vytas Dekšnys). Czy wszystkie te wspaniałe tłumaczenia się czyta? Czy jest zainteresowanie polską literaturą? Chyba jest tak, że zależy, gdzie przyłożymy ucho. Jeśli mówimy o ludziach czytających, ciekawych świata, ale też chcących poznać najbliższego sąsiada (w przyszłym roku będziemy obchodzić 450 lat Unii Lubelskiej, która trwała ponad 200 lat), to tak, czytają, cytują. Polscy poeci i pisarze są zawsze zapraszani na litewskie festiwale poezji, na targi książki, na spotkania z czytelnikami. Jestem pod ogromnym wrażeniem, jak Polacy wspierają swoją literaturę i jej tłumaczenia na obce języki, w tym litewski, jak fantastycznie pracuje Instytut Polski w Wilnie, promując polskich autorów w Litwie.

A więc, moim zdaniem, są powody, żeby wierzyć, iż dzisiaj w Litwie znajdziemy nie jeden dom, w którym ktoś tak samo jak ja kiedyś stoi przed ogromną biblioteką i się zastanawia, za jaką tu książkę chwycić.

A jak literatura krajów bałtyckich ma się u nas?

Najmniej chyba w Polsce są dostępne tłumaczenia literatury łotewskiej oraz estońskiej, chociaż też ostatnio Wydawnictwo Pogranicze wydało książkę Jaana Kaplinskiego *Ojciec*. Przyczyna takiego stanu rzeczy jest chyba oczywista: brak tłumaczy z tak mało popularnych języków, brak nauczycieli, brak szkoły. Literatury tych krajów pozostają więc nieznane ze szkodą dla nas samych. I dlatego jedna z pierwszych rzeczy, którą się zajęłam po powołaniu mnie na stanowisko attaché kulturalnej w Polsce, było znalezienie i zorganizowanie grupy tłumaczy literatury litewskiej, którzy mogliby konsekwentnie pracować nad tłumaczeniami, powołanie swoistego seminarium translatorskiego, zaangażowanie w tę pracę nie tylko wspaniałych wykładowców Katedry Bałtystyki w Uniwersytecie Warszawskim, która pod kierownictwem Joanny Tabor zmieniła się w bardzo prężną placówkę, nie tylko lituanistów z Krakowa i Poznania, a też Litewskiego Związku Pisarzy, Litewskiego Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury, litewskiego i polskiego PEN Clubów. Jeśli jeszcze jakaś polska instytucja chciałaby się do nas dołączyć, bardzo zapraszam. W tym roku właśnie będziemy obchodzić piątą rocznicę warsztatów translatorskich, które nazwaliśmy Polsko-Litewskim Sejmikiem Literackim i które organizujemy we współpracy z Ośrodkiem „Pogranicze sztuk, kultur, narodów" w Krasnogrudzie. Dzięki staraniu wielu ludzi i instytucji, w tym Litewskiego Instytutu Kultury w Wilnie, dzisiaj w języku litewskim mamy znacznie więcej książek niż jeszcze pięć lat temu. Oczywiście, jeśliby nie tłumacze, ich praca, ale też jeśliby nie promocja i stała obecność litewskiej literatury na różnych festiwalach literackich w Polsce, osiągnięcie tych na razie - jak dla mnie wciąż skromnych - rezultatów, byłoby niemożliwe. W tym miejscu chciałabym bardzo podziękować miastu Kraków, krakowskim festiwalom literackim, Krakowskiemu Biuru Festiwalowemu, które tak wspaniale promują nie tylko literaturę polską, ale też literaturę naszego regionu, w tym też litewską. No bo właśnie w Krakowie została zaprezentowana znakomita powieść litewskiej pisarki Kristiny Sabaliauskaitė *Silva rerum*, której I tom ukazał się w Wydawnictwie Znak, drugi zaś – Wydawnictwo Literackim i wręcz doskonałe tłumaczenie Izabeli Korybut-Daszkiewicz, która w Litwie została odznaczona ważną Nagrodą św. Hieronima przyznawaną przez Litewskie Stowarzyszenie Tłumaczy Literatury za wybitne tłumaczenie litewskiej literatury na inne języki. W ostatnich latach na festiwalach Miłosza zaprezentowaliśmy już dwie książki litewskich poetów: Kornelijusa Platelisa w mistrzowskim tłumaczeniu Adama Pomorskiego i Eugenijusa Ališanki w pięknym tłumaczeniu Pauliny Ciuckiej. W Krakowskiej Nocy Poezji 6 października będą gościć poeta Vladas Braziūnas i tłumaczka Agnieszka Rembiałkowska, którzy razem zaprezentują kunsztowne tłumaczenie tomiku poezji *Stół góra ołtarna*. Właśnie w Krakowie żyją i pracują tłumacze Beata Kalęba, która przełożyła na litewski wiersze Tomasa Venclovy i wielu innych poetów litewskich, oraz Kamil Pecela, który na język polski przełożył wiele litewskich tytułów, a ostatnio jedną z najważniejszych litewskich powieści *Wileński Poker* Ričardasa Gavelisa, która niedługo się ukaże w Wydawnictwie KEW i przewodniki

po architekturze modernistycznej Kowna i architekturze dwudziestowiecznej Wilna. Kamil Pecela jest tłumaczem *Rozmowy Litwina z Polakiem*, czyli litewskiego pisarza Herkusa Kunčiusa z Piotrem Kępińskim, oraz bardzo ważnej dla Litwinów książki nieżyjącej już autorki Dalii Grinkevičiūtė *Litwini nad morzem Łaptiewów*, która ostatnio stała się bestsellerem w Niemczech. Kamil Pecela wraz z inną znakomitą tłumaczką Małgorzatą Gierałtowską przełożyli na język polski bardzo ważną w dzisiejszej szczególnie niepokojącej sytuacji politycznej książkę *Poszukiwanie optymizmu w epoce pesymizmu. Europa Wschodnia – przeczucia i prognozy*. Są to rozmowy między Tomasem Venclovą a niestety, nieżyjącym już, nieodżałowanym litewskim filozofem, wspaniałym historykiem idei Leonidasem Donskisem. Zresztą gorąco polecam dzieło z dziedziny filozofii politycznej Leonidasa Donskisa *Władza, wyobraźnia i pamięć*, które przełożyła Małgorzata Gierałtowska i które między innymi przekazuje refleksje litewskie nad postacią Miłosza.

Na pewno wszystkich tłumaczy, jak również wszystkich przez nich przełożonych tytułów, nie jestem w stanie wymienić. Ale w ciągu kilku lat, dzięki takim osobom jak: Joanna Tabor i Izabela Korybut-Daszkiewicz, które dokonały przekładu książki o współczesnej literaturze litewskiej *Zranieni przez czas*, jak Alina Kuzborska, która przetłumaczyła twórczość Tomasa Venclovy, a razem z Agnieszką Rembiałkowską tomik wierszy *Pokój bez wstępu* litewskiej poetki Nijolė Miliauskaitė, jak Zuzanna Mrozikowa, która przełożyła niezwykłą książkę litewskiej pisarki Vandy Juknaitė *Słowa w ciemności. Rozmowy z dziećmi*, jak Tomasz Błaszczak i wspomnienia litewskich Żydów uratowanych z kowieńskiego getta, jak Katarzyna Korzeniewska i przetłumaczone przez nią książki historyczne, jak Michał Piątkowski i powieść Herkusa Kunčiusa *Litwin w Wilnie* oraz dzięki wszystkim wspomnianym wcześniej, pojawiło się całkiem sporo tłumaczeń literatury litewskiej na język polski i są one dostępne dla każdego. A więc „Weźcie mnie i czytajcie", jak mówił autor pierwszej książki litewskiej Martynas Mažvydas.

Dla mnie jest więcej niż oczywiste, że literatura litewska powinna gościć w Polsce tak często, jak często literatura polska gości w Litwie. Tak samo z tłumaczeniami i tłumaczami. Musimy odwiedzać się, musimy razem pracować, poznawać się, opowiadać jeden drugiemu o aktualnych sprawach w życiu literackim obu krajów, zapraszać krytyków, organizować seminaria, konferencje, sympozja. Przed wojną tłumaczyliśmy książki naszych autorów od razu po ich ukazaniu się w języku oryginału. To jest absolutnie niesamowite. I w tym kierunku chciałoby się iść. Nie ma innej drogi ku wzajemnemu poznawaniu się krajów naszego regionu, naszej Europy Wschodniej i Środkowej niż czytanie dzieł naszych twórców.

Zastanawiam się nad środkowoeuropejską wspólnotą literacką. Czy uważasz, że coś takiego w ogóle istnieje? A gdyby spróbować poszukać jakiegoś wspólnego mianownika dla literatur Europy Środkowo-Wschodniej, czy znajdziemy jedną tradycję, a może kilka? Myślę nie tyle o cechach czy tematach wspólnych, ale o czymś leżącym głębiej. A może takie zawężanie nie jest w ogóle potrzebne?

Najwspanialszymi książkami mojej młodości były *Iliada* i *Odyseja*. Może ci, którzy czytali i podróżowali razem z Odyseuszem po morzach i wyspach, tworzą jakąś wspólnotę? Chcę wierzyć, że tak, że jesteśmy wspólnotą przede wszystkim literacką i kulturową, a czy śródziemnomorską, czy środkowoeuropejską to już mniej istotne. Łączą nas nasze różne tradycje, ale zbliżone doświadczenia historyczne, podobna geopolityczna sytuacja, która wielokrotnie była dla naszego regionu przekleństwem, dla literatur zaś niezwykle inspirującym źródłem. I to od nas zależy, czy zechcemy z niego czerpać, czy opowiadając nasze indywidualne losy, zechcemy tworzyć wspólnotę.

Zatem twórzmy. Przychodzi mi do głowy co najmniej kilku takich, którzy mogą nam tu posłużyć za wzór; którzy czerpiąc obficie ze źródeł, stwarzali niejako na nowo tę europejską wspólnotę literacką. Myślę o Jerzym Stempowskim i Stanisławie Vincenzie, o których Czesław Miłosz pisał tak: „Obaj pochodzą z regionu, gdzie mieszały się ze sobą przez wiele stuleci cywilizacje, religie, języki, a wiatr od morza był wiatrem od Kolchidy Argonautów i od miast jońskich w Małej Azji […]. Nie byłoby lat spędzonych przez Vincenza w towarzystwie Homera i Platona, gdyby nie gimnazjum w Kołomyi. Choć znów, raz odkrywszy Grecję, musiał przekonywać się coraz bardziej, że zapoznaje się z czymś swojskim; pasterska cywilizacja w jego domowych Karpatach przechowywała nadal, jak wszystkie górskie okolice Bałkanów, wiele cech społeczeństwa już nieznanego gdzie indziej".

Te książki bardzo by się nam przydały po litewsku. A więc sam widzisz, ile jeszcze my i nasi tłumacze mają przed sobą pracy.

Jacek Hajduk | redaktor naczelny „Czasu Literatury"

PS

17 września 2018

Kochany Jacku,

we wszystkich szkołach polskich przed wojną uczono, że pisze się „w Litwie". „Na Litwie" jest chyba pokłosiem czasów ZSRR. Jeszcze profesorowie Bardach i Wisner przed ponad już chyba piętnastoma, a może i więcej laty zaczęli wprowadzać do języka formę „w Litwie". W wielu pracach historyków, a też literaturoznawców coraz częściej używa się formy „w Litwie". Dla mnie ładnie jest i „w Litwie", i „na Litwie". Jeśli weźmiemy korespondencję dwóch przyjaciół z Litwy i Polski, czyli Czesława Miłosza i Tomasa Venclovy, to zobaczymy, że oni też używają form i „na Litwie", i „w Litwie" bez żadnego ideologicznego podtekstu. Tak też sugeruje pisarz i jeden z najlepszych redaktorów Marek Zagańczyk. Zostawiam zatem decyzję redaktorom. No a jeśli coś już się znalazło w języku albo się przywróciło pamięci tego języka, to niech w nim zaczyna żyć.

Najserdeczniej

R. (Rasa Rimickaitė, przyp. red.)

Dalia Staponkutė

Eseje z książki „Deszcz kontra słońce”

Dalia Staponkutė | ur.1964 w Šiauliai.
Eseistka, pracownik naukowy Uniwersytetu Cypryjskiego.
Ogłosiła m.in. *Lietumi prieš saulę* (*Deszcz kontra słońce*, Vilnius 2008).

Dla Elektry ir Nefele

Cisza wyspy

Co takiego przyciąga niespokojne dusze na wyspy? Może chęć, aby poddać próbie napięcie granic, pragnienie oddania się przeżyciom granicznym? Ukierunkowanie na wsypę oznacza przecięcie nie tylko granicy lądowej, ale i morskiej. Taki ruch często pobudzają bolesne przejścia, głębokie rozczarowania, uczucia bez odpowiedzi oraz poszukiwania wiary i niewiarygodnego. Miłość, przygoda, egzotyka i mistyka są niczym wyspy, podsycają tajemne pragnienia ludzi. Na wyspie wszystko można odnaleźć i rozpocząć na nowo, wiedząc, że początek niczego nie obiecuje, zwłaszcza spełnienia. Wyspa jest białym, obmywanym przez chaos brzegiem, na którym trzonkiem trzciny zapisywana jest nowa historia – zawsze krótkotrwała, bezkształtna i nieporównywalna z dziedzictwem historii na lądzie. Wyspa nie ma historii. Jej los przypomina sprzedającą się kobietę, której codzienne przetrwanie i dobrobyt zależy od łaski tymczasowego zdobywcy. Zgnębiona, podeptana, ciągle porzucana i wiecznie uboga pozostaje jednocześnie niewinna, nieskazitelna, cicha i oczekująca. Dryfująca, pozbawiona miejsca i centrum – megalopolis – nie odczuwa ani siły grawitacji, ani własnej prowincjonalności. Jeśli tę należałoby wymienić jako cechę wyspy, nazywałaby się „wielokulturowymi peryferiami”, o których wiele mówi pozbawiona korzeni i wolna od więzi tradycji natura miejscowych ludzi.

Czy to obietnica wolności? Nieograniczonej wolności w granicach niewoli? Na wyspie możliwa jest tylko wolność zamkniętej przestrzeni, jedynym wyjściem w przypadku powszechnego pożaru jest spłonąć, jak na statku. Nie bez przyczyny w różnych tekstach głównym symbolem wyspy stał się statek – poruszający się, ale zamknięty mikroświat. Czasami wyspę, archipelag, utożsamia się również z więzieniem. Miejscem wewnętrznego zesłania. Strefą przymusowego milczenia, śmierci, samotności i niebywałych udręk duchowych. Najprawdopodobniej wyspy wabią widokami odgraniczenia się od świata oraz iluzją miejsca, z którego można wygodnie, w milczeniu obserwować ląd. Jedno jak i drugie to świadome albo nieświadome przecięcie granicy własnym migrującym ciałem. Pojawienie się na wyspie to najprawdziwsze wyzwanie wobec ciała i lądu. Pomiędzy wyspą i lądem nie ma łącznika. Jedynym połączeniem jest dno, które łączy to, co oddziela. Po drugiej stronie dna, tego podwodnego pomostu, człowiek zyskuje inny, niekontynentalny rytm: życie na wyspie wydaje się nieprawdziwe, przypadkowe, podwójne, długie i ciche. Niczym życie „obok”. Niczym wierny towarzysz, dumny, drapieżny garbatonosy gryf na skale przylądka, obserwujący i obserwowany, rozważny, spokojny. W ciszy wyspy życie się potęguje, ciało się rozluźnia, a umysł wchodzi w stan cierpliwego łaknienia wydarzeń, których nie ma. Cisza wyspy dręczy umysł, cierpliwość go hartuje, a brak wydarzeń zmusza do fantazjowania. Rozum nie lubi pustki i wolnego tempa, a na wyspie czas jest powolny i bolesny jak nić przeszywająca żywe ciało, ciężki jak morskie dno i nudny jak byt tutejszych ludzi. Wydaje się nudny, ponieważ łatwo przewidzieć zachowanie miejscowych: albo są aktywnymi anarchistami i ekstremistami, albo oddają się medytacji i są pasywnymi wyznawcami prawosławnej ataraksji.

Gdy oddasz wyspie ponad dziesięć lat życia, czujesz, jak głęboko nasiąknęłaś wyspiarskimi cechami. Obrastasz nimi niczym skała twardymi kryształami morskiej soli. Obok prawdziwego oblicza przywiezionego tu z północy kształtuje się drugie, wysuszone oblicze z południa i stajesz się podobna do pękniętej ikony, na której połowy twarzy różnią się kształtem i kolorem. Żadna popularna teoria nie jest w stanie rozwiązać krzyżówki wielu kultur w jednym ciele. W najlepszym przypadku taki

człowiek przypomina dzieło sztuki, w którym krzyżuje się, jednocześnie spotyka i rozdziela, kilka epok i ich wielowymiarowe symbole. Jak na wyspie. Być może dlatego wielka sztuka rodzi się w przestrzeni wyspy wyjątkowo rzadko. Wyspa sama w sobie przypomina milczące i wymowne przez to milczenie dzieło sztuki. Błyszczący, wypieszczony przez morze i czas, doskonały otoczak. W ciszy wyspy jest niewiele przychylności dla sztuki. Wyspa to samowystarczalna i obojętna, a jednak gościnna przestrzeń.

Na każdego mieszkańca Cypru corocznie przypada kilkudziesięciu różnego rodzaju gości: archeolodzy, antropolodzy, turyści, seks-turyści, biznesmeni, żebracy... Nie ma tu prawdziwych przyjaciół, są przyjacielscy przybysze. Gdy towarzystwo gości staje się nieuniknioną codziennością, rozmowy z przyjaciółmi wyrodnieją, aż przyjaciele całkiem znikają. Gości jest coraz więcej, przyjaciół coraz mniej. Prawdziwym, jedynym i zarazem przymusowym dla wyspiarza środkiem kontaktu z ludźmi jest gościnność. Podjąć, pożegnać i nigdy więcej nie zobaczyć... Fragmentaryczność takich stosunków wywołuje złość i nierzadko wznieca wewnętrzny sprzeciw oraz pełną niepokoju tęsknotę do innych wartości, wartości innej ojczyzny. Wyspa wzmaga intensywność przeżyć, bynajmniej nie tylko przyjemnych. Wzmaga intensywność, a sama pozostaje statyczna i wierna wobec swojego spokoju i uśmiechu zastygłego, skalistego pejzażu. Przyroda wyspy, nietknięta procesem urbanizacji, niejako traci instynkt samozachowawczy i żywotność – spokojnie i bez przeszkód drzemie pod naturalną kołdrą z kurzu. Z tym kurzem pogodziły się meble, monitory, polityka i powierzchnie basenów. Tutaj nie potrafią rozwinąć się nawet młode pędy niewielkiego środowiska akademickiego. Uniwersytety bez tradycji i historii stają się siedliskami anarchii, swobody nauczania i intelektualnej kokieterii. Krzewiciele idei na krótko osiadają na wyspie i zaraz wyjeżdżają, nie zdążywszy zapuścić korzeni. Życie studenckie, którego małym szaleństwom i fantazjom wyspa nie zapewnia wystarczającej przestrzeni i bodźców, skazane jest na pieczołowitość i posłuszeństwo. Jednocześnie jest to cena, którą płaci się za możliwość migracji do megalopolis na lądzie.

Młodzi mieszkańcy wyspy od dzieciństwa hodują w sobie charaktery na wzór Odyseusza i Kolumba, gotowi odnaleźć prawdziwą ojczyznę. Tęsknota do innej i różnej ojczyzny to powszednia rzeczywistość wyspiarza. Odzwierciedla się ona w lekkości życia i nieustannym reisefieber. Całe to dziedzictwo wyspiarz otrzymuje nie od rodziców czy dziadków, ale od morza i powietrza. Nikt na wyspach nie interesuje się drzewami genealogicznymi i nigdzie indziej tak konsekwentnie nie tworzone są odyseje, historie i scenariusze odjazdów. Ludzi twórczych Grecy z wysp – czyli siebie – nazywają poetami (prawdopodobnie od starożytności). *Poio* oznacza „czynię”. Według Greków tworzenie, myślenie i fantazjowanie to również praca. Myśl jest narzędziem pracy. Wobec tego na wyspie można zasłużyć sobie na tytuł Poety, pisząc czy tworząc cokolwiek, niekoniecznie poezję. Osłupiałam na wieść, że połowę sąsiedniego kwartału zamieszkują publikujący poeci. Wśród nich znajdują się pracownicy merostwa i gospodynie domowe, sprzedawcy szaszłyków (*souvlaki*) i uczniowie. Być może taką liczbę poetów można wyjaśnić czarująco beztroskim stosunkiem wyspiarzy do języka albo brakiem języka literackiego? A może żywotnością dialektu? Czy nie jest on głosem żywiołowej, wolnej i nieskrępowanej kultury? Bycie poetą na wyspie jest tak naturalne, jak posługiwanie się mową. Wyspiarze mawiają, że poezja to nie literatura, ale wola, dlatego nie ma dobrej albo złej poezji, jest tylko silna albo słaba wola.

Pewnego razu dostałam prezent od starszej, eleganckiej pani domu o czarnych włosach do talii i oczach bizantyjskiej ikony, z różową wstążką na szyi jak u kotki. Wcisnęła mi niewielki zbiór swoich wierszy o kwiatach, wiośnie i miłości. Na modrawej okładce znajdowała się obowiązkowa czerwona róża. Róża serdeczności. Pomyślałam, że to właśnie oznacza „chcę być poetką”. Obrazek takiej żyjącej poezją marzycielki może wywoływać życzliwy uśmiech pobłażania, ale także poruszać nie mniej niż najwspanialsze wiersze. Gdy następnego dnia uprzejmie pochwaliłam wiersze kobiety, z dumą i powagą poprosiła mnie, abym jako tłumaczka zwracała się do niej nie imieniem, ale używając zwrotu *Kyria* (Pani) poetka... Z nieco innej poezji słynie starzec, wieszcz Daskalos (z greckiego „nauczyciel”). Nie dowiedziałabym się o nim, gdyby moja koleżanka z USA, owładnięta myślą o duchowym rozwoju, nie postanowiła poszerzyć moich horyzontów. „Posłuchaj go – mówiła – doznasz oświecenia”. Daskalos tworzył wiersze „na miejscu” w nieskładnej angielszczyźnie dla dziwnej publiki z Zachodu. Jego słuchacze przypominali tłum obdartych adeptów – spodenki, sandały, koszulki z napisami, zakurzone plecaki, mizerni, na ich ciałach krwawe pocałunki słońca. Odczyty odbywały się w domu Daskalosa, w skąpym cieniu drzew cytrynowych: obraca się porysowana, nieprzyjemnie trzeszcząca płyta z *Porami roku* Vivaldiego. Rozbrzmiewają strofy o wszelkich możliwych rodzajach miłości, najczęściej o sakralnej. Trudno powiedzieć, czy to rzeczywiście „oświeca” duszę. Współczułam wtedy mdlejącym od upału słuchaczom i drzemałam z nimi na ciepłym, kamiennym podwórzu. Upał i poezja nie współgrają ze sobą. Daskos powtarzał: „Nie mogę, moja miłości, zwracać się do ciebie, dlatego zwracam się do ciebie, Miłości!”. Niczym niesamowita linijka z pism Jacques'a Derridy. Myśl może powtarzać się w różnych kontekstach i zyskiwać przez to wciąż nowe znaczenie. W kontekście wyspy jest równie powolna i usypiająca, jak czas, myśl na wyspie to medytacja. Ostatecznie jedynie w ciszy wyspy można poczuć, że myśl może być rozluźniająca, wolna od kaprysów i zazdrości. Nie ma tu ona innego celu, poza jednym: zabić się w ciszy.

Czasem zastanawiam się, ile warte są teksty antropologów pisane o wyspie z akademickiego punktu widzenia. Przecież na wyspie nie ma poczucia, że rzeczywistość – a więc również prawda – jest bezwzględna. Wyspiarze nie lubią czytać i dużo kłamią. Kłamstwo w niektórych krainach ma większą wartość niż prawda. Kłamstwo to różnorodność, a różnorodność jest ciekawsza od prawdy. Prawdziwsza. Prawda się zmienia. Różnorodność pozostaje. W podobny sposób rozumował pustelnik z gór Troodos, który chichotał na wspomnienie młodego antropologa z Niemiec. Mnich mówił, że młodzieniec był gotowy przeżyć z nim rok, ale odjechał po miesiącu, nie wytrzymawszy smrodu nudy. Całe gospodarstwo ascety to króliki, kury, kapusta, bazylia, mięta, oliwki i domostwo z kamieni. Studni nie ma. Wodę należy przynieść na plecach z podnóża góry w nosidłach i jest wykorzystywana do podtrzymania życia, nie zaś do takich zbytków jak mycie ciała. Na kamiennej wyspie woda jest cenna i święta.

„A pan jest święty?" „Święty to ten, który troszczy się o innych, a ja troszczę się tylko o siebie – zapewne jestem Bogiem", żartował...

Rzeczywistość wyspy z czasem przestaje dziwić, jednak dopóki się na niej przebywa, nie można przestać o niej myśleć. Wyspa to miejsce agonii. Agonia to grecki odpowiednik „walki". Czasem mi się zdaje, że ktoś wsadził mnie do samolotu, a po drodze wyrzucił w upał wyspy, więc chodzę, oddycham, jem, pracuję, walczę... W ten sposób człowiek czuje się na wyspie jednocześnie przypadkowo i na miejscu. W ten sposób wreszcie pojmuję, że ojczyzna nie jest pojęciem zamkniętym. Nawet nie pojęciem. Procesem, który kipi wewnątrz, a nie przychodzi z jakiegoś niepojętego zewnętrza. Ojczyzna istnieje na tyle, na ile żyje wewnątrz jako osobisty, mistyczny świat. Jak wyspa. A jednak nie rozumiałabym tego tak wyraźnie, gdyby właśnie wyspa nie stała się miejscem mojego życia i losu, gdyby na wsypie nie urodziły się moje dzieci, w których głowach jest już inna kartografia niż mojej ojczyzny. To dziwne, że nasze głowy są tak blisko siebie, że są spokrewnione. Jednak świat, jak się zdaje, wybacza sobie niektóre mutacje. Bez nich, jak bez kłamstwa, nie byłoby różnorodności. Bezlitosny upał i delikatny chłód – wszystko na świecie tak podzielono, a przekroczenie granic skazuje na bolesną ciszę.

Milczenie matek

W kontekście współczesnych wędrówek międzykontynentalnych, chcąc nie chcąc, zadręczam – ja, wielojęzyczna matka, migrujący podmiot i nomada po przestrzeniach kulturowych – swój rozproszony przez tułaczki umysł problemem jednojęzyczności rodziców i wielojęzyczności dzieci w parach mieszanych. Mogłabym to nazwać dramatem, w którym doświadczenie osobiste odgrywa niepoślednią rolę. Jednocześnie zadziwiają mnie góry różnobarwnej literatury feministycznej, w której tyle miejsca i sił intelektualnych poświęcanych jest kobiecie, mężczyźnie, ich nieprzerwanemu konfliktowi, udręce płciowej samotności, dyskryminacji płciowej, bolączkom życia seksualnego i głosowi feministycznego „ja", gdy tymczasem zamiast poważniejszego i analitycznego spojrzenia na dialog matki i dziecka natrafia się jedynie na ponurą pustkę. Niełatwo odnaleźć takie spojrzenie i taki dialog na poziomie literacko-językowym. Abstrahowanie od wygodnej sieci stosunków materialnych, emocjonalnych oraz cielesnych, ale także podnoszenie do wyrazistych poziomów dyskursu i zamiana w pozbawioną wagi abstrakcję okazuje się trudne, a może nawet bezcelowe. Matki (nawet te obdarzone „głosem" i wyobraźnią) o swoich dzieciach nie mówią, albo mówią zwyczajnie (również wtedy najczęściej się mylą), nie dotykając istoty. Matki dzieci *posiadają*, często nie pojmując – paradoksalnie – że mają je w całości. W tym miejscu kusi mnie, aby przywołać *élan vital*, ideę witalności Henriego Bergsona, według której życie jest jednolitym systemem: nie można, na przykład, pojąć ręki inaczej niż jako części ciała. Zapewne i dziecka nie można wyobrazić sobie inaczej niż jako części ciała matki. Kontynuując ten tok rozumowania, należałoby stwierdzić, że nie można wyobrazić sobie dziecka bez języka matki. Bez tego ważnego elementu narusza się jednolitość systemu, związek, stosunek, istotę, a wreszcie również tradycję i wartość. Być może wprowadzenie pojęcia śmierci – jakoby stosunek matki i dziecka bez języka macierzystego zamierał – byłoby zbyt brutalne, ale taka sytuacja rzeczywiście wiąże się z wieloma stratami.

Codziennie stykam się z taką właśnie sytuacją i z kształtowanym przez nią stosunkiem językowym między matką i dzieckiem. Mam na myśli prawdziwe, podobne do mojego, przypadki Litwinek i Litwinów, samotnych i w związkach małżeńskich, ciągle i „z powołania" migrujących albo „osiadłych" na obczyźnie – na ziemiach wybranych, obiecanych i niczyich, skuszonych przez magię turystyki seksualnej, możliwość lepszej pracy, mit „księcia z bajki" i tak dalej. Błyskawicznie zmieniający się stosunek do mowy ojczystej i w końcu asymilacja do nowego środowiska językowego na wielu z tych ludzi odciska się bezboleśnie, niczym nieco szorstki, czerwonawy, ale szybko znikający ślad po otarciu się o ściernisko. Miejsce i czas w tym procesie stają się wiernymi konspiratorami, a nie wrogami. Jednak dla rozmowy matki z dzieckiem – jej tajemniczości, delikatności i treści – przestrzeń nowego języka i przeżyty w niej czas są największym zagrożeniem, a zarazem wyzwaniem, którego nie sposób po prostu przyjąć i przetrwać. Migrująca matka zmuszona jest oddać dziecko miejscu, które stopniowo staje się jej substytutem i przyjmuje „wychowanka" jako wierny strażnik kultury i języka, surowy i konsekwentny nauczyciel. W takich właśnie przypadkach można zrozumieć, że miejsce, matka i język to organicznie ze sobą zrośnięte elementy, łańcuch życia, który – raz zerwany – nie może być na nowo zespolony. Migrująca matka wciąż się poświęca i przegrywa, ponieważ jest zmuszona wpuścić między siebie i dziecko obcą mowę i skazać się tym samym na posągowe milczenie.

Nie widziałam bardziej ponurego obrazka: milcząca matka i jej dzieci mówiące między sobą w obcym języku, albo matka z bagażem pięciu słów w obcym języku bełkocząca do dzieci coś na kształt *you-me-come-give-hand*. „Co ty, mama, mumia jesteś" – rzuca matce w twarz łobuzerski syn Greka i Litwinki, kiedy ta milczy zagadkowo w trakcie melodyjnej greckiej pogawędki. Co to za matka, co czuje, czy umie bawić się słowem, co może, niemota, zaoferować poza bezbrzeżną, lepką nudą? Matka jest bezwładna, jedna i jednolita, a miejsce ze swoimi dźwiękami i kolorami to szybki i magiczny kalejdoskop rodem z *Harry'ego Pottera*. Dzieci, które urodziły się w otoczeniu językowym innym niż ich matki lub poza granicami jej ojczyzny, „wypierają się" rodzicielki w tej samej chwili, gdy czują się na siłach puścić jej rękę. Dzieci, nawet beksy, potrafią przeskoczyć otchłań między matką i miejscem z taką prędkością, że „cudzoziemska" matka pozostaje sama na urwisku po przeciwnej stronie, zanim zdąży westchnąć. Jeśli chce nadążyć za swoimi latorośla mi w obcym środowisku językowym, musi stać się dzieckiem – żwawym, chłonnym i łobuzowatym. Gdy wokół rozbrzmiewają rytmy sirtaki, wszystkie przewidywania o przekazaniu dziecku mowy ojczystej „wraz z mlekiem matki" upadają jak domki z kart. Koncepcje *great mother*, czyli pragnienie matki, aby za wszelką cenę dominować językowo, są charakterystyczne tylko

dla romantycznych anarchistek. Jednak nawet te cechy nie chronią ich przed wyrokiem milczenia, ponieważ język dziecka mimo wszystko zależy od miejsca-ludożercy.

Liczba takich milczących kobiet ciągle rośnie, a wraz z ich rozprzestrzeniającą się ciszą świat coraz agresywniej mówi o globalizacji i jest jej posłuszny, jakby była zemstą na milczących matkach albo konsekwencją ich milczenia. Istnieje przekonanie, że globalizacja pomaga człowiekowi rozwijać humanistyczne uczucia i tolerancję wobec innego: twój ból jest moim bólem. Świetnie pisze o tym Alphonso Lingis, którego nazywam filozofującym antropologiem. W nienaganny sposób, prawdopodobnie z powodów patriotycznych, tłumaczą go „genetycznie bliscy" mu Litwini, jednak profesorowie greccy na dźwięk jego nazwiska uśmiechają się uprzejmie, maskując niewiedzę. Okazuje się, że nawet najciekawsze teksty poświęcone zjawiskom globalizacji nie są czytane globalnie. Budzą one zainteresowanie jedynie w tej przestrzeni, z którą mają jakikolwiek związek. Mówiąc ściślej, globalne jest tylko to, co lokalne. Dlatego rezygnacja z fenomenu języka matki oznaczałaby w najlepszym wypadku szkodę dla globalizacji, a przynajmniej dla jej dobrej strony (przecież każdy proces „światowy" ma pozytywne i negatywne strony). Wyjście widzę nie w rezygnacji z języka, ale w ciągłym tłumaczeniu. Tłumaczenie nie ogranicza się jedynie do techniki językowej, ale wymaga udziału całego ciała, a nawet więcej – znajomości historii ciała. Lingis nazywa to myśleniem historiograficznym: rozumieć siebie jako dzieło historii i przekładać z otoczenia na siebie i z siebie na otoczenie. W przeciwnym wypadku rosnąca migracja, wymiana kobiet jak towarów i epidemiczne pojęcie „globalizacji" nie miałyby innego znaczenia niż powrót do życia przypominającego „pierwotną wspólnotę plemion", w której inercyjną wartość przyćmiewają żywioły przyrody albo kapitał, a pragmatyzm, strach i ociężałość umysłu odpychają język matki niczym niepotrzebną rzecz. Globalizacja, jako nieprzerwany ruch oraz strumień zagrożeń, rzeczywiście bardzo przypomina żywioł przyrody, dlatego „rodzić" i „rodzić się" w tym żywiole oznacza niemal jedynie cierpienie. Jednak postrzegać się jako część pewnego systemu symboli, który można by nazwać miejscem, wywalczyć sobie w nim twórczą przestrzeń, zamienić ją w życie, którego należy bronić niczym romantyczna anarchistka, to być może jedyna droga, aby zmniejszyć ból macierzyństwa, uniknąć milczenia i uzyskać głos. Najsmutniejsze, że matki nie mają na to czasu, że zegar biologiczny tyka głośniej i natarczywiej niż wewnętrzne wezwania, że ciało kobiety jest cykliczne – opadające i odżywające – dlatego szybko się zużywa, a jego język jest silniejszy niż Język.

Podróżując po zwyczajowej trasie Litwa–Grecja–Cypr, ciągle spotykam dziesiątki, wręcz setki litewskich dziewcząt, które stały się żonami cudzoziemców i matkami ich dzieci, ale nie znają porządnie innego języka poza swoim ojczystym. Popędza je zegar biologiczny: czasu poświęconego dzieciom i mężom nie można, niestety, odzyskać! „A jak się porozumiewacie?" – pytam na lotnisku pewną długonogą piękność. A ona odpowiada, błyskając perlistym uśmiechem: „A po co komu język? Są palce, czasem rysuję, kiedy jest całkiem ciężko... w ogóle, proszę posłuchać, na co dzień – kto milczy ten się zgadza, a w łóżku wydajemy wystarczająco dużo dźwięków". Pewien znajomy Grek sugestywnie opowiadał, jak pojechał do „kraju pingwinów" (taką z lotu ptaka wydała mu się Litwa zimą), aby oświadczyć się swojej wybrance, znając jedynie *I love you*. Dama jego serca umiała tyle samo. Doświadczył kulturowego i żołądkowego szoku w wyniku litewskiej „gościnności", przeziębił nogi w południowych butach i dostał czkawki od automatycznie wtrącanego w każdej sytuacji *I love you*, ale swoją kobietę mimo wszystko wywiózł. Przedsięwzięcie się powiodło: para wzięła ślub, urządziła się na greckiej ziemi, doczekała się dzieci i żyje nadal w aurze językowej mistyki. Dzieci nie mówią po litewsku, matka nie mówi po grecku, choć nauczyła się trochę po angielsku... I takich historii są setki. Tak, uczucia to coś więcej niż język, to nawet coś więcej, niż człowiek z tego rozumie, jednak zadaję sobie pytanie: jak wyrazić je poza językiem? Język lubi dręczyć, ale nie cierpieć i z czasem upomina się o swoje, wyczekuje chwili i mści się na małej syrence za piękne nogi, stając się wieczną zmarzliną w jej wnętrzu. Najbardziej bolesną tęsknotę czują matki, które nie mogą rozmawiać ze swoimi dziećmi w języku macierzystym. Leku przeciwbólowego nie ma, tak jak niemożliwy jest powrót na nieosiągalną kometę – *motherland*.

To ciekawe, że w mieszanych parach język nierzadko wycofuje się z gry erotycznej (w przeciwnym razie takie pary przestałyby istnieć, ponieważ kochankowie umieraliby ze śmiechu, a nie z rozkoszy). Czułemu słowu wypowiedzianemu w obcym języku często brakuje życia, opada ono na pościel kochanków jak zwiędły płatek, stref erogennych nie pobudza jego przyjemne znaczenie i pozbawione słów pieszczoty stają się demonicznym szałem ciał. Z początku jest to fascynujące, ponieważ różne typy ludzi pożądają się nawzajem w równym stopniu, jak odpychają. Niemniej bez udziału języka związek nie przestaje się deformować, miłość bez luksusowego łoża słów jest szorstka jak ziemia bez deszczu. Pomimo to... jakie to staromodne, aby dziwić się parom, których liczba wciąż rośnie. Ich dzieci, choćby narodziły się ze stosunku pozbawionego słów, pływają jak ryby w morzu wielojęzyczności i wybierają mowę nie ze względu na matkę, ale ze względu na swoje *tu i teraz*. W ten właśnie sposób utwierdza się i uzupełnia pojęcie kosmopolity; to obywatel świata, dla którego język matki to nie *prima donna*. W ten sposób tworzą się współczesne odmiany rodziny: dla dzieci uczucia macierzyńskie i ojcowskie czerpane z otoczenia mogą być – i nierzadko są – ważniejsze niż matka-rodzicielka i biologiczny ojciec.

Obserwując *agonię* (śmiertelny bój) mojego języka ojczystego w ustach moich dzieci, widzę obraz mojego własnego zanikania... I muszę uwierzyć teoriom przekładu i konieczności przemyślenia globalnej rzeczywistości. Sama praktyka nie wystarcza, jest smutna. Nie wystarcza żyć, nie myśląc o tym, *jak* żyć w nowej sytuacji. Nieprzemyślana praktyka niczym nieociosane drewno prędzej czy później kończy w ogniu. Teorie, tak jak obietnice miłości i religie, nieco wykrzywiają obraz rzeczywistości, ale pomagają wyjaśnić i znieść nieuchronność bezlitosnej i okrutnej utraty albo zdrady. Co ciekawe, nawet zdradzając (mam na myśli język matki), najbardziej tęsknimy za ukochanymi, znanymi słowami i za ich pomocą się modlimy.

przeł. Kamil Pecela
Podstawa przekładu: *Lietumi prieš saulę*, Apostrofa, Vilnius, 2008.

Kamil Pecela | pracownik naukowy Pracowni Kultury Litwy Uniwersytetu Jagiellońskiego; tłumacz z języka litewskiego. Przełożył m.in. P. Kępińskiego, H. Kunčiusa, *Rozmowę Litwina z Polakiem*, Wrocław 2015.

wybór i komentarz:
Paulina Małochleb

Nagroda im. Wisławy Szymborskiej

Wojciech Bonowicz

Zajęcia

Pracowałem nocami w dzień jeśli miałem dość sił
łapałem jakieś fuchy. Wyprowadzanie psów ogród
przeprowadzki wszystko jedno postanowiłem
przed końcem wakacji uzbierać na samochód.
Kręciłem się w kółko ale byłem szczęśliwy.
Byłem szczęśliwy ale kręciłem się w kółko.
Aż trafiła mi się robota marzenie:
mieszkanie w którym miałem podlewać kwiaty
podnosić i opuszczać story wieczorami zapalać
światła w pokojach hałasować. Facet był bogaty
a jednak nie ufał systemom alarmowym.
Po dwóch miesiącach rzuciłem inne prace.
Poszedłem do Marmottana i tak jak mówiłaś:
usiadłem i gapiłem się na Lilie.
Zacząłem odkładać pieniądze na coś innego.
Zacząłem też inaczej się odżywiać.

Druga ręka, Wydawnictwo a5, 2017

Wojciech Bonowicz | ur. 1967. Poeta, dziennikarz, stały felietonista „Tygodnika Powszechnego" i miesięcznika „Znak". W 2007 otrzymał Nagrodę Literacką Gdynia. Jako poeta występował z zespołami rockowymi, m.in. Fisz Emade Tworzywo.

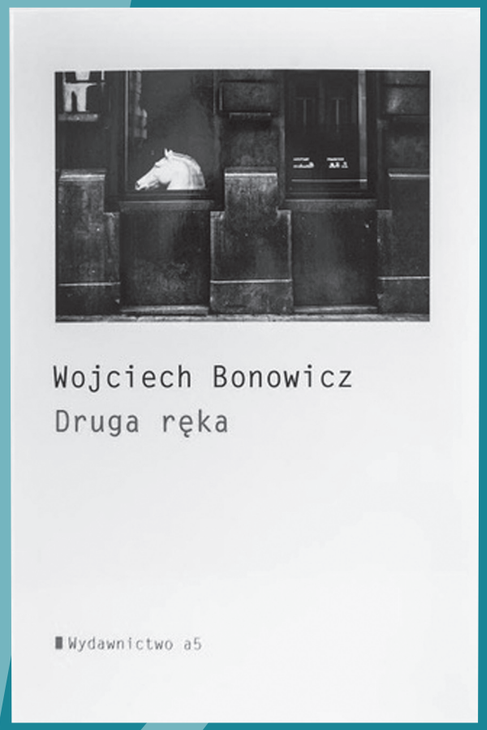

W olśnieniu

Bonowicz swoim najnowszym tomem świętuje pięćdziesiąte urodziny i w zebranych w nim wierszach widać wiele wątków łączących się z tą rocznicą: nostalgiczne wspomnienie przeszłości, przedstawienie siebie samego z młodości jako kogoś obcego, przywoływanie wielu zdarzeń z odmętów pamięci, przeskakiwanie pomiędzy różnymi płaszczyznami czasowymi, które jednak istnieją równocześnie, we wspomnieniu. Podmiot – „Vic" – opowiada o swoim pobycie w Stanach Zjednoczonych, przywołuje konkretne sytuacje i miejsca, jego opisy przypominają zaś sceny malarskie: tani bar nocą dający schronienie prostytutkom, wyprowadzanie psów, opieka nad cudzymi mieszkaniami, praca fizyczna. Jednocześnie zaś takim tematom towarzyszą treści zupełnie innego rodzaju – rozważania zarówno autotematyczne, jak i poświęcone tożsamości poety, jego zadaniom, obsesjom i obowiązkom. W wierszu *Medium* Bonowicz pisze:

Wiem co jest święte.
Nie wiem
co jest grane

Albo w *Nie potrzebuję:*

Naprawdę nie potrzebuję
nowych nazw
na stare rzeczy.

Bonowicz tematyzuje zarówno bycie poetą, jak i pisanie, autoironicznie podkreśla napięcia na linii autor – czytelnik, by za chwilę uderzyć w patetyczne tony:

Napisz do poety.
Wyślij kartkę
albo napisz na Facebooku

że jego ślepy upór
jest ci potrzebny.

W tym wątku spotykają się dwa tematy z *Drugiej ręki* – poetycka autoidentyfikacja i autoironia. Bonowicz jasno identyfikuje się jako poeta, pisze zatem także o sobie:

Gdy poetom wręcza się nagrody nie wiadomo
czy nie zaczną krzyczeć czy w ogóle coś powiedzą
może jedynie wzruszą ramionami.

Podmiot widzi siebie jako pięćdziesięciolatka, mężczyznę powoli wchodzącego w smugę cienia. Okrywa go „kołdra chłodu" i często pogrąża się we wspomnieniu, otoczony ludźmi dostrzega przede wszystkim ich młodość i sprężyste ciała, skrupulatnie odnotowuje urodę kobiet. Krytycy, pisząc o tej książce, zgodnie podkreślają otwarcie podmiotu na olśnienie światem, gotowość do zachwytu, do zadziwienia tym, jak skomplikowany w swej prostocie wydaje się jego mechanizm.

Linn Hansén

***

Człowiek jest najbardziej interesujący na początku.
Dlatego jest najszczęśliwszy jako dziecko.
Historyczna postać może powiedzieć do innej postaci że to teraz się zaczyna ale o które teraz chodzi.
Gdzieś żyli ale istotne jest kiedy żyli.
Żyli w czasie wojny.
Żyli w sierpniu.
Ryzyko że pies zagryzie kurczaka jest większe w czasie wojny niż w czasie pokoju.
Żołnierz jest żołnierzem w jakimś czasie a w innym szewcem.
Prawdopodobnie najpierw jest szewcem potem żołnierzem potem ginie na wojnie. Nie prawdopodobnie jest żołnierzem potem ginie na wojnie potem się mu udaje i zostaje szewcem.
Wszystkie kraje są ważne ale niejednocześnie.
Francja była ważna ale czy jest ważna teraz. Nie.

Przejdź do historii, przeł. Justyna Czechowska, Lokator 2017

Linn Hansén | ur. 1983. Szwedzka poetka i redaktorka czasopisma kulturalno-filozoficznego „Glänta". Zadebiutowała 10 lat temu tomikiem *Ta I trä*. Jest jedną z organizatorek festiwalu poezji w Göteborgu. Była członkinią kolektywu literackiego Sharks.

Pytania historyczne i nie

Linn Hansén zadebiutowała w 2008 roku tomem *Ta i tra. Przejdź do historii* to jej druga książka, w całości, jako integralny tom przetłumaczona na język polski. Za nią właśnie poetka otrzymała Nagrodę im. Wisławy Szymborskiej w tym roku: „Zarówno Autorce, jak i Tłumaczce udaje się zaintrygować nieoczywistą prostotą formuły pytań i twierdzeń, które, w pozornie nieuporządkowanym ciągu, zamieniają swoją zwyczajową tożsamość pytającą i twierdzącą. Zasiane tak wątpliwości każą rewindykować nagromadzone przez nas wiadomości i stan wiedzy oraz bezwzględne, empiryczne dane, a także ich względną użyteczność" – mówiła w czasie wręczenia Nagrody jurorka, Dorota Walczak-Delanois.

Podobno historia to temat dla dojrzałych mężczyzn, tymczasem tutaj sięga po niego młoda kobieta i zadaje z pozoru infantylne pytania, skonstruowane niczym zagadnienia ze szkolnego wypracowania: *Jak car Mikołaj uzasadniał wojnę przeciwko Imperium Osmańskiemu? Jak wytłumaczyć wzrost zaludnienia?* Nagromadzenie tych pytań sprawia jednak, że nagle odkrywamy, jak nieoczywistych odpowiedzi należy udzielić, jak wiele z przeszłości uznajemy za procesy zakończone, zbadane i zdefiniowane, choć wcale takimi nie są. Hansén pyta o sens historii, o jej zakres, o to, czy nie posługujemy się tym hasłem, by bagatelizować naszą odpowiedzialność za świat i przerzucać ją na jakichś nieokreślonych „onych" – władców, polityków, generałów. Ona zaś twierdzi, że każdy z nas zapłaci za historię, że dotyka ona każdego. Dlatego właśnie skupia się na postaciach w historii marginalizowanych, najczęściej milczących, pyta o antropologiczne, filozoficzne i socjologiczne relacje, układy, pola możliwości:

Jednym ze sposobów na to by być szczęśliwym
/ jest przez jakiś
krótki czas oddawać się sportom na świeżym powietrzu
/ albo graniu
w orkiestrze.
To nie jest historyczne pytanie co historia
/ ma do zaoferowania.
Czy historia obawia się przyszłości.
Czy historia jest marginalizowana.

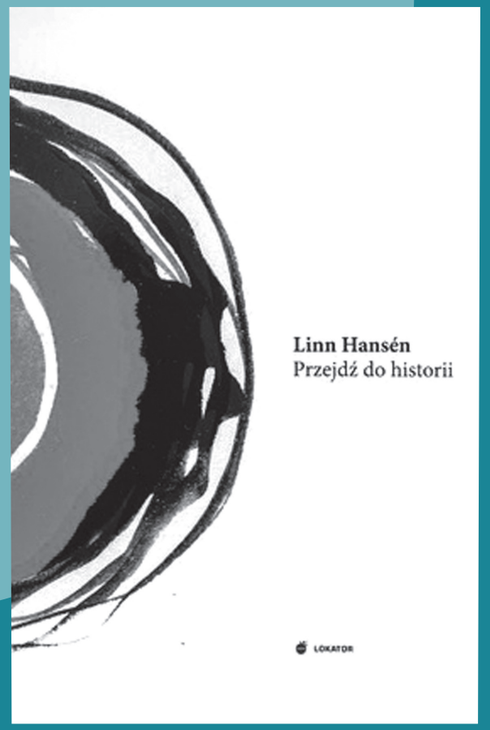

Natalia Malek

Ulung

Życie wewnętrzne emigrantów: pożyczyć samochód
na piątek wieczór. Rozejrzeć się za szczoteczką do paznokci.

Jak jest *koloid* po angielsku? Życie, na które przemysł od dawna zna szczepionkę —
czy tylko fasolka i ryż?

Wystrzelić znikąd i obrócić się w płask! Tak, jak zaczyna się miasto!
Jeden z tutejszych ludzi umie przyjść dwanaście razy

w dwunastu skórach
i przedstawić się jako Rilke i jako Hendrix. Nigdzie go nie zabierają: ani do szpitala, ani do szkoły,

ani do dziury z koniaczkami,
o jakiej wiem przypadkiem od ciebie. Inny potrafi przetrząsać

całą kuchnię, by nam pokazać coś wyjątkowego: herbatę.
(Najśmielsze rośliny nie znają rozkładu łąki)

Kord, WBPiCAK oraz Staromiejski Dom Kultury w Warszawie, 2018

Natalia Malek | ur. 1988. Poetka, kuratorka wydarzeń literackich. Laureatka Nagrody im. Adama Włodka. Za tom *Kord* nominowana do Nagrody im. Wisławy Szymborskiej oraz Nagrody Literackiej Gdynia 2018. Współtworzy cykl feminariów pt. „Wspólny Pokój" w Staromiejskim Domu Kultury w Warszawie.

„Mięso pająka", czyli wiersz jako odzieranie znaczeń

Poezja Natalii Malek rozwija konsekwentnie motyw obcości, zrywa z naszymi czytelniczymi przyzwyczajeniami, ponieważ jej celem nie jest nawiązanie z odbiorcą komunikacyjnej więzi. Malek jako autorka nie zaprasza czytelnika, nie wciąga go w świat wyobraźni, a przeciwnie – podkreśla raczej swą osobność, obcość właśnie, nieprzenikalność poetyckiej imaginacji. W *Kordzie* chodzi o to, że nie da się otworzyć wiersza na czytelnika, przełożyć go na dostępny język. I tak w miejsce wyrażalności poetka wprowadza niewyrażalność, obojętność na czytelnicze wysiłki interpretacyjne. Najlepiej scharakteryzował to zjawisko Dawid Kujawa, pisząc, że Malek „skutecznie rozpycha horyzont poznawczy".

W miejsce konkretnego światopoglądu poetka proponuje czytelnikowi szereg postaci i sytuacji, których obecność zarysowuje w kolejnych wierszach, ale nie pozwala im zaistnieć całkowicie, mocno. Nagle pojawiają się i znikają: *dziewczynki z czwartej E; położnik profesor Żółkiewski; sprzedawca melonów; Tulsie ze zgoloną głową, piękną czaszką; facet, który reperuje kamerki po domach*. Ich historie splatają się ze sobą i tworzą nową, wielogłosową narrację. Jednak zawsze wygrywa głos poetki-władczyni wiersza, która burzy sytuacje liryczne i wprowadza zaskakujące, wieloznaczne puenty.

Domeną tego tomu nie jest jednak chaos wielu opowieści, ponieważ nad głosami postaci nadbudowuje się porządek opozycji: zajmowania pozycji i oddawania pola (o czym mówi sama poetka w rozmowie z Jakubem Skurtysem) czy wiązania i przecinania – uruchomiony przez wieloznaczność tytułowego „kordu" jako włókna, powiązania, nici oraz „korda" – sztyletu, noża o specyficznym, wygiętym kształcie. To między tymi kategoriami rozpina się sieć znaczeń, poetka snuje opowieść o poszukiwaniu tożsamości i łączności, a równocześnie o zrywaniu, przecinaniu, odchodzeniu.

Marta Podgórnik

***

Pewnego popołudnia spytasz nieuchronnie, czy jestem starą panną,
bo nie wierzę w miłość.

Nie wierzę w miłość, malowany chłopcze. Kredyty we frankach, stopy procentowe, i całą tę drakę z ciążą zagrożoną

I oddziałami patologii ciąży.

Żadnej nocy nie przysunę Ci do szyi noża, bo żadnej nocy nie spędzamy razem. Jedno, co z tego będzie: całkiem zimna książka, płód a priori skazany na lodówkę wspomnień.

A ząbkowane ostrza, wychylone ostrza? Schowam sobie na wcześniej. Schowam je na wcześniej. I we śnie będę straszyć pielgrzymów.

Jak zorza, która się ukazuje w pustynnym mieście.

Zimna książka, Biuro Literackie 2017

Marta Podgórnik | ur. 1979. Poetka, krytyczka literacka, redaktorka, tłumaczka. Laureatka m.in. Nagrody Literackiej Gdynia (2012). Związana z Wydawnictwem Biuro Literackie, w którym odpowiada m.in. za dział debiutów.

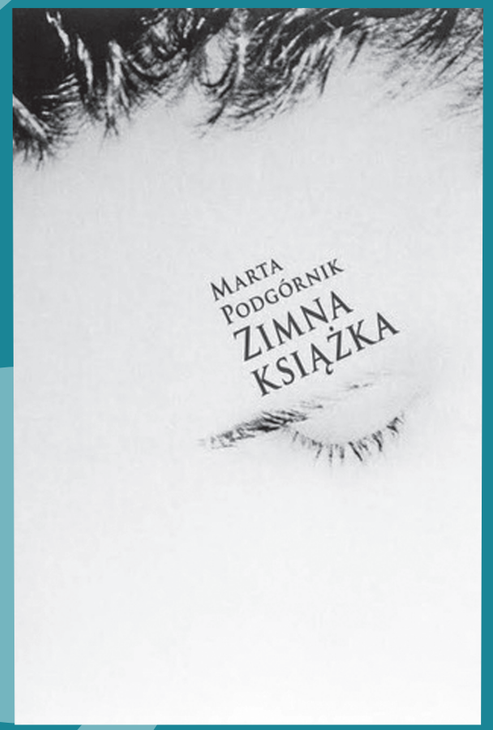

Zimna rozpacz

Poezji Marty Podgórnik nie trzeba dzisiaj chyba przedstawiać czytelnikom. W ciągu dwóch dekad, jakie upłynęły od jej debiutu, wypracowała sobie bowiem niekwestionowaną pozycję. Słynie jako specjalistka od kwestii feministycznych, ale i miłosnych, na nowo tworząc język seksualno-erotyczny w najnowszej polskiej poezji.

W *Zimnej książce* widać wyraźną kontynuację linii poetyckiej wypracowywanej stopniowo przez Podgórnik. W tym tomie głos zabiera kochanka – czasem odrzucana, czasem nieszczęśliwa, doświadczona, cyniczna. To ona doświadcza utraty: mężczyzny, dziecka, uczucia, samej siebie. Gubi się i odnajduje w różnych układach emocjonalnych, walczy o siebie, swoją niezależność, pozycję, uczucie. Relacja miłosna jest tu bowiem zawsze polem walki, w której zderzają się egoizmy, uruchamia dążenie do zawłaszczenia albo też próby odepchnięcia ukochanej:

Miałam wątłą przyjemność nosić Twoje dziecko.
/ Pod sercem, powiadają.
Tamtego wieczora
ja poszłam precz z sukienką, jak sobie zażyczył pan
/ i władca królestwa
za odległym morzem

– pisze Podgórnik, pokazując nam zasadniczą funkcję tego poetyckiego świata, którą jest walka o uczucie. Za każdym razem okazuje się ono jednak nietrwałe, tymczasowe, o czym dobrze wie doświadczona bohaterka:

Mieliśmy być jak
Sid i Nancy, mieliśmy, byliśmy przez moment.
Niechaj Twoje następne nie czytają wierszy przed snem

– dodaje, świadoma, że każdy romans przemija, że odchodzi się w ramiona kogoś innego.

Te rozgrywki emocjonalne stanowią jednak wynik gry z czytelnikiem w kicz, w udawanie poetyki wyznania. Podgórnik ujawnia świadomość konwencji, retoryczność owych wyznań miłosnych, zwierzeń po stracie. Finguje tutaj autentyczność, tworzy pozory szczerej spowiedzi, wykorzystuje język poetycki, by równocześnie skonstruować pewną scenę, ale i pokazać jej dekoracje, umowność. Nie jest więc to prawdziwa rozpacz po stracie, ale właśnie – biorąc pod uwagę tytuł – zimna rozpacz, literacka scena, wyznanie nie tyle smutku, co wiary w potęgę literatury.

Ilona Witkowska

***

co to było

niby nic, ale już to wiemy: cierpienie
nie trwa dłużej niż dwanaście minut.
można przeżyć życie: powtarzaj tylko:
do widzenia!

co ja chciałam
:
jakie niebo ładne, kupmy truskawki, piekłabym ciasta,
zamiatała. patrz: moje serce to pasztecik profi.

do widzenia!

wszystko się ułoży, widzę cię na łące.
będziemy też kupować ziemniaki.

do widzenia!

Gwiazda, lusterko,
zabłysło i zgasło

do widzenia!

Lucyfer zwycięża, Wydawnictwo Ha!art 2018

Ilona Witkowska | ur. 1987, poetka.
Laureatka Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius (2013)
oraz kulturalnej nagrody „Gazety Wyborczej" WARTO 2018.

Jedzenie psie i pasztecik profi

O ile kluczem do nominowanego tomu Natalii Malek jest pojęcie obcości, o tyle hasłem otwierającym książkę poetycką Ilony Witkowskiej jest zaangażowanie. Należy je rozumieć jednak dużo szerzej niż poezję okolicznościową czy zaangażowanie społeczno-polityczne. Witkowska wybiera zaangażowanie w świat, w walkę o prawa zwierząt i ludzi, bo w jej książce bohaterem jest pies traktowany na równi z człowiekiem (a nawet z większą sympatią), uchodźcy, defaworyzowane kobiety, porzucane dzieci. Poetka mówi w imieniu wszystkich wykluczonych, pogardzanych i wykorzystywanych, przy czym nie odnajdziemy u niej tonu oburzenia czy otwartego gniewu, typowych dla poezji zaangażowanej. Witkowska najczęściej mówi ironicznie, chroniąc się za cyniczną maską, za cytowanym w niewidocznym cudzysłowie głosem większości, językiem mediów, obiegową opinią, które rozsądza i unieważnia. Tak dzieje się na przykład w wierszu *Kółko graniaste*, w którym poetka opisuje zatonięcie łodzi z uciekinierami koło Lampedusy, wydobywając paradoksalne zderzenie obojętności i współczucia, bezczynności i cierpienia:

my się tu śmiejemy, oni tam umierają
więc co? mamy się nie śmiać?
kiedy się nie śmiejemy, to też umierają.

Jej poezja nie zakłada żadnej wiary czy idei, w imię której podejmuje walkę ze złem. Pojęcie zła wydaje się nie pasować do tej twórczości, kojarzy się bowiem z tradycyjnymi podziałami i wartościami, poezją moralizującą. Choć ten naiwny nieco termin dobrze ujmuje to, przeciwko czemu zwraca się poetka, domagająca się szacunku dla cierpienia, podkreślająca słabość bytu ludzkiego, przypadek oddzielający kondycję człowieka od kondycji zwierzęcia:

śpij, śpij, a niech ci się przyśni
sama prawda i jeszcze, że przychodzi do ciebie
słaby chudy wilk i mówisz mu: idź, a on mówi:

oto jest twoja smycz,
bardzo proszę.
(galeria rozrywki, wejście nocne)

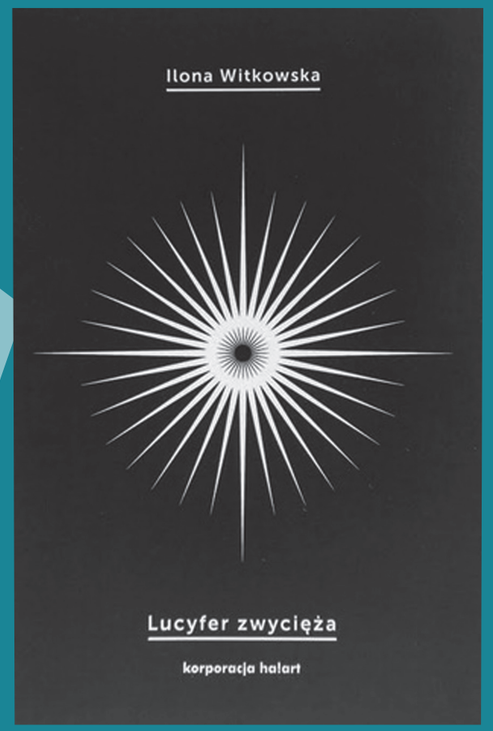

Julia Fiedorczuk

Psalm III

w jakim języku mam do ciebie mówić, słońce,
żebyś jutro wstało dla mojego dziecka, żebyś
wstało i pobudziło tkanki pokarmów,
krążenie,

jak mam to zaśpiewać dla mojego dziecka,
jak mam tobie śpiewać, planeto, żebyś wybaczyła,
że urodziłam głód, że urodziłam
pytanie

zaczepione o nic, jak sobie zaskarbić
szczodrobliwość stworzycielek – bakterii
czysty deszcz powietrze glukozę
la la

że ułożymy się i zaśniemy, że się obudzimy,
że ułożymy się i zaśniemy, że się obudzimy
grawitacjo:
tfi
la la

że nas ułożysz i zaśniesz, i że nas obudzisz?

Psalmy, Fundacja im. Tymoteusza Karpowicza 2017

Julia Fiedorczuk | ur. 1975. Poetka, pisarka, krytyczka literacka, tłumaczka. W 2016 r. nominowana do Nagrody Literackiej Nike za powieść *Nieważkość*. Adiunkt w Zakładzie Literatury Amerykańskiej Uniwersytetu Warszawskiego oraz członkini stowarzyszenia Association for the Study of Literature and Environment.

Urodziłam głód

Tom *Psalmy*, na który składa się cykl pisanych w ciągu trzech lat wierszy, Fiedorczuk zaplanowała jako nawiązanie do biblijnej księgi, z tym że jej odniesienie do Pisma oparte jest na budowaniu napięć, a nie poszukiwaniu styczności. W cyklu pieśni u poetki głos zabiera kobieta, która jednocześnie ujawnia się jako istota współczesna, żyjąca w warszawskim blokowisku, przeżywająca nowoczesne lęki oraz kobieta-budowniczy, która zwraca się do Ziemi, a niczym Dawid szuka miejsca, by wznieść świątynię. Fiedorczuk wyzyskuje tu różne wątki, jakie umożliwia podmiana płci mówiącego: kobieca bohaterka wprowadza motyw rodzenia jako budowania, ale też odpowiedzialności za działanie tych, którzy jej aktem zostali sprowadzeni na świat. Daje szansę, by rozbić opozycję natury i kultury, by pokazać, że opozycja ta jest fałszywa, a przypisywane jej znaczenia – dowartościowanie kultury kosztem pogardzanej natury – kompletnie błędne.

Wnikliwy czytelnik zauważy, że Fiedorczuk stroni od definicji, unika twardego języka wyrazistych znaczeń, i znajdzie w jej poezji wiele przeczeń, identyfikacji poprzez wprowadzenie „nie", które tutaj ma otwierać zbiory elementów, a nie zamykać je. Pojawia się zatem określenie „moja, nie-moja córeczko", „oto ludzie twoi oto ludzie nie –". Zamiast narodu:

i niechby jakieś inne słowo dla człowieka
obok człowieka obok człowieka obok
psa i pszczoły

Fiedorczuk, która odżegnuje się od uprawiania poezji kobiecej i występowania przeciwko dyskursowi męskiemu, wyraźnie wybiera to, co kojarzy się z przestrzenią przyrody, kobiecości i macierzyństwa, naturalności, emocji. Nie oznacza to jednak, że jej poezja wchodzi w konflikt ze światem męskim, bo takiego sposobu pisania udaje jej się unikać zarówno w poezji, jak i w prozie.

Jej wiersze zwracają się właściwie nie przeciwko światu męskiemu, ale raczej przeciwko światu człowieczemu, przeciwko ideom humanizmu zakładającym, że człowiek to ukoronowanie stworzenia. Dla Fiedorczuk to raczej ssak, zbiór tkanek, nagromadzenie komórek, które można pomierzyć i porównać z innymi organizmami:

2 metry kwadratowe skóry,
koniec świata to moje
mieszkanie, 30 kilometrów kwadratowych
błon komórkowych domu
pańskiego powszedniego i woda

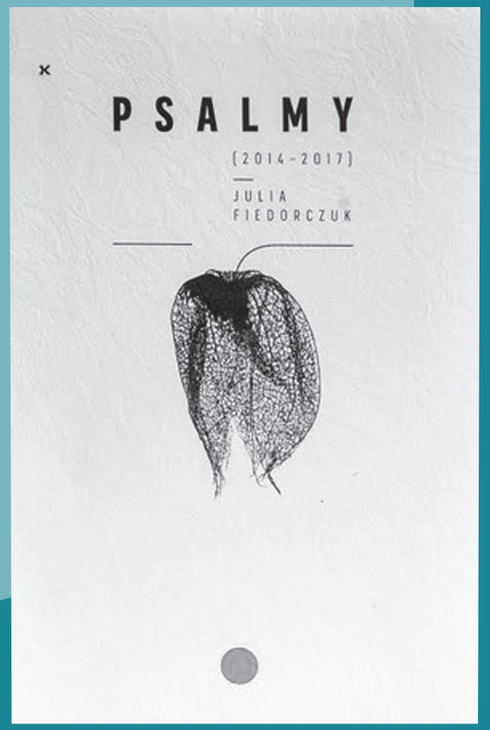

Z **Julią Fiedorczuk**
rozmawia Paulina Małochleb

Doświadczenie duchowości tu i teraz

Julia Fiedorczuk | ur. 1975. Poetka, pisarka, krytyczka literacka, tłumaczka. W 2016 r. nominowana do Nagrody Literackiej Nike za powieść *Nieważkość*. Adiunkt w Zakładzie Literatury Amerykańskiej Uniwersytetu Warszawskiego oraz członkini stowarzyszenia Association for the Study of Literature and Environment. Laureatka Nagrody im. Wisławy Szymborskiej za tom *Psalmy* (wydany przez Fundację im. Tymoteusza Karpowicza w 2017 r.)

Paulina Małochleb: Dlaczego właśnie psalmy? Skąd ten gatunek? Przecież często w wywiadach podkreślasz rozbieżność między kobiecością a tradycją literacką, tutaj zaś sięgnęłaś po gatunek skrajnie „męski", silnie związany ze Starym Testamentem.

Julia Fiedorczuk: Tak, ale poddaję ten gatunek głębokiej modyfikacji, nie tylko wprowadzając motywy, języki, brzmienia współczesności, ale też wybijając na pierwszy plan doświadczenia tradycyjnie wiązane z kobiecością, na przykład macierzyństwo. Psalmy Dawida to niezwykle piękne, ale też trochę okrutne wiersze, a ściślej rzecz biorąc – pieśni. Zawierają w sobie szerokie spektrum postaw – od wołania „z głębokości" po bezwarunkową afirmację. Potrzebowałam zarówno rozpaczy, jak i nadziei.

W tytule podajesz, że to projekt, nad którym pracowałaś przez trzy lata. Jak w tym czasie zmieniało się Twoje myślenie o pozycji człowieka w świecie, o roli natury?

Nie przepadam za określeniem „natura", jest ono zbyt silnie zakorzenione w ideologii dzielącej świat na kulturę i całą resztę, tak jakby ludzie nie należeli do natury, a poza-ludzkie istoty nie tworzyły znaczeń. Od zawsze interesowałam się kwestią relacji między ludźmi a innymi bytami, od zawsze coś mi „nie grało" w sposobie, w jaki nasza cywilizacja ustawia hierarchię istot. W ostatnich latach zrozumiałam, jak wiele hipokryzji jest w naszym z pozoru „ekologicznym" myśleniu, w którym często chodzi tylko o nasz własny dobrostan.

Co się stało z psalmami, których nie ma w książce? Podajesz ich numery, jak nakazuje tradycja biblijna, ale nie mamy tutaj ciągłości, części kolejnych utworów brakuje.

Każdy z moich psalmów nawiązuje w jakiś sposób (czasem tylko odlegle) do biblijnego oryginału. Te brakujące mam nadzieję jeszcze napisać, w tym celu staram się skrupulatnie poznawać biblijny tekst; muszę przyznać, że ta praca postępuje bardzo powoli, ale nie spieszę się.

W psalmach biblijnych najważniejsza jest wspólnota i jej relacja z Bogiem. U Ciebie jest inaczej – nie ma właściwie wspólnoty, bo zastanawiasz się, jak ją nazwać, nie lubisz kategorii narodu. Czym zatem jesteśmy jako zbiorowość?

Myślę, że to zależy od tego, w jaki sposób będziemy o sobie myśleli, jakie będą nasze wspólne działania – ich kierunek. Wspólnoty tworzą się w relacji do jakiegoś celu, tym celem nie musi być wspólna tożsamość, może to być, na przykład, zbudowanie mniej przemocowego świata. Sądzę, że tym, co łączy wszystkich ludzi, a także ludzi i inne istoty, jest odczuwanie cierpienia, kruchość i śmiertelność ciała. Ciało wydaje mi niewinniejsze od ideologii, także dlatego, że tak łatwo je zniszczyć.

A gdzie się podział Bóg? Zastąpiła go natura rozbita na drobne elementy?

„Bóg" to pojęcie z zakresu teologii, a moje *Psalmy* nie są książką teologiczną (teistyczną, ateistyczną etc.) Nie interesuje mnie stawianie pytania o istnienie czy nieistnienie „Boga". Nawet w obrębie tradycji judeochrześcijańskiej różni myśliciele różnie interpretują to pojęcie (np. dla Spinozy Bóg bywał tożsamy z naturą). Moja pojęciowość jest inna. Interesuje mnie raczej doświadczenie duchowości dostępne tu i teraz, za pośrednictwem ciała, zmysłów, współodczuwania z innymi istotami. Starałam się opisać doświadczenie współpowstawania różnych bytów, zjawisk i procesów, wzajemnych połączeń i zależności między ja i nie-ja, między życiem i śmiercią, rozkwitem i rozkładem.

O sobie też nie lubisz myśleć w kategoriach tożsamości narodowej? Kim zatem jesteś, gdybyś miała ustalić kolejność autoidentyfikacji?

Elementy tożsamości są trochę jak ubrania, które zakłada się na rozmaite okazje. Bywam Polką: na przykład kiedy jako pisarka z Polski wyjeżdżam na zagraniczny festiwal literacki albo kiedy okazuję paszport przy przekraczaniu granicy. Bywam kobietą, bywam pisarką; w relacji z córką jestem matką. Kiedy jadę na Podlasie, jestem z Warszawy; kiedy zostaję w Warszawie, jestem przybyszką ze wsi. Podczas zajęć na uniwersytecie jestem profesorką, a kiedy biegam w parku – dwunożnym ssakiem. Tak że wszystko zależy od sytuacji. Natomiast czuję silną więź z krajobrazami, z rzekami mojego dzieciństwa – Narwią i Bugiem. Należą do matecznika mojej wyobraźni (zdaje się, że Bruno Schulz właśnie tymi słowami opisał dzieciństwo).

Kim jest kobieta, która mówi w tych wierszach? Raz widać, że to warszawianka z blokowiska, raz – istota kosmiczna, pramatka, której ciało jest dzielone między jej przodków i potomków.

Być może jedną z istotnych kwestii w tym tomiku jest wyłanianie się pojedynczej tożsamości, tego poczucia *ja*, które na pewien czas oddziela się od świata, patrzy, słucha, smakuje, boi się, złości, współczuje. Ale każde ciało będzie w końcu rozdzielone pomiędzy inne byty; składające się na nas molekuły ułożą się kiedyś w jakieś inne zjawiska. Czy dałoby się myśleć o tym z miłością, bez lęku? Takie pytanie także się pojawia.

Jesteś w Polsce, w środowisku naukowym, utożsamiana z badaniami nad ekokrytyką. Czy ten kierunek akademicki przekłada się dzisiaj na jakieś realne zmiany w myśleniu? Widzisz dla niego szansę w Polsce, gdzie ciągle jeszcze dyskutuje się o zmianach środowiska naturalnego, gdzie indziej uznawanych za oczywiste – jak wycinka drzew czy rozbudowa elektrowni węglowych?

Widzę zmiany w myśleniu. Widać je w akademii. Kiedy zaczynałam zajmować się ekokrytyką (kilkanaście lat temu), wzbudzało to pobłażliwość, teraz akademicka humanistyka jest absolutnie zdominowana przez ekokrytykę i *animal studies*. Widzę też zmiany poza akademią. Wiele osób w różnych środowiskach i na różne sposoby pracuje na rzecz podniesienia świadomości ekologicznej i to faktycznie się dzieje – ale bardzo powoli, być może zbyt powoli, abyśmy mogli uratować polską przyrodę. Niestety w Polsce ekologia stała się elementem politycznego sporu, „ekolog" (podobnie jak „lewak") to element tożsamości, którego należy się wystrzegać, jeśli pragnie się innej politycznej identyfikacji. Bez sensu!

Z **Justyną Czechowską**
rozmawia Paulina Małochleb

Moja głowa dojrzewała na granicy języków

Justyna Czechowska | ur. 1979, literaturoznawczyni, tłumaczka literatury szwedzkiej i norweskiej, animatorka kultury. Współzałożycielka, członkini zarządu, od 2017 r. prezeska Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury, współtwórczyni Gdańskich Spotkań Tłumaczy Literatury, laureatka Nagrody im. Wisławy Szymborskiej w 2018 roku za przekład tomu Linn Hansén *Przejdź do historii* (Lokator 2017).

Paulina Małochleb: Jak to się stało, że wpadła Ci w ręce książka młodej szwedzkiej poetki Linn Hansén?

Justyna Czechowska: W lipcu 2016 roku największy szwedzki dziennik opublikował (po tym, jak wiosną przetoczyła się przez media wielka debata o tym, jakoby Duńczycy mieli lepszą współczesną poezję od Szwedów) listę dwudziestu najważniejszych nazwisk poetyckich ostatnich lat. Wśród nich znalazło się nazwisko Linn Hansén (oraz Atheny Farrokhzad, której książka *Cykl biały* właśnie ukazała się po polsku). Nie zawsze należy wierzyć takim zestawieniom, ale autorką tego była krytyczka, której gustom bardzo ufam. Ponieważ przeczytałam ten artykuł, będąc na wakacjach w Szwecji, po prostu poszłam do biblioteki i wypożyczyłam wszystkie tomiki z listy, w tym *Przejdź do historii*. Ale tamten urlop zajęty miałam szlifowaniem *Wróżby* Agnety Pleijel, nie zdołałam przeczytać wszystkich wypożyczonych tomów poetyckich. Szczęśliwie już miesiąc później wylądowałam na Gotlandii, w rezydencji dla pisarzy i tłumaczy. Tam porwałam tom Linn Hansén z bibliotecznej półki i tego samego

popołudnia przeczytałam go sobie na głos. Oniemiałam po tej lekturze. Ten tekst pulsował mi pod skórą.

Linn Hansén pisze o historii, choć wydawać by się mogło, że to taki „męski" temat. Czy jej poezja ma płeć?

Ha! Temat męski, chociaż po polsku historia jest rodzaju żeńskiego. W tej książce Linn Hansén próbuje rozmontować ten męski temat i go uczłowieczyć, to znaczy oddać również kobietom i dzieciom, ba! nawet zwierzętom. Dla jednego ważne jest to, że jego dziadek żył na początku dwudziestego wieku, dla kogoś innego, że jego babcia żyła na trzecim piętrze. To, co powiem, będzie pewnie mało popularne, ale jestem wręcz przekonana, że literatura, tym bardziej poezja, ma płeć, płeć kulturową. I nie chodzi o ten czy inny temat, ale o wrażliwość. Często myślę sobie, że niektórych tekstów napisanych przez kobiety mężczyzna nie przetłumaczy. Chociaż kobieta dobrze wykształcona będzie w stanie przetłumaczyć teksty mężczyzn. Dzieje się tak między innymi dlatego, że kobiety przez wieki zmuszone były do życia w męskim świecie, do rozumienia go i poruszania się w nim. Szwedzka krytyczka literacka i badaczka literatury Ebba Witt-Brattström mawia, że edukowano nas na półwykształconych ludzi, staliśmy na jednej nodze, ponieważ uczono nas tylko o osiągnięciach mężczyzn. Dziś, kiedy wiedza na temat kobiet w historii jest coraz większa i bardziej dostępna, sięgają po nią głównie kobiety, to kobiety nadrabiają zaległości i czytają dawne teksty kobiet. Mając bagaż męskocentrycznej edukacji, dążą do całościowego, nie połowicznego wykształcenia. Podoba mi się taka teoria, choć mam nadzieję, że w przyszłości wszyscy, niezależnie od płci, będziemy chcieli być wykształconymi w pełni. Zatem tak, poezja Linn Hansén ma płeć, spowodowaną bardziej doświadczeniami dziewczynki i kobiety, a nie tym, że urodziła się z żeńskim ciałem.

W jej tomie słowo „wojna" pojawia się dwadzieścia siedem razy – a w sumie mamy tu pięćdziesiąt cztery wiersze. Czy to największa z obsesji tej autorki?

Nie, to największa obsesja historii, której się uczymy w szkole i którą w kółko powtarzamy. Dlatego chcąc ją zdekonstruować, autorka musi tak właśnie robić, pokazywać to, co mamy. W tej książce nagromadziła wyimki z podręczników do historii, po czym wrzuciła w to jakiś pocisk, albo wskoczyła jak w kałużę, tak że wszystko rozbryzgało się na boki.

W tłumaczeniu nie ma nic automatycznego, każdy język zasadza się na zupełnie innej filozofii. W jaki sposób Ty zmagasz się z przekładem?

Zdecydowana większość znajomych tłumaczy nauczyło się języka, z którego przekładają, w dorosłości. Dojrzałą głową rozumieją jego materię, filozofię i brzmienia. Ja miałam to szczęście, że w Szwecji bywałam już jako dziecko, a języka zaczęłam się uczyć jako piętnastolatka. Moja głowa dojrzewała zatem na granicy pomiędzy dwoma językami: intensywnie uczyłam się szwedzkiego, przysłuchiwałam się mu, oglądałam szwedzkie filmy i słuchałam szwedzkiej muzyki, zaczęłam czytać szwedzkie książki. Jednocześnie bardzo bałam się stracić język polski, dlatego pisałam dużo długich listów do przyjaciół, starałam się spędzać w Polsce większość wakacji, czytałam po polsku i słuchałam polskiego punka. Mimo to, kiedy wróciłam do Polski jako dwudziestoparolatka, okazało się, że mój polski jest dużo słabszy od szwedzkiego. W ciągu kolejnych lat nadrabiałam tę stratę. Zresztą wciąż nadrabiam, bo języka, czy ojczystego, czy obcego, uczymy się przez całe życie. Zawsze czytam książkę, którą mam przetłumaczyć, czytam spore fragmenty na głos, i w oryginale, i po polsku. Przysłuchuję się rytmowi. Kiedy tłumaczę poezję, szukam w internecie nagrań z autorskich czytań szwedzkich poetów. Pracując nad powieścią, śledzę szwedzką recepcję książki, słucham wywiadów z autorami. W ten sposób docieram do tego, co mogło umknąć mojej uwadze. To dla mnie ważne, jaką reakcję wywołała dana książka w Szwecji, bo chcę, by w przekładzie wywołała podobną. Nie w mediach, ale w czytelniku. Jeśli szwedzki czytelnik zaśmiał się w danym momencie, w tym samym miejscu powinien zaśmiać się czytelnik polski. To dla mnie dużo ważniejsze niż to, że jakieś słowo nie ma dobrego odpowiednika.

Część czytelników, a także mediów nie zwraca uwagi na nazwisko tłumacza, uznając, że jest on rodzajem transmitera, przepisywaczem z jednego języka w drugi. Założone przy Twoim udziale stowarzyszenie stara się zmienić tę opinię. Z czego wynika marginalizowanie wkładu tłumacza?

Od początku swojej działalności STL zwraca uwagę mediów na rolę tłumacza i upomina się o podawanie jego nazwiska przy prezentacji książki, od 2009 roku wspólnie ze Stowarzyszeniem Instytutów Kultury Krajów Unii Europejskiej EUNIC organizujemy w Warszawie Międzynarodowy Dzień Tłumacza, podczas którego przeprowadzamy lekcje dla licealistów, pokazując im, na czym polega praca tłumacza literatury, od 2013 roku odbywają się Gdańskie Spotkania Tłumaczy Literatury „Odnalezione w tłumaczeniu", mające na celu upowszechnienie wiedzy na temat przekładu. Jest coraz lepiej, dużo lepiej niż jeszcze dziesięć lat temu. Niestety, wciąż spotykamy się z niezrozumieniem, nie tylko mediów i czytelników, ale też naszych zleceniodawców, czyli wydawców. Niskie stawki za przekład oraz słabe, czasem wręcz niezgodne z prawem, warunki umowy wynikają z tego, że wydawca nie do końca rozumie, na czym polega nasza praca. Wiele książek musi być przełożonych szybko i tanio, niekoniecznie dobrze. Ale są wydawcy niezwykle nam przyjaźni, to ci, którzy mają pełne zrozumienie dla naszego wkładu pracy. Dlatego kilka lat temu STL ustanowiło nagrodę Lew Hieronima, która docenia tych najlepszych wydawców, dotychczas otrzymali ją Czarne, Książkowe Klimaty, a w tym roku Karakter.

Paulina Małochleb | krytyczka, badaczka literatury i blogerka. Sekretarz Nagrody im. Wisławy Szymborskiej. Autorka książki *Przepisywanie historii. Powstanie styczniowe w powieści polskiej w perspektywie pamięci kulturowej* (2014).

Kinga Piotrowiak-Junkiert
wybór: Jadwiga Malina

Wiersze

zalew. czarne noce

pojechaliśmy powiedzieć widokowi o tobie
sosny szarpały się jak ostre psy
po drugiej stronie drogi w zagajniku
leżała czaszka sarny

dopóki są resztki
jeszcze tego nie ma

cicha noc. pobrzeża

pękają szkliwa kałuż na wybojach kwitnie ciemno ściernisko
ptak leci zbyt nisko o gołe gałęzie rozdziera oddech
coś sobie przyrzekaliśmy zanim to nadeszło
został tylko zapach mokrej sierści

pejzaż naświetlił się na zbyt długim czasie
mija w nas smugami

wibradełko

jadą panny napoczęte wychowanice domu zary
ponętnieją im kontury gdy wagon metra przyspiesza
rozwiedzione nogi reszta niezamężna

jarzą się w ciemnościach metropolii jak pradawne owady
chrzęszczą pancerzami z lateksu trą łydką o łydkę
czarne limuzyny podwiozą je pod sam potop
znikną pierwsze po wielkich gadach
bursztyn je zatrzyma w pozycji psa z głową w dół

etrog. beladonna

czasem dzwonimy na nasze stare numery
na czterocyfrowe resztki życia które nie było ucztą
tamci chłopcy posiwieli w fotelach
nowe dziewczynki na trzepakach szorują włosami o szeol
tyka osiedle windami kona od zgagi zsypów

wystygły miejsca po nas
obrys klucza nie pasuje do szczeliny

Fosylia. Kantyczki, Dom Literatury Łódź, 2019

Kinga Piotrowiak-Junkiert | ur. 1982. Akademiczka (UAM), tłumaczka literatury węgierskiej i medytująca miłośniczka pływaka żółtobrzeżka. W 2019 ukaże się jej tom *Fosylia. Kantyczki* (Dom Literatury w Łodzi).

Z Tyehimbą Jessem
rozmawia Anna Marchewka

Głosy i ludzie

Tyehimba Jess | ur. 1965 w Detroit. Poeta, laureat Pulitzer Prize for Poetry 2017 za *Olio*. Associate professor w College of Staten Island oraz City University of New York.

Anna Marchewka: Przy tegorocznym Festiwalu Miłosza ukazał się wybór z *Olio*, nagrodzonej w 2017 roku Pulitzerem książki (całość, w przekładzie Jacka Dehnela, ukaże się jesienią). Na początek chciałabym zapytać o tradycje, z jakich *Olio* się wywodzi, bo skoro jednym ze znaczeń tytułu jest „niejednorodna mieszanina różnych substancji", to domyślam się, że może być ich wiele. Wydaje mi się też, że mamy tutaj do czynienia z poezją w działaniu, nie tylko w czasie jej prezentacji na scenie, gdy praca ciała i nawiązywanie więzi z odbiorcami (widzami, słuchaczami) na intelektualnym, emocjonalnym i zmysłowym poziomie ma duże znaczenie, ale również w zapisie, na papierze.

Tyehimba Jess: Myślę, że miałem szczęście inspirować się szeregiem tradycji. Moje doświadczenie ze slamem sprawiło, że mogłem nauczyć się rozumieć sposób, w jaki wiersz musi sięgnąć ku widowni, przykuć jej uwagę i trzymać mocno, aż do ostatniego słowa. Slam świetnie się nadaje do tego, by utrzymać uwagę grupy ludzi zgromadzonych najczęściej w barze, podchmielonych, myślami błądzących we wszystkie strony i skłonić ich do skupienia się na tobie przez trzy minuty. Utrzymać przez ten czas napięcie jest wyzwaniem. Na pewno był to dla mnie krok naprzód. Slam ukształtował sposób pracy mój i ludzi, z którymi dojrzewałem, takich jak moja koleżanka Patricia Smith, będąca dla mnie źródłem inspiracji i przykładem, jak ciężko pracować na papierze, by potem wynik tej pracy bronił się samodzielnie na scenie. Kolejną sprawą było moje zaangażowanie w organizację Cave Canem, czyli czarny warsztat dla poetów. Stanowiła dla mnie podstawową rodzinę w czasie budowania umiejętności i szlifowania sztuki poetyckiej na papierze, zmusiła mnie też do przyznania, że nie chodzi tylko o samo pismo: zabrała z *page to stage*, podniosła mnie od biurka, zaprowadziła na scenę i z powrotem. Głęboko interesuję się historią i opowieściami, tymi naprawdę ciekawymi z przeszłości, więc postrzegam siebie jako opowiadacza, i to takiego, który prowadzi badania zwłaszcza nad Czarną Historią Stanów Zjednoczonych. Mocno wpłynęła też na mnie zgromadzona wiedza o muzyce i o tym, jak tradycja jazzu i bluesa (które są dla mnie źródłem fascynacji) ukształtowała amerykańskie społeczeństwo. Te wszystkie sprawy składają się na energię napędzającą moje działanie.

Myślałam o różnego rodzaju tradycjach scenicznych, między innymi teatralnych. Nie wiem, czy to nie za dużo powiedziane, bo slam niby też jest aktywnością sceniczną, ale teatr to trochę inna sprawa. Na Festiwalu Miłosza gościła poetka ze Słowenii, Katja Gorečan, dla której wiersz ma być jak tekst dramatyczny, postacie występujące w jej wierszach budowane są na kształt postaci z dramatu. Czy to dobra intuicja, by *Olio* również w tym duchu czytać?

Tak, na pewno slam do pewnego stopnia jest teatrem: używasz głosu, by wypełnić nim scenę. Czasem ludzie zwracają uwagę tylko na czytanie i nazywają je „przedstawieniem". Rozumiem to w kontekście używania swojego głosu do mocniejszego wyrażenia wiersza. Chcę korzystać z głosu, by wyrazić cały wachlarz ludzkich emocji. Raz bardzo wysokim tonem, raz bardzo głośno, a kiedy indziej bardzo cicho i nisko, albo mocno przyspieszając, a innym razem powoli, drobiąc sylaby, dochodzić do celu. Gdy wkraczasz na scenę, można nawet

powiedzieć: na podium, stajesz przed widownią, ku której wychylasz się ze swoją pracą, wtedy wszyscy biorą udział w pewnego rodzaju przedstawieniu. Nawet jeśli wiersz czytany jest monotonnym głosem, wciąż mówimy o przedstawieniu. Innymi słowy: odmienny sposób patrzenia na to zjawisko. Mówisz o teatralności – myślę zatem o możliwości publikacji, bo gdy czytasz swój wiersz, to zupełnie jakbyś go wydawała na scenie. Chcę publikować swoje wiersze w najlepszy ze znanych mi sposobów. Za taki uważam używanie pełnej skali mojego głosu, wszystkich narzędzi, w których posiadaniu jestem. Moje działanie przekształca się w to, co ludzie mogą nazywać teatralnością. Z drugiej strony nie chcę przesadzić, sama rozumiesz, nie chcę przedobrzyć, przekroczyć granicy. A granica jest bardzo wyraźna między tym, jak stosownie unieść wiersz z zapisu, z kartki w powietrze i nie sprawić przy tym, by nie zaczął się rozpadać, nie przemienił się we własną parodię. Mam tutaj na myśli wszystko, cały kontekst, nie tylko samo czytanie wiersza. Jak już powiedziałem, postrzegam siebie jako opowiadacza historii. Czytając wiersz, trzymam w swoich rękach ludzkie losy. I chcę tych ludzi uszanować w procesie przekazywania dalej ich historii. Nie chcę ich strywializować, chcę znaleźć stosowną formę, okazać odpowiednią dozę szacunku, na który zasługują. Rzecz w tym, by tę granicę teatralności odkryć i za nic nie przekraczać.

Historie ludzi występujących w *Olio* są prawie nie do udźwignięcia, ale jednocześnie mają niemal niewyobrażalną siłę. Przygotowując się do naszej rozmowy, obejrzałam kilka dokumentów o bohaterach książki – wiedza o nich jest jednocześnie osiągalna, ale i nieobecna, jakby zamazana, zatarta, przesłonięta. Czy było twoim celem wypełnić tę lukę w powszechnej wiedzy i świadomości, podając cały zestaw informacji? *Olio* jest piękną i przejmującą książką poetycką, udało się w niej zachować równowagę między zaangażowaniem a czułością dla formy.

Słuchając twojego pytania, pomyślałem o jeszcze jednej osobie, która wywarła na mnie duży wpływ i była istotną inspiracją. To poetka Marilyn Nelson. W swoich książkach wykonała ogrom pracy historycznej, odkryła istotne historyczne kwestie i zdarzenia. Czarna Historia na całym świecie jest w tak oczywisty sposób zacierana, ukrywana i niszczona na rozliczne sposoby, że poczułem potrzebę zabrania w tej sprawie głosu. Myślę, że jest to w pewnym sensie zaszczyt podejmować wysiłek, próbować opowiadać zaginione, zagubione, utracone historie. Część z nich było mi znanych, zanim jeszcze zacząłem pracę nad książką. Ale nie wiedziałem zupełnie nic o Edmonii Lewis, która była pierwszą wysoko cenioną afroamerykańską rzeźbiarką. Rzeźbiarką! Przebyła fantastyczną i niesamowitą drogę – była po części Czarna, po części rdzenną Amerykanką. To, że nie znałem wielu z tych historii, do pewnego stopnia wzbudzało we mnie gniew, czułem, że powinienem je znać, wiedzieć o nich znacznie więcej i znacznie wcześniej. Gniew spowodował konieczność przedstawienia tych głosów możliwie wiernie i dokładnie. To jest zatem paliwo, ta energia, którą wniosłem do wierszy. Gdy czytam Marilyn Nelson, piszącą o umierającym niewolniku, a potem o wieszaniu jego kości w gabinecie lekarskim, albo o George'u Washingtonie Carverze, botaniku, naukowcu, wynalazcy i agronomie, gdy czytam Roberta Haydena, gdy słyszę o przewozie niewolników przez Atlantyk, czuję chęć opowiadania historii, o których ludzie jakby zapomnieli, zwłaszcza tych z okresu między wojną secesyjną a I wojną światową. Moim zdaniem do tej pory nie napisano wystarczająco dużo. Może odbiegam od twojego pytania, ale czuję, że jest teraz wielka sposobność do zgłębienia i przebadania początków czarnej amerykańskiej muzyki – mam na myśli epokę przednagraniową. To ciekawe, jak mogę iść ulicą tutaj, w Krakowie, i natykać się co chwilę na czarne, amerykańskie brzmienia. Dzisiaj prawie niemożliwe jest wyobrażenie sobie muzyki bez tej afroamerykańskiej: od hip-hopu przez rock, soul, blues. Bez wpływu afroamerykańskiej kultury nie byłoby kultury i muzyki popularnej. Gdy więc myślę o tej olbrzymiej energii włożonej w rozwój cywilizacji świata, to przenoszę się w czasy, gdy nikt właściwie jeszcze nie słyszał o afroamerykańskim brzmieniu. Wracając do tamtych czasów, mówimy o *negro spirituals*, mówimy o gospel, pieśniach wykonywanych przy pracy i modlitwie, o bluesie, o wszystkim, co zostało potem wtłoczone w woskowe krążki i rozprowadzone po całym świecie. Chciałbym zobaczyć, jak to wszystko wyglądało, jak ci ludzie to robili, w czym brali udział, czym się interesowali, skąd czerpali inspiracje. Myślę, że to wciągające i zajmujące historie.

Bohaterowie i bohaterki *Olio* to wybitnie uzdolnieni ludzie, ale bywają (zwłaszcza na początku swoich karier) niepiśmienni. Muzyka była w ich świecie sposobem na wyrażenie siebie, sposobem używania własnego głosu: mogę śpiewać, mogę grać na instrumencie i choć nie potrafię czytać ani pisać, to przy użyciu tego głosu opowiadam własną historię. Ta poetycka, wysokoartystyczna książka obejmuje ich dziedzictwo, ich głosy, które są fundamentem współczesnej kultury.

Muszę sprostować: nikt poza Ślepym Tomem nie był niepiśmienny w ścisłym sensie. On rzeczywiście taki był, a na dodatek autystyczny i niewidomy od urodzenia. Ale element wspólny jest taki, że nauka czytania i pisania wśród Czarnych Niewolników była niezgodna z prawem, zabroniona i karalna. W rezultacie to muzyka stała się literaturą, zajęła jej miejsce. Po wyzwoleniu literatura pisana weszła w muzykę, wniknęła, przeniknęła ją. Jeśli zajrzysz do *The Souls of Black Folk* (1903), to zobaczysz, że W.E.B. Du Bois na początku każdego rozdziału cytuje fragment jakiejś *negro spirituals*, ponieważ właśnie to połączenie, stopienie literackości pieśni i literackości tekstu eseju umieszczonego poniżej stworzyło tę książkę. Uważam, że to kluczowa sprawa w procesie rozumienia amerykańskiej literatury poemancypacyjnej, i myślę, że nie będę osamotniony, mówiąc, iż muzyka jest nierozerwalnie połączona z tym, co znajdujemy na papierze. Historia literatury afroamerykańskiej jest trwale

związana z historią muzyki, która stała się tą literaturą, bo była dozwolona po tym, jak zostaliśmy zmuszeni do porzucenia naszych pierwszych, pierwotnych języków, nawet bębnów. Różne historie i opowieści wnikały w muzykę na naprawdę subwersywne sposoby. Dobrym przykładem są opowieści z Biblii, która – nie zapominajmy o tym – była używana jako narzędzie opresji wobec Czarnych Niewolników, tłumaczące i usprawiedliwiające zadawane im udręki. Dlatego przejęcie tego manuskryptu opresji i oparcie się na nim jak na opowieściach o wyzwoleniu jest moim zdaniem rodzajem alchemii, którą muzyka była zdolna wykonać.

Czy można powiedzieć, że głównonurtowa kultura skradła to dziedzictwo?

Taaak, zwłaszcza jeśli mówić o minstrelsach, *minstrel show*, jeśli mówić o przedsięwzięciu, które leżało u podstaw amerykańskiego teatru, opierało się na karykaturach Afroamerykanów i usiłowało, w pewnym sensie, skraść i użyć interpretacji wzorów afroamerykańskiej muzyki i mowy, żeby stworzyć teatr ucisku. Tym właśnie były minstrelsy: teatrami opresji, które miały za zadanie poniżyć Afroamerykanów, upokorzyć ich ducha. Zgodnie z ideą białej supremacji. Zatem nie była to tylko kradzież, uprowadzenie ciała, czarnego ciała, ale również unicestwienie możliwości i zdolności ducha Afroamerykanów do stawienia oporu temu uciskowi. To trochę jak sięganie po piosenki napisane i wykonywane przez Czarnych, a potem – w duchu sprzecznym z oryginałem, wypaczając go – przejmowanie tych pieśni, które napisane zostały jako forma działalności wywrotowej, wzięcie tego brzmienia i przekręcanie go po to, by wystawiając na scenie i czerpiąc zyski, chcieć poniżyć źródło, z którego pochodzą.

Chciałabym zapytać o ciało: ciało tekstu i rolę ciał bohaterów *Olio*. Czy w tej książce podjąłeś wysiłek zbudowania na nowo wizerunku skradzionych ciał i wykrzywionych wizerunków, jak choćby we wspomnianych przedstawieniach minstrelskich? Z książki wyłaniają się portrety pełne godności, choć wcale nie przysłaniasz potwornych elementów ich losów, nie uciekasz od okrucieństwa, które ich dotykało, może nawet są w *Olio* jeszcze bardziej widoczne. Czy to był cel: budowanie portretów szlachetnych i uczciwych?

W przypadku bliźniaczek McKoy na pewno. Jest taki wiersz – manifestacja dwóch głów, dwóch różnych osób złączonych w jednym ciele.

Siostry w tym wierszu nie są już dziwolągami z cyrku, ale wyjątkowo uzdolnionymi oraz rozwiniętymi intelektualnie i duchowo osobami.

Właśnie to chciałem osiągnąć. Dać znać ludziom, by włączyli się w akt ponownego zbadania korpusu wiersza, który wyraża akt wgapiania się w ciało bliźniaczek, ale w tym samym czasie zaangażować się w historię sióstr, ich niewiarygodną odporność i wytrzymałość. I to jest rzeczywiście kwestia ponownego wyobrażenia sobie ciała, stworzenia go w obrazie na nowo. W wierszu *Williams and Walker* mamy do czynienia z sytuacją podobną do wymiany między stand-upowcami, komikami na scenie, którzy wte i wewte przerzucają się kwestiami jak puzzlami, z dwuwymiarowej sytuacji przechodzimy do trzeciego wymiaru. Mam nadzieję, że ten wiersz znajdzie się w książce, która ukaże się w Polsce jesienią, ale zdaję sobie sprawę, jak trudny jest i podstępny. W przypadku Henry'ego „Skrzynki" Browna bierzemy jego słowa i pakujemy je do języka, czy może, mówiąc dokładniej, brzmienia innego poety, który usiłował tak użyć dostępnych mu narzędzi, by wypowiedzieć historię tamtego, zmierzyć ją i zamieszkać w niej. Tak, interesuje mnie ożywianie na nowo tych ciał, usiłuję przywrócić je z przeszłości i pozwolić im żyć na papierze na nowy sposób, taki, jakiego do tej pory nie było.

***Olio* przekracza opozycje binarne, przesuwając uwagę na styk wypowiadanych głosów, budowanych postaci. Często stosujesz taki zabieg jak ten z wiersza *Mark Twain kontra Ślepy Tom*, czyli po jednej stronie mamy jeden głos, a po drugiej drugi. Widać od razu, że to, czego powinniśmy szukać, znajduje się pomiędzy nimi, na styku ich wypowiedzi, w miejscu, w którym się przenikają. By poznać całą historię, musimy czytać te głosy wspólnie.**

Oczywiście Mark Twain był wyjątkowo i oczytany, i piśmienny. Znać to po głosie, który mógł wyartykułować, jego poglądach na świat i tak dalej. Ślepy Tom z kolei już nie tak bardzo, wyrażał się tylko, pracując przy pianinie. To dla mnie istotne, by dać głos ludziom, którzy nie mieli żadnego głosu, bo w czasie, w którym żyli, mieć go nie mogli. Tom nie mógł mieć żadnego prawdziwego głosu, podobnie jego matka. Zatem wkraczam w tamten okres historyczny, gdy już zdążyliśmy nasłuchać się przez tych ponad sto lat historii opowiadanych tylko przez jedną stronę. Teraz musimy oddać głos drugiej, ale z równym zapasem oddechu. Myślę, że właśnie to usiłowałem osiągnąć. Także w innych przypadkach próbowałem dać obu stronom wiersza równą liczbę sylab, bo przecież o równouprawnienie tutaj chodzi. A także, jak sądzę, daje to czytelnikowi szansę na zaangażowanie się w wiersz wynikające z niego opowieści.

Język, który odziedziczyliśmy, jest jak skrzynia. W tym pudle starego języka bywamy uwięzieni. W *Olio* widać chęć nie tyle niszczenia starego języka, ile dekonstruowania go i używania na własnych zasadach – to projekt pozytywny. Na koniec chciałabym zapytać o matki.

O matki?

Tak, o matki bohaterów i bohaterek *Olio*. Relacje między matkami i dziećmi, dorosłymi, które odniosły sukces, były bardzo silne. Myślę teraz o Sissieretcie Jones, która porzuciła wszystko, by zająć się chorą matką, i już nigdy nie tylko nie wróciła do zawodu, ale też straciła majątek, pozycję, zmarła w nędzy.

A wiesz, właśnie znaleziono jej grób i trwa kampania mająca na celu oznaczenie go? Nagrobny kamień pamiątkowy został już położony.

Matka Paula Laurence'a Dunbara, Matilda, dokonała niewyobrażalnego wysiłku, by przeprowadzić go przez szkołę, Central High School, w której był jedynym Afroamerykaninem. Gdy już jako dorosły i doświadczony sukcesem człowiek zmagał się z gruźlicą i alkoholizmem, wrócił do matki, by tam się leczyć i w końcu umrzeć. Jestem ciekawa, czy w całej książce jest więcej miejsca na historie tych kobiet?

To dobre pytanie. Jeśli mam być szczery, to nie poświęciłem wiele uwagi, nie myślałem zbyt wiele i długo o matkach ludzi z książki. Ale myślę, że to cenne pytanie. Bardziej skupiłem się na egzystencji moich bohaterów na etapie życia samodzielnego, poza związkiem z matkami. Występuje w *Olio* matka wymyślonego bohatera, która grała na pianinie i zmarła na zapalenie płuc, co bezsprzecznie znacząco wpłynęło na jego życie. Myślę, że to ciekawy punkt widzenia. W przypadku Sissieretty Jones ważne jest też to, że ciężar troski o podupadającego na zdrowiu rodzica spoczywał na córce, co wynikało z systemu patriarchalnego. O Dunbarze nie myślałem wcale w taki sposób.

Jego żona, Alice Dunbar Nelson, również była poetką?

To prawda. Ich związek był naprawdę burzliwy, że tak oględnie to ujmę. Był gruźlikiem i alkoholikiem, po części też dlatego, że wówczas alkohol uznawano za lekarstwo. A ty co o nich myślisz, o tych towarzyszących matkach?

Że były ukrytymi heroskami.

Taaak, masz rację. To temat na całą, zupełnie nową książkę, jeśli mam być z tobą szczery (*śmiech*). Książkę, która napisana byłaby z całkiemi innej perspektywy, prezentowałaby odmienne ujęcie tego okresu historii i tych ludzi, okresu, o którym w ogóle wcześniej nie myślałem. Matka Johna Williama „Ślepego" Boone'a była samotna. Dbała o niego w bardzo trudnych czasach. Staram się wyobrazić sobie jej życie, ale wszystko kręci się wokół jego potrzeb, nie jej. Edmonia Lewis sama nie miała dzieci, ale myślę, że dokonałem jakiegoś odniesienia do jej matki (matka Lewis była rdzenną Amerykanką), można powiedzieć: księżniczki, jej też rzeźbiarka zawdzięcza zainteresowanie sztuką. Ślepy Tom był dwudziestym pierwszym dzieckiem – pytałaś wcześniej o ciało, tutaj trzeba wrócić do tej sprawy. Rzadko czy prawie wcale ludzie nie chcą rozmawiać o tym wymiarze niewolnictwa. Niewolników rozmnażano jak zwierzęta. Była to część maszynerii, instytucji niewolnictwa jako takiego: pomnażanie dobra, produkcja możliwie największej liczby dzieci, bez względu na psychiczny i fizyczny koszt. Jego matka bez wątpienia była poddana tego rodzaju torturom. Sprawą, o której nie rozmawiamy albo która jest zatajana w historii niewolnictwa w Stanach Zjednoczonych, są dzieje seksualnego wyzysku i gwałtów, wydarzających się w ramach tej osobliwej instytucji. Ten poziom odczłowieczenia w każdym wymiarze był powszechny. Powiedzmy wprost: można było zgwałcić swoją niewolnicę, potem ona zachodziła w ciążę, rodziła dziecko, które można było sprzedać i zarabiać na tym. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Gwałt i jego niewyobrażalnie okrutna natura był integralną częścią systemu. Jeszcze inny wymiar tego zjawiska: ojciec współczesnej ginekologii J. Marion Sims, który przeprowadzał eksperymenty na czarnych kobietach, wypróbowywał na nich nowe metody, nie stosując żadnych środków znieczulających, rujnując ich zdrowie, a czasem doprowadzając do śmierci. W całych Stanach Zjednoczonych spotkasz pomniki ustawione na jego cześć. Ostatnio, w kwietniu, usunięto jeden z nich, ten, który znajdował się w Nowym Jorku, w Central Parku. Stał tam co najmniej stulecie. Tę część historii dopiero teraz rozpoczęto badać. Weźmy takie Wall Street – pierwszymi sprzedawanymi tam produktami byli niewolnicy. Udajemy, że tego nie pamiętamy, nie chcemy zwracać się ku tym okropnościom. Nie wspomnę już o tym, jakie potworności uczyniono rdzennym mieszkańcom, Pierwszym Narodom Ameryki. To zabawne, ale odwiedzając to miasto i widząc takie budowle jak Wawel, myślę o tym, że w Stanach nie ma tak starych budynków, ale za to zbudowaliśmy się na całej zamordowanej cywilizacji. Historia tamtych pierwszych narodów w ogóle nie jest omawiana, nie jest nawet brana pod uwagę. Historia zaczyna się wraz z Białymi, sięga tylko początków Stanów Zjednoczonych, tego miejsca zwanego Ameryką. Mamy mnóstwo pracy do wykonania, przez co rozumiem rewizję naszego rozumienia historii lądu, który zamieszkujemy.

Wyzwaniem jest pisać i rozmawiać o gwałtach tak, by nie reprodukować wstydu. Budowa języka, który w nowy sposób będzie zdolny wypowiedzieć to doświadczenie, chyba udała się Marlonowi Jamesowi w *Księdze nocnych kobiet*, przerażającej powieści, która nie wykorzystuje cierpienia, nie epatuje nim, dokonuje jakiegoś wyłomu. Zgroza scen znajdujących się w tej powieści jest konieczna: popatrzcie i nie odwracajcie wzroku, bo to się wydarzyło. Widzieć to wiedzieć.

Potrzebne są nowe języki, ale i nowe formy wypowiedzi, nowe formy nawet ich udostępniania. Zawsze staram się znaleźć sposób zwrócenia uwagi na te kwestie, a robię to, wychodząc poza ramy i trochę przy nich majstrując. Tyle jeszcze jest do zrobienia. Ale po pierwsze, to sprawa badań, wyszukiwania potrzebnych informacji. Przypomniało mi się teraz, co kiedyś powiedziała Toni Morrison: „Tylko wtedy, gdy doświadczamy nowych rzeczy, poruszamy się naprzód". Mamy nowe poziomy rozwoju medycyny, technologii, wydarzenia polityczne. Bardzo doceniam w wyprawach w tył, dzięki pracy historyków, odkrywanie nowych pokładów wiedzy o tym, skąd przyszliśmy, przez co zyskujemy całkiem nowe rozumienie tu i teraz. Dam ci taki mały przykład: historia Sally Hemings, niewolnicy Thomasa Jeffersona, była pomijana aż do wynalezienia badań genetycznych, które pozwalają znajdować przodków i wykazywać pokrewieństwo.

A gdy już ta historia wyszła na jaw, to próbowano przedstawiać ją jako dzieje romansu.

Właśnie, a przecież z taką dynamiką władzy jaki to niby mógł romans? Ta historia została zaprzeczona przez

białych potomków Jeffersona, mówiono, że to tylko pogłoska, że plotka, ale nie można było wyprzeć się wyników badań DNA. W czarnej społeczności ta sprawa była powszechnie znana od dawna, pisano o niej. Zawsze powtarzam młodszym od siebie poetom, moim studentom: poznaj historię swojego kraju. Pracuję w Nowym Jorku, czyli bardzo zróżnicowanym mieście i w związku z tym mam do czynienia ze studentami pochodzącymi z różnych miejsc, najdalszych zakątków świata. Mówię: mieszkacie tutaj, dobrze wiedzieć możliwie dużo o historii Ameryki, ale także dowiadujcie się jak najwięcej o krajach, z których przybyli wasi przodkowie, o tym, co łączy te dwa kraje. Ta różnorodność, z jaką w Stanach Zjednoczonych się spotykamy, to bogactwo, które wytworzyło swoisty dynamizm, zderzenia idei tak mocne, że aż iskry latają, sprawia, że wszystko może się wydarzyć. Przywołam teraz przykład Layli Long Soldier, autorki *Whereas*, która wzięła tekst opublikowanych przez Baracka Obamę przeprosin skierowanych do rdzennych mieszkańców Ameryki (które to przeprosiny nie przyniosły żadnego skutku) i umieściła w nich swoją historię – przeczytaj, na pewno cię to zainteresuje. Rozmawiamy o historii, tyle jest wspaniałych opowieści, które do tej pory jeszcze nie zostały wypowiedziane: kobiet, wszystkich mniejszości, w tym LGBTQ.

Teoretycznie jesteśmy po przełomie perspektywy, ale nadal nie dzieje się tyle, ile powinno. Wszystkie te historie są na wyciągnięcie ręki, ale jednocześnie konserwatywna fala zwrotna usiłuje te działania poznawcze zablokować. Nostalgia za „starymi, dobrymi czasami" trzyma się mocno tak w literaturze, zwłaszcza popularnej, jak i polityce. Chodzi tutaj nawet nie tyle o konserwatyzm, ile pragnienie utrzymania władzy i podtrzymania kultury przemocy.

Wiesz, Ameryka jest bardzo brutalnym krajem, który został zbudowany na przemocy, na ludobójstwie, na niewolnictwie. Nie wiem, co przyniesie przyszłość, ale na pewno grzebanie w przeszłości i analiza znalezisk pomoże nam zrozumieć, czego przemoc dokonała, jak ukształtowała nasze postrzeganie świata i sposoby, w jakie podtrzymujemy ją w naszej codzienności. Częścią rozwiązania problemu jest wskazanie go. Taki jest również po części mój cel. Dla mnie jest to zarazem proste i skomplikowane, opowiadanie, co się nam przytrafiło, co uczyniło nas tymi, którymi jesteśmy. Gdy patrzę na te jednostki z przeszłości, sprzed stu pięćdziesięciu lat, widzę, że owe wydarzenia są paralelne do tego, co dzieje się dzisiaj, w dwudziestym pierwszym wieku. Można wskazać wiele powinowactw, lincze, które wydarzyły się w książce, wciąż mają miejsce i dzisiaj. Zgodnie z trzynastą poprawką do konstytucji Stanów Zjednoczonych niewolnictwo jest legalne, możesz zostać niewolnikiem, jeśli jesteś skazany w związku z popełnionym przestępstwem. Zatem mamy w tej chwili do czynienia w Stanach Zjednoczonych z *prison-industrial complex*, czyli z przedsiębiorstwami więziennymi, prywatnymi więzieniami – możesz nie tylko zainwestować w więzienia, ale i na nich (czyli na więźniach) zarabiać. Zgadnij, która społeczność jest najczęściej ścigana sądownie, przeciwko której stawiane są najczęściej oskarżenia? Czyli w dziewiętnastym wieku mieliśmy niewolnictwo, a w dwudziestym pierwszym mamy *prison-industrial complex*. W tych przedsiębiorstwach więziennych wcale nie chodzi o resocjalizację, ale o karę i wytworzenie populacji, która może zostać nie tylko uwięziona, ale z której można czerpać zyski. Więźniowie stają się własnością tego systemu, wykonują na jego rzecz usługi i produkty. Na przykład – zamiast zarabiać piętnaście czy dziesięć dolarów na godzinę, zarabiasz dolara czy pięćdziesiąt centów, wykonując cały dzień telefony w ramach infolinii jakiejś firmy albo robiąc meble. Czyli wciąż rozmawiamy o tym samym systemie, zmienił się tylko jego sposób działania.

Kraków, 11 czerwca,
Massolit Books&Cafe

Anna Marchewka | Krytyczka literacka, doktor nauk humanistycznych, związana z Uniwersytetem Jagiellońskim. Wydała *Ślady nieobecności. Poszukiwanie Ireny Szelburg* (2014).

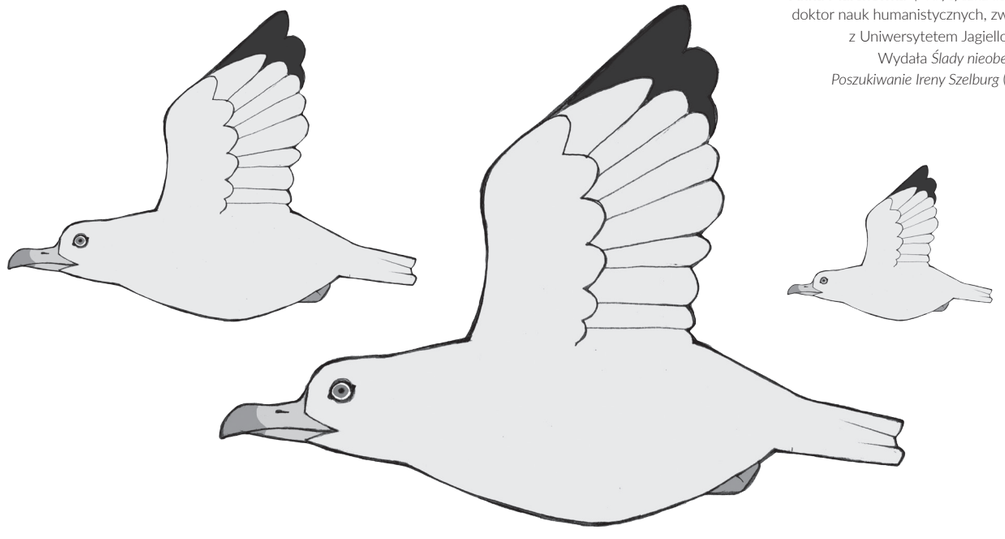

Elfriede Gerstl

Pola gry

Elfriede Gerstl | ur. 1932 w Wiedniu, zm. 2009.
Poetka, eseistka, autorka krótszych form prozatorskich. Późne odkrycie literatury austriackiej. Laureatka Erich-Fried-Preis (1999) oraz Georg-Trakl-Preis für Lyrik (1999).

Hasła albo idzie dalej

dalej
idzie
idzie dalej
idzie dalej żeby coś szło dalej
żeby coś szło dalej tymczasowo
/ coś idzie dalej żeby coś pozostało
żeby tymczasowo coś pozostało
żeby pozostało co tymczasowo pozostaje
żeby co pozostaje tymczasowo pozostało
co pozostające
co tymczasowo pozostające
tymczasowo pozostaje co tymczasowe co pozostające
tymczasowo pozostaje co pozostające
/ co tymczasowo tymczasowe
tymczasowo pozostaje co tymczasowe
/ co pozostaje pozostające
tymczasowo pozostaje co pozostające
/ co tymczasowo pozostające
żeby coś szło dalej coś tymczasowo idzie dalej
żeby coś tymczasowo pozostało
żeby coś szło dalej tymczasowo coś idzie dalej
żeby coś tymczasowo szło dalej
żeby coś dalej pozostało coś idzie
żeby coś szło dalej coś pozostaje
dalej pozostaje
idzie
dalej
dalej

Hasło: sam na sam tylko z sobą

gdy jestem w domu sama najpierw muszę położyć się do łóżka, powiedziała Grit
a ja robię sobie fryzury i przymierzam stare ciuchy, powiedziała Linda, która siedziała na podłodze, trzymała przed sobą lusterko kieszonkowe i malowała kredką oczy, albo puszczam płyty i tańczę do muzyki, ja w ogóle nie znoszę kiedy jest cicho, powiedział Wannemacher, zawsze mam włączone radio albo słucham starych przebojów leżąc na podłodze, wyciągnięty jak długi, z uchem przy wzmacniaczu
Nebhut kucał przy regale Grit ale nie wyciągnął żadnej książki, czytać lubię już tylko w łóżku, powiedziała Grit, pisać też, Nebhut oparł się czubkami palców o podłogę i nadal oglądał grzbiety książek, a ja, powiedział, zawsze myślę, powiedział, kiedy sam jestem w domu, myślę o dziewczynach, których chciałbym dotykać, o dziewczynach, których już kiedyś chciałem dotykać, kiedy byłem z nimi sam, kiedy w ogóle byłem z nimi sam na sam, można sobie wyobrazić jak coś takiego idzie u ciebie dalej, powiedział Brüller i wszyscy pośmiali się trochę (a to dlatego że wszyscy jednak też oczekiwali, że teraz pośmieją się trochę)

listopad i deszcz. Georg Bendl w sublokatorskim pokoju ćwiczy zaplatanie palców. W domu nie ma nic na ząb, ani do schrupania, ani do przegryzienia, ani przeżucia, ani połknięcia, ani skonsumowania, niczego co chciałby wziąć pod koc lub do ust, ciągle tylko myśleć to także głupota, myśli, no to pojadę do Schönebergu do Grit albo Lindy i do innych, zobaczyć co się dzieje

Hasło: wierzyć, uważać, mniemać

wiesz, powiedziała Grit, chyba wpadłam w swego rodzaju chorobę umysłową, bo nie potrafię się zadomowić i zagrzać miejsca w jednej z konfekcjonowanych tanich ideologii; wyposażona w (nieszkodliwą) porcję konsekwencji (tego niechodliwego towaru z półki filozofii moralności) mogłabym siedzieć w społeczeństwie miękko i pod ochroną i uważać się za elitę lub rewolucjonistkę

bzdura, powiedział Rettenbacher, który akurat miał coś stałego (podobno ma znowu stałą przyjaciółkę) przecież ty tak czy owak należysz do nas, i zaczął szukać w kuchni pustych butelek po piwie

to zależy, odpowiedziała Grit, z kim akurat rozmawiam, w jakie kanony lub sekty ten ktoś wierzy, każdy wierzący prowokuje mnie do sprzeciwu, bo wszystkie ideologie, systemy i kalkulacje też mają różne strony i haczyki, a nawrócenie jest przecież takie zdrowe i taki euforyzujący, godny podziwu jest orgazm dogmatyka, w najlepszym wypadku mogę powiedzieć, do czego nie jestem przekonana, co wydaje mi się nieprawdopodobne, w co nie mam potrzeby wierzyć, jakie myśli są mi obce lub wstrętne, natomiast wyznania miłosne zawsze przychodziły mi z trudem

twierdzisz że srasz na konsekwencję, przekazał Rettenbacher za pośrednictwem swoich ust, i przypuszczalnie chciałabyś, żeby twój system był spójny, obawiam się że naprawdę nie można ci już pomóc

o czym wy gadacie, kiedy w domu nie ma ani grosza, powiedział Georg Bendl, który powiesił w korytarzu swój płaszcz do wyschnięcia
no to chodźmy do nich, zaproponował Rettenbacher
na imprezę, powiedział Georg Bendl
tak to się nazywa, dopowiedziała Grit
naprawdę nikt już nie ma papierosów,
zapytało olśniewające zjawisko zwane Georg Bendl
gesty Grit zastąpiły odpowiedź,
Georg Bendl nie spodziewał się innej

Hasło: polityka (światowa)

bo Europa to wielki wychodek z wzorem cebulowym i stiukowym sufitem, i Ameryka to wielki wychodek, który za miliony dolarów wynalazł spray do zabijania zapachów, także woniejący wychodkiem, w dwóch małych wychodkach na Bliskim Wschodzie ćwiczy się sranie na wyścigi, dwaj wielcy bracia sraczowi dostarczają im karmy i obserwują wszystko przez trzecie oko pośrodku czoła, nie znam drugiego miejsca, które by tak śmierdziało i było tak zasyfione, nie dam też sobie dłużej narzucać w rozmowie niemieckich lasów i krematoriów a na chińskie pola ryżowe wysłałabym co najwyżej naszych średniowiecznych chłopów z Mühlviertla i Waldviertla, żeby znaleźli się przynajmniej w przedrewolucyjnym XIX wieku, ale co zrobić z kimś, kto jest już w XX, ma wysiąść z rakiety i odciąć kabel, a może zatkać nos i nauczyć się oddychania przez usta albo samemu zostać wielką dupą, która pasuje do każdego wychodka

skończ już z tym, powiedział Rettenbacher, tak nie gada nikt na przyjęciu, chyba że nagle nie jesteśmy na przyjęciu

nie bądź taki głupi, odpowiedziała Grit swoim górnym końcem, skąd podaje większość odbieranych akustycznie informacji, a czymże jest przyjęcie (oprócz zbioru słów), grą, której zasady nie są dokładnie ustalone a poza tym można je zmienić, nie wiem też gdzie jesteśmy, ale jeśli chcesz mogę wymyślić nazwę tego miejsca (Miejsce!), a ludzie, którzy przyglądają się nam przy myśleniu i których krytyki wydajesz się obawiać, też powinni lepiej coś wymyślić, zamiast wydrapywać sobie łupież z włosów i wysysać resztki jedzenia z dziur między zębami

to przecież wojeryści dusz, powiedział Rettenbacher, którzy chcą podglądać jak sobie radzimy z etycznymi wzdęciami, lub mają nadzieję że uda im się podsłuchać intymne wyznania, które legitymizują ich własne fantazje erotyczne, przykłady dynamiki grupowej, analizy charakteru jedną z powszechnie stosowanych metod

Hasło: język(i), gry i zabawy

czasami budzę się rano i tylko wyleguję się w łóżku i nie mam na nic ochoty
czasami budzę się rano i tylko wyleguję się w łóżku i mam ochotę na wymyślenie jakiejś zabawy
i picie nazywam rzyganiem, wąchanie smarkaniem, herbatę nazywam dziś moczem, placek gównem, pocenie się to posypywanie cukrem pudrem, genitalia na razie nazywam jeszcze genitaliami
teraz mogę wypowiedzieć zdanie
jest wczesny ranek, słoneczny dzień, Alfons mój drogi mąż, rzyga moczem, smarka różami, je gówno i po genitalia cały jest posypany cukrem pudrem, albo, gdy mam ochotę, dziś mogę się powstrzymać od używania języka mamusi (narodu)
/ nie jestem bowiem odbiorcą rozkazów, mnie niech będą dzięki, przynajmniej nie bezpośrednio, przynajmniej /

i umówić się z moją matką,
przyjacielem albo z dzieckiem Brigitte, które znajduje się już na etapie Myszki Miki, na język mimiczno-zabawowy albo wymyślić dla siebie i moich przyjaciół język gestów, jaki przyjmują niektóre owady, na przykład trzykrotne ukłucie szpilką w lewy pośladek oznacza zaproszenie na niedzielę po południu, a uszczypnięcie w lewą łydkę znaczy, że można przyprowadzić przyjaciół, w prawą: proszę przyjdź w pojedynkę, delikatne ugryzienie w zgięcie lewego łokcia: dostaniesz swoje pieniądze w przyszłym tygodniu, pokazanie pod lewe kolano i przewracanie oczami: idę do kina na nowy kryminał, idziecie ze mną
to przecież jasne, ja też już jestem za subkulturą, naturalnie że jestem już za wszystkim co nowe i nieodwracalne, ale jak mam się pozbyć języka, jeśli nie za pomocą języka, jak to się

robi, żeby nie dać się irytować swojej przeszłości, nie brać pod uwagę swojej biografii, napisać książkę, która nie traktuje o czasie
ani
o
polityce

jej szminka była koralowo czerwona, to zdanie zawierające możliwą polityczną wypowiedź, w tym roku nie ścięto kwiatów w ogrodzie, to polityczna wypowiedź (dlaczego ma[1] być z tego wykluczona akurat „love”/ „Liebe”, duże L w dużym alfabecie, L jak lues, lelek, Lili(om), lizak)

(nie ma wyjścia, nawet małego jak dziurka od klucza, z czasu, z polityki ani, a jakże, z etyki)
(czy na przykład także i nawet anarchista
nie jest jeszcze gniewnym moralistą)
(w zaprzeczaniu istniejącego stanu rzeczy i pragnieniu zniszczenia nieprawidłowości)
(ponieważ doskonałość uznano za stan nieosiągalny)
cynizm w czystej postaci cieszy widok „zła”, przegranej, kto pragnie zniszczenia, ten nie sra na to co trzeba zniszczyć
(wybacz Ossi, możliwe że nie to chciałam powiedzieć,
możliwe że wszystko wszystko jest zupełnie zupełnie
inne inne)
kiedy snułam tego rodzaju myśli, mężczyzna, który potrafił coś zrobić z moją twarzą, podszedł w butach do mojego stolika, bo znowu muszę siedzieć w kawiarni, i pościskał trochę moje palce i rozsmarował na moim palcu także inny pot (typ skórzane serduszko) swoich rąk, i mamrocząc poszczególne sylaby (niewłaściwe użycie słowa „przedstawienie”) plótł jakieś bzdety (albo bzdury), „przepraszam pana, w ogóle nie wiedziałam, że jest pan aż takim idiotą”, chciałam już właśnie powiedzieć w postaci dźwięku i gramatyki za pomocą swojego aparatu głosowego, żeby trafiło do jego błony bębenkowej i centrum rozumienia, ale poprzestałam na wymruczeniu tego (no, tego co chciałam powiedzieć) w postaci ..... w mojej korze mózgowej

już jako dziecko Grit była uparciuchem co się zowie, jej nauczycieli domowych trzeba było przekupywać tłustymi podwieczorkami żeby nie odeszli
musisz zjeść coś pożywnego, żebyś była duża i silna, przecież logika syci wszystkie dzieci, wieczorna modlitwa jako kosmetyka duszy, i gotowe;
jak będziesz grzeczna, też będziesz mogła kiedyś zostać funkcjonariuszem lub zarządcą, pracownikiem umysłowym, użytkownikiem języka, w ogóle przestrzegaczem zasad, wtedy będziesz mogła przyjmować rozkazy a czasami je także wydawać (innym)

i dlatego powinnam być duża i silna, a jeśli nie chcę, jeśli wolę pozostać mała i słaba, żeby nie pasować do żadnego biurka i nie nadawać się na zabawkę, bo za szybko bym się zniszczyła od bycia kopaną
wtedy cię przywiążemy i będziemy karmić, dopóki nie osiągniesz odpowiedniej wielkości (i nią nie będziesz)

Grit nie udzielała swoim nauczycielom odpowiedzi, zaplatała warkoczyki z frędzli ochraniaczy na meble w drobnomieszczańskiej jadalni, wzbraniała się nabierać mocy, siły, wyższości, wolała siedzieć przy swoich lalkach i robić w nich dziurkę na siusiu (była dziewczynką rodzaju męskiego) (męska czy niemęska, to przecież też tylko kwestia konwencji) tak tak, wczesnodziecięca seksualność, na brodę proroka, Grit pożądała służącej która szorowała podłogę u jej mieszczańskiej babki, życzyła kobiecie ukąszeń węży i użądleń owadów na gołe łydki, żeby po (trudnej do zdefiniowania) chwili móc ją (tę „perłę”, jak wtedy mówiono) uratować

byłoby cudownie, inny świat, powiedziała (lub pomyślała?) Grit, sami luzacy, wyłącznie emocjonalne luksusowe troski, gracze i organizatorzy gier, którzy ni stąd ni zowąd w każdej chwili gotowi są zamienić się rolami, żadnych autorytetów, paru programistów popisuje się swoimi komputerami i robi trochę porządku w miejskim budżecie gazowym, wodnym i maślanym
/ tyle że nie mogę znaleźć żadnego – teoretycznego – uzasadnienia ani zobowiązania do zmiany świata (poza ulubionym myśleniem życzeniowym), gdyż jeśli nie ma prawdy a tym samym żadnych pomyłek i nie da się postulować (bo bóg wie skąd) żadnej etyki, to pozostają tylko moje emocyjki, to znaczy moje do pewnego stopnia stałe psychofizyczne wyposażenie, a wtedy będę miała metr osiemdziesiąt jak Rettenbacher i będę łebskim facetem, zdrowym jak hipochondryk, agresywnym w przekonaniu o swojej sile i wyższości, tak, i wtedy może pozwolę sobie na obrazek świata dla nadludzi, to znaczy stworzę go na swoje podobieństwo (lub na to co mi się nim wydaje) albo będę wychuchanym maminsynkiem à la Nebhut, no ale wtedy to już lepsza jakaś pojednawcza eschatologia, w której będzie przewidziane miejsce honorowe dla ulubionego masochizmu
tak, jest już „coś dla każdego”, byli już myśliciele wszelkiego rodzaju budowy fizycznej i psychicznej konstytucji, a kto nie znajdzie niczego odpowiedniego, ten musi po prostu wykombinować coś z istniejących zasobów /

ależ to, co tutaj uprawiasz, to nagi psychologizm, uznał w tym momencie że musi powiedzieć Krenberger

au, to był zarzut jak cios w splot słoneczny, robi mi się ciemno przed oczami i przez 1 lub 2 sekundy nie wiem co powiedzieć i myślę mniej więcej tak: no i co z tego, to przecież też tylko jedna z wielu ślepych uliczek, a takich które wydają mi się przydatne jest wiele, ale nie robię, jak myślę, tylko miną i gestem udaję zaskoczenie, bo nie mam już ochoty na tę zabawę i chciałabym przestać

1 „ma” w sensie postulatu i potencji (EG)

Hasło: akcja powieści

tak tak, zaraz też znów popatrzę, co robią faceci w podzielonej stolicy albo co robią w moim mniemaniu, czy mówię o sobie czy o nich, mówię przecież o sobie, kto chce mi wmówić, że potrafi inaczej, ten opowiada głodne kawałki lub jest durniem

Hasło: nagusy nadchodzą

bo ja jestem estetą, powiedział Muckentaler i uważał (że w ten sposób może wyrazić), że w Café Windhag, w kolejce miejskiej, w biurze podróży, w redakcji „Arbeiter-Zeitung” czy w kinie Kruger nie chciałby oglądać żadnych brzydkich (lub tak przezeń nazywanych) nieubranych ciał

ani twarzy, dopowiadam, może ktoś zasłania swoją brzydką (lub tak nazywaną) twarz, a to przecież nikomu nie przeszkadza bo i dlaczego miałoby

/ w ogóle, ta koegzystencja troglodytów, wiecznych romantyków, wierzących w prawo oświeceniowców, lunatyków (astronaucików mających dobrą prasę), stalinistów wszelkich kościołów i wyznań obok hedonistycznych tępaków z *jet generation*, całe stulecia roją się wokół mnie w głowach (?) (świadomości?) facetów od frytek i pieczonych kasztanów, ludzi jeżdżących na autodromie i grających na flipperach, kierowców mercedesów i dorożek, prestidigitatorów, kunktatorów i sprzedawców kiszonych ogórków w to jesienne popołudnie na Praterze, który w tej chwili znowu wygląda jak świat, a Johann Strauss spogląda na nas ze stówki, chwała bądź mi /

te same przyczyny te same zwoje
oświadczył z prawdziwym (płaczliwym) (płochliwym) uśmiechem naczelny neurolog stojąc przed wielkim jak ściana zdjęciem mózgu i ukazał w świetle faktów swoje oprószone skronie, które nadawały mu jakiś wygląd

/ ciekawe wyobrażenie, pomyślał skłonny do niezdrowej zadumy Paul H., że te chaotyczne drgania, te nieustanne zderzenia wewnątrz molekuł potrzebują naszych nosów, oczu, uszu i naszej świadomości, żeby być tym czym są dla naszych receptorów: zapachem dymu, smakiem jabłka, ciepłe, mokre, zimne, słodkie, zielone, że mogę to pomyśleć i że nazywam siebie „ja” i że odbieram siebie jako zawsze tę samą osobę, ale w zmienionej postaci i mogę inaczej myśleć niż robić, i gdzie to wszystko ma się odbywać i jak, hę, szefie /

jak oprowadzanie po gwiaździstym niebie
wyrwało się mimo woli uczestniczącej w rozmowie koleżance w postaci komiksowego dymka; myślicielom dymiły czaszki; za oknem stał prosto jak drut dzień w sam raz na kąpiel, dziewczyna przeprosiła w postaci zakłopotania, ale siedzący wkoło słuchacze niczego nie zauważyli i nadal nie zauważali, obłoczki karbolu wznoszą się ku powale, chór ubranych na biało znów usta ma otwarte – bum, rzuca się natura, ta stara zdzira, w postaci lipcowego dnia na zmęczone towarzystwo
shame, shame, shame
Rettenbacher ma swoje wizje, Wannemacher ma swoje wizje, Linda, Nebhut i Krenberger mają swoje wizje, tylko ja wypadłam z gry (wyliczanka: raz dwa trzy – wypad z gry...)
dalej siedzieli w tych swoich gapiących się, rzekomo śmiertelnych powłokach (powłokach czego, wciąż jeszcze ten mit: wewnątrz i na zewnątrz), pozostała resztka czujnej świadomości ledwo wystarcza do picia coli, dotykania tu i tam, mylenia właściciela dotykanej skóry

siostry Edith i Ditta obok siebie, obie z szeroko otwartymi oczami, czekając na różne ręce, które do skóry na karku, po skórze pod bluzkę, ja chodzę jeszcze do szkoły, tylko raz, jeden raz się nie liczy, a jak się nie liczy, to zawsze może się zdarzyć, Edith ma na skórze znamię, Ditta chętna: rzuć się na mnie
shame, shame, shame
nawet Nebhut, zazwyczaj uosobienie nieśmiałości, bawi się cudzymi palcami, które leżą na ołtarzach narządów zmysłu, chemizmy szukają rozmaitych wymówek i już rozkwitają fata-morgany; a skąd oni biorą towar, skoro ciągle są bez kasy, mówi do Grit piękny człowiek Georg, szukali w korytarzu pustych butelek po piwie, żadnych nie znaleźli, tylko resztkę coli i cichy pokój z dalekim widokiem ponad drzewami i nasypem kolejowym i stare radio
przyjdziesz
zapytał piękny Georg i już leżał na kanapie
włącz termowentylator
odparła Grit poprawnie w miejscowym języku
a jeśli przyjdą tutaj na rauszu, ja za tym nie przepadam
możemy się zamknąć na klucz
powiedział Georg, który znowu wstał
ale mnie nadal jest zimno
powiedziała Grit, zdjęła but i podstawiła stopę pod strumień ciepłego powietrza
zaraz zrobi się cieplej
odparł Georg i pogłośnił radio

przeł. Ryszard Wojnakowski
Podstawa przekładu: *Spielräume*, w: *Mittellange Minis. Werke Band 1*
© Literaturverlag Droschl, Graz – Wien 2012.

Ryszard Wojnakowski | ur. 1956, tłumacz literatury niemieckojęzycznej. Inicjator serii wydawniczej współczesnej poezji austriackiej „Śpiewać to być”. Uhonorowany licznymi wyróżnieniami, w tym Nagrodą im. Karla Dedeciusa. Tłumacz dzieł m.in. Petera Berlinga, Heinricha Böllа, Martina Bubera, Michaela Endego, Wolfganga Hilbiga, Edgara Hilsenratha, Christine Lavant, Klausa Manna, Roberta Musila, Ericha Marii Remarque'a, Josepha Rotha, Bernharda Schlinka, Gershoma Scholema, Martina Walsera.

Amanda Michalopoulou

Na zewnątrz życie jest kolorowe

Amanda Michalopoulou | ur. 1966 w Atenach; prozaiczka. Opublikowała m.in. powieści: *Kość życzeń* (1996), *Dlaczego zabiłam najlepszą przyjaciółkę* (2003; polskie wydanie: Wrocław 2016).

Natknąłem się na to przedwczoraj w gazecie i wciąż mi chodzi po głowie. Oczywiście odciąłem kawałek i schowałem pod materac Kateriny, z którego w zeszłym roku zrobiliśmy tymczasową kanapę. Czytam to przed snem, aż rozmyją się litery: „Ogłaszamy konkurs literacki. Szukamy młodych nowelistów. Nagroda 400.000 drachm". Kartka płonie mi w ręce jak prawdziwe pieniądze.

Od dziecka, gdy słyszałem o darowanych pieniądzach, czułem mrowienie w dłoni. Kiedy grałem w Lotto, to samo. Mówiłem sobie w myślach, na co wydam wygraną i co sobie kupię. Sukienka dla Moniki, mojej staruszce szybkowar, żeby nie przypalała mięsa, dla mnie wieżę stereo ze wzmacniaczem, który poderwie na nogi całe Petralona. Ale jazda, ściany będą pękały.

Nazywam się Sotiris Stamatakis i pracuję na stacji benzynowej, na rogu Dimofontos i Alkidamantos. Czyszczę szyby pańskich aut, a czasem, jeśli mam szczęście, obserwuję, jak laska podnosi spódnicę, by ją poprawić i usiąść jak należy. Żeby poprawić spódnicę, trzeba zrobić ruch do przodu, jakbyś chciał wyjść przez okno. Wtedy, jeśli siedzenie jest głębokie, a przednia szyba niska, widzę majteczki i od razu mam lepszy dzień.

Od małego piszę w głowie opowieści, ale nigdy ich nie kończę. Ciągle mi ktoś przerywa. W szkole od wszystkich dostawałem lanie, moja staruszka wpadała w szał i wrzeszczała. W ten sposób historie nigdy się nie kończyły. To tak jak ze snami – budzimy się zawsze w najlepszym momencie. Wczoraj śniłem o Monice, oboje o tym wiedzieliśmy. Ta fałszywa Monika przyszła do mnie na stację benzynową i pociągnęła za rękaw, by mi powiedzieć coś ważnego. Trzymałem węża i gdy mnie ciągnęła, niechcący nacisnąłem pistolet. Zamiast benzyny poleciał gęsty biały płyn, fałszywa Monika rozbłysła i wszyscy się zbiegli. Płyn wyglądał jak sperma – pewnie dlatego, że oglądam dużo pornosów.

Jednak Moniki jeszcze nie poznałem, nie myślcie od razu o czymś bezwstydnym. Widuję ją co sobotę w „Level" i słucham, jak wołają na nią jej przyjaciółki. W ten sposób poznałem jej imię. Jedna z przyjaciółek Moniki jest gruba i brudna, jak ziemniak wyrwany prosto z ziemi. Ma na imię Maria i to do niej pasuje, bo wszystkie Marie są grube, poza Marią Carrey – ona jest piękna i oglądam ją w MTV. Spiros ma w lokalu telewizor i co wieczór oglądamy MTV, gdzie są śliczne dziewczyny. Wszystkie są szczupłe i umieją tańczyć. To ich praca, wiem o tym, ale czasem nie mogę pojąć, jak można tańczyć tak lekko.

Podoba mi się Vanessa Paradis, trochę przypomina Katerinę, gdy była mała. Wolę jednak Monikę, bo nie jest z telewizji, ale jest prawdziwa. Ma wielkie piersi i dumnie stoi. To znaczy barki do tyłu i szyja wyprostowana, jakby chciała zobaczyć coś bardzo wysoko. Ma długie włosy i wciąż burzy je rękami, kręci. Jej oczy zmieniają kolor odpowiednio do światła. Chodzi do trzeciej klasy liceum – wiem o tym, bo pewnego dnia pozdrowiłem Bibikisa, który siedział obok niej, i usłyszałem, jak mówi o lekcjach na Fakultetach[1]. Niestety, ma okropny głos, trochę piskliwy. Ale to jest jej jedyna paskudna cecha.

Ja chodziłem na czwarty Fakultet, gdzie jest najwięcej uczniów, ale oblałem. Uniwersytet jest dla mięczaków, którzy powtarzają jak papugi, nie dla prawdziwych ludzi. Prawdziwi faceci wsiadają do samochodu i włóczą się. Tak mówi Kerouac, przywódca.

Teraz, gdy skończyłem osiemnaście lat, zrobię prawo jazdy i – ale odlot – kto mnie złapie? Chociaż jeżdżenie bez papierów jest bardziej rozkoszne. Zwłaszcza gdy widzisz, jak

1 Gr. Desmi – w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych obowiązkowy cykl zajęć kierunkowych po III klasie liceum, przygotowujących na studia. Istniały cztery Fakultety, najłatwiejszy i cieszący się największą popularnością był czwarty Fakultet (przyp. tłum.).

gliny robią blokadę i chcesz się zlać ze strachu, a potem cię nie zatrzymują i czujesz się jak Sal Paradise. Czasem prowadzę auto Spirosa, czerwonego hyundaia, w którym wymieniliśmy silnik i ciągnie jak pedał. Spiros jest w porządku, chociaż forsiasty. Przychodził dawniej do domu i jedliśmy frytki z serem. Chodził z Kateriną do klasy i myślę, że mu się rzeczywiście podobała. Nie tak jak Wangelis, blachojajec. Ze Spirosem jeździmy do Kasteli, rozkładamy siedzenia i gadamy o laskach. Ja opowiadam o fałszywej, która jest rokówą w skórach, ale w głębi duszy myślę o Monice. Spiros ma dużo babek, dzięki kafejce podrywa takie kobiety jak w MTV. Ale wydaje mi się, że zawsze myśli o Katerinie.

Kafejka nazywa się „Level". Gdy tylko Spiros skończył szkołę, rozebrał na kawałki kawiarnię swojego starego i zrobił z niej najlepszą kafejkę w Petralona. Chodzę tam, gdy mam wolny czas, i piję frappé special. Special to znaczy włożyć żółtko do shakera i mocno potrząsać. Pierwszorzędne. Przez „Level" przechodzi całe Petralona, także Bibikis, o którym wam mówiłem. Ospowaty i mięczak, ale przyjaźni się z Moniką, dlatego z nim rozmawiam. Wielka ofiara, tylko ona tego nie rozumie. Przychodzi mi czasem do głowy przyciągnąć krzesło i siąść koło niej, jak w filmach. Ale w końcu dopada mnie to, co czuję przy glinach. Chce mi się lać i duszę się.

Jeśli napiszę opowiadanie i wygram, kupię jej sukienkę, którą oglądam na wystawie „Parisian". Jest czerwona w kwadraty i kółka, i kosztuje 13 900 drachm. Podoba mi się, bo przypomina plakat, który Spiros ma w lokalu. Zrobił go pewien malarz o dziwnym nazwisku. Na dole jest napisane: „Na zewnątrz życie jest kolorowe". Z przodu widzimy jakieś czarne żelastwo, jakby zeszyt w kwadraciki, trochę dalej dużo, dużo kolorów. Idę dalej, żeby zobaczyć, czy kolory coś znaczą, czy mają kształt. Za każdym razem widzę coś innego. Przedwczoraj widziałem słonia na pustyni, ale piasek był niebieski. Bardzo lubię ten obraz, bo można na niego patrzeć na wiele sposobów, jakbyś czytał książkę i decydował, co bohater zrobi na końcu. Czy się ożeni, czy zostanie łajdakiem i tak dalej. Podoba mi się też tytuł. Kiedy piję kawę, czuję się tak, jakby przychodził malarz, stawał nad moim ramieniem i mówił: „Nie martw się, przyjacielu. Na zewnątrz życie jest kolorowe". I jeśli dobrze się nad tym zastanowisz, to tak jest: z daleka życie nie jest paskudne.

Moje życie coś będzie miało do powiedzenia innym ludziom. Widzę ich, jak ściskają się w autobusach i pragną krzyczeć, ale nie są w stanie. Czasami jedziemy ze Spirosem do Pendeli i krzyczymy. Kogo będzie głośniej słychać. Puchnie mi gardło, ale lubię to, bo się relaksuję. Lubię mówić „kurwa", nie myśląc o tym, że przeklinam jakąś konkretną kobietę.

Jeśli wygram, może zostanę pisarzem. Od dziecka o tym myślałem, choć nie zarobi się na tym kokosów. Dostojewski był biedny, a inny o dziwnym nazwisku umarł w skrajnym ubóstwie, jak mówili w radiu. Kerouac też nie miał żadnych wygód, miał tylko samochód. Jeśli i mnie dadzą samochód, zostanę pisarzem. Zostawię stację benzynową i będę podróżował nocą. Będę spotykał dziwnych typów takich jak Dean Moriarty. Albo nie, zapomnijmy o tym. Zabiorę Monikę ze sobą i będziemy pisać dziennik. Co nam się przydarzy na drodze i takie tam. Jeśli przejedziemy psa, Monika będzie płakać, a ja napiszę: „Kobieta spogląda za okno i nie mówi do mnie, bo ludzie czasem pragną być sami i spoglądać w ciemność".

A może znajdziemy jakiegoś bezpańskiego i weźmiemy go ze sobą, a wtedy napiszę: „Mamy ze sobą psa i wymyślamy dla niego indiańskie imiona. W tym tygodniu nazywa się Mokry Nos". Będziemy pędzili, aż się będzie kurzyło. Może dotrzemy do mórz północnych. Brecht mówi, że tam nie musisz nic robić. Tylko siedzisz i wyciągasz nogi. O takich rzeczach myślę, podróże i lenistwo, ale przerywają mi je w samym środku. Lubię wyobrażać sobie rzeczy, których nie ma, ale które mogą się zdarzyć. Czuję znów to samo, co przy glinach, ale nie szkodzi.

W rodzinie było nas czworo, ale zostało dwoje. Najpierw uciekł ojciec z tą, która ma zakład fryzjerski „Vivianne", choć ma na imię Wula. Później Katerina z Wangelisem. Jest ciszej, ale nie jest wesoło. Inaczej jest, gdy czworo ludzi je, śmiejąc się i żartując, opowiadając siedzącemu najbliżej swoje tajemnice – inaczej, gdy je dwoje, schylając twarz nad talerzem. Przy stole rozumiesz, czy masz rodzinę, czy nie.

Gdy teraz piszę, moja staruszka jest w kuchni i leci woda. Woła mnie, gdy w radiu puszczają reklamę „nie mamy wystarczająco dużo wody", i myje świeże warzywa, jakby miały pachy. Mydłem, a potem je płucze godzinami. Jakby warzywa się pociły. Ja, myjąc się, robię dobrze, bo zapach benzyny niełatwo znika, a nie chcę, by Monika odwracała głowę w drugą stronę. Potem nakładam wodę kolońską, golę się, schludny.

Jestem przystojniakiem i chcę, żebyście mnie sobie wyobrazili. Ważę sześćdziesiąt kilo, jestem dość wysoki (1,73) i mam czarne, kędzierzawe włosy. Moja staruszka narzeka, że je zapuszczam, ale takie są w modzie. Jeśli zaglądniesz do jakiegoś czasopisma, wszyscy mają końskie ogony. W sobotę zakładam też kolczyki, kółka, ale tylko gdy wyjdę z domu. Idę do „Level", gdzie wieczorem zapalają niebieskie światła, i słucham Doorsów. W zeszłym roku można było słuchać Doorsów tylko w domu, teraz wszędzie puszczają. Z jednej strony się cieszę, a z drugiej jestem wkurzony, że wszyscy słuchają, nie rozumiejąc sensu, tylko dlatego, że taka jest moda.

W tym miesiącu dałem staruszce całą pensję, ale w lipcu kupię płyn po goleniu dla wyjątkowego mężczyzny, jak mówi reklama. Ja jestem wyjątkowy. Pewnie powiecie: „cholera, ale z niego pyszałek", ale ja jestem nieprzenikniony. Czasem wieczorem, gdy kładę się do łóżka i jestem trup po kilku kielichach u Spirosa, rozmyślam o przygodach i sądzę, że wszyscy jesteśmy jedyni w swoim rodzaju, a jeśli pogłowimy się trochę, wyciśniemy przepiękny sok z historiami. O tym mówi jedna z piosenek Supertramp: „wieczorem, gdy ludzie nie śpią, pytania toczą się bardzo głęboko"[2]. Jednak, kiedy tylko otrzeźwieję, pryskają wielkie idee. Wtedy nikt nie jest mnie w stanie przekonać, że życie jest kolorowe.

Dziś jest niedziela i pracujemy w nocy. To znaczy siedzimy na takich fioletowych plastikowych krzesłach i skręcamy papierosy. Wymyśliłem ten sposób, żeby zaoszczędzić. Nudne

2 Chodzi zapewne o fragment piosenki *The Logical Song*: „There are times when all the world's asleep / the questions run too deep" (przyp. tłum.).

jest skręcanie, nudne i palenie. Ale dobrze robi kieszeni. Siedzimy – powiedzmy – z Albańczykiem Filipem i patrzymy w ciemnościach na światła stacji. Ulica Dimofontos wygląda jak aleja na Manhattanie. A jeśli zabuksuje – cień szansy – jakiś plymouth[3] z rozbitą maską, oglądasz film bez biletu.

To, że podobają mi się plymouthy i srebrne lincolny, nie znaczy wcale, że lubię Amerykanów. Mój stary mówił, że mają dziurę w mózgu. Ale gdy się tam rodzisz i codziennie widzisz w telewizji Clintona i jego żonę, ćwiczących szczęki i puszczających balony, możesz się unieść w powietrze. To wcale nie jest śmieszne: albo pochylasz głowę, albo widzisz, jak odkleja się od ciała i wiruje w stratosferze. Wtedy pragniesz uciec daleko i stać się plamką na mapie. Dokładnie tak jak Kerouac. Oczywiście może ci się to przytrafić także w Europie, albo gdziekolwiek indziej. Na ulicy Dimofontos albo gdy jesz i nagle podnosisz głowę znad talerza, bo dziwna myśl o życiu lub śmierci – o której sądzisz, że jest twoją ostatnią – przenika cię jak prąd elektryczny.

Wkrótce zjem faszerowane cukinie i wyjdę. Po jedzeniu lubię trochę posiedzieć. Nie mogę pracować z pełnym brzuchem. Benzyna śmierdzi i zbiera mi się na wymioty. Ale w brzuchu wywraca mi się bardziej, kiedy zatrzymują się gnoje w beemwicach. Modlę się, żeby pękł im drążek. Kiedy nas nie widzą, plujemy z Filipem na maskę. Przynosimy też karaluchy i chowamy je do wozów, które mięczaki zostawiają do umycia. Śmiejemy się jak opętani. Pomyśl sobie o lasce, gdy widzi na brzuchu spasionego karalucha. Chwyta mięczaka, mięczak wrzeszczy, kierownica wariuje i.... bach! Potem żałuję, bo w głębi serca nie chcę, żeby ktoś się zabił. To Ballard jest winny, że napisał książkę o wypadkach samochodowych i zawrócił mi w głowie. Gdy ją przeczytałem, sądziłem, że wszyscy kierowcy na świecie w końcu się rozbiją.

Ale nic w życiu nie dzieje się przypadkowo, bo gdy skończyłem książkę o wypadkach, postanowiłem pracować przy benzynie. Książkę przeczytałem dwa razy i doszedłem do wniosku, że skoro wszystkie testy wypadków prowadzą do wielkiej kolizji, lepiej być blisko, żeby to zobaczyć. Słucham klaksonów i nadstawiam ucha, bo sądzę, że nadchodzi koniec, zbliża się. Może i ja mam brudny umysł Vaughana, głównego bohatera. Ale pewnie zgodzicie się, że wszyscy mamy brudny umysł. Gdzieś w głębi duszy chcemy zobaczyć straszny wypadek.

Zrozumiałem to, zanim zacząłem czytać książki. Popłynęliśmy z moją staruszką na Tinos[4], by zapaliła świeczkę i uklękła na schodach. Im bardziej zbliżaliśmy się do portu, tym bardziej wzmagał się wiatr. Naprężyła się lina, gdy tylko przywiązana została do doku, chrząknęła jak zwierzę i zaczęła się plątać. Powiesiłem się na nadburciu i patrzyłem z sercem rozbitym na dwoje. Z jednej strony nie chciałem, żeby się stało coś złego, z drugiej myślałem o majtku, który w zębach trzyma uciętą linę, krwawi, a potem wynoszą go na rękach przy dzikich wrzaskach. Pewnie ten sam obraz widzieli ludzie wokół mnie. W ich oczach było widać, że czekają, aż coś się wydarzy. Coś niezwykłego. A ponieważ lepiej o tych sprawach myśleć nocą, postanowiłem pracować na stacji benzynowej. Ale nie myślcie, że podoba mi się ta praca. Zżera mnie upał i zazdrość, bo wszyscy oprócz mnie mają samochód. Jeśli wygram, czy wydacie moją książkę? Mogę napisać opowieść o mojej staruszce. Ile pieniędzy można zarobić, jeśli napisze się około stustronicową książkę? Tyle co na stacji? Jeśli tak, chcę to wiedzieć, bo mam już dość smrodu. Najpierw napiszę o wojnie domowej[5], znam dwie przerażające historie. Potem o mojej staruszce, jak ją stary porzucił, i o cygance, która jej powiedziała, że jej życie się odmieni, ale się nie zmieniło. Katerinę, która skrycie wzięła ślub, zostawię jeszcze w domu, niech pracuje w przędzalni. Napiszę mnóstwo kłamstw, opowieści są wtedy piękniejsze. Teraz też napisałem kłamstwo – jeśli potraficie, znajdźcie je. Bez kłamstwa nie da się napisać dobrej historii, bo nic nie jest w porządku samo przez się.

Nie spodziewajcie się pięknej literatury ani ortografii. Sklejam słowa i czasem nie wychodzi nic sensownego. Przepiszę ładnie opowieści do zeszytu z okładką Guns N'Roses, który chowam na wyjątkową okazję. Pewnego razu napisałem list do Moniki, na środkowej stronie. Potem go podarłem. Nie warto pisać listów do kobiet, bo potem je pokazują swoim przyjaciółkom i śmieją się. Moja siostra je pokazywała i od tamtej pory przysiągłem sobie, że nigdy nie dam lasce listu. Choćby to była Monika.

Ponieważ bardzo mocno naciskam ołówek, pęcznieje zgrubienie na środkowym palcu, tak jakbym był w klasie i pisał wypracowanie. Włączę radio, by odświeżyć umysł. Słucham tylko 93,7 na falach średnich, bo puszczają świetną muzykę i nie gadają. Nie lubię, jak gadają, gdy słucham muzyki, ale – zdaje się – wszyscy chcą gadać. Gdy obracam pokrętło, by znaleźć 93,7, nigdzie nie puszczają piosenek. Gdyby mieli rozum, graliby ten nowy kawałek Annie Lennox, który mówi, że miłość to tak, jakbyś chodził po rozbitym szkle, i siedzieliby w studiu, słuchając i pijąc piwo, z nogami na konsoli. To żadna praca, to zabawa.

Kiedy mam szczęście, udaje mi się złapać w radiu Vanessę Paradis śpiewającą *Sunday Monday*. Zamykam oczy i wyobrażam sobie, że Vanessa i Monika się spotykają. Monika ma śliczny głos Vanessy i nosi tę samą białą spódnicę, którą widzę w MTV. Z tyłu za nią jestem ja. Jeśli widzieliście teledysk, zakładam, że na niebie są anioły spacerujące po chmurach. No więc z tyłu za nią jestem ja i Vanessa-Monika odwraca się i uśmiecha się do mnie. Na końcu się całujemy.

Ostatecznie ręka nie boli mnie za bardzo, więc będę kontynuował. Nie lubię zostawiać pisania do następnego dnia, tak jakby to była praca. Chcę wam opowiedzieć o Katerinie, której nie widziałem od pięciu lat. Pewnego dnia znikła, jakby się zapadła pod ziemię. To głupota wychodzić za mąż, mając dwadzieścia lat, i brać pijusa, ale to już jej problem. Jak dla nas, znikła z mapy, czasem tylko rozmawia ze Spirosem. Mówi, że jest nieszczęśliwa, naprawdę nieszczęśliwa, i płacze. Ten blachojajec bije ją po twarzy. Wydaje mi się, że jeśli wygram te czterysta tysięcy, ani nie kupię sukienki dla Moniki, ani wieży stereo. Wyślę je Katerinie z karteczką: „uciekaj, uciekaj daleko i sraj na wszystkich". Wtedy ona otworzy walizkę, włoży do środka parę ubrań, zamknie drzwi z trzaskiem i pójdzie zakurzoną drogą, aż zniknie.

Tak naprawdę czasem brakuje mi Kateriny, bo nie mam z kim w domu rozmawiać. Gdy byliśmy mali, bawiliśmy się z tyłu na podwórku w ganianego i było mi wszystko jedno, czy była, czy nie. Ale w głębi duszy, wcale mi nie było wszystko jedno, po prostu nigdy o tym nie myślałem. To znaczy, gdyby nagle była wojna albo wymiana ludności i ustawiliby w kolejce pięć ukochanych mi osób, powiedziałbym, żeby została moja siostra, a inni niech idą. Teraz nie wiem. Trochę zapomniałem Katerinę, ale na szczęście mamy kilka zdjęć i ją pamiętam. Myślę o niej, że płacze ubrana tak jak na zdjęciach, bo nie znam jej nowych ubrań. Na jednym zdjęciu pomalowałem na czarno jej przedni ząb, bo ma smutną twarz. Ładniejsza jest w innej pozie, na wsi u staruszki. Stoi w objęciach z przyjaciółką, pochyla się do przodu i śmieje. Usprawiedliwiam ją, bo jest na wakacjach.

Latem ja też pojechałem na wakacje. Trzy dni w Mikonos ze Spirosem i jego kuzynem Babisem. Pokłóciliśmy się trochę, bo ja wolałem jechać na Kretę do Petrokefali. Słyszałem tyle opowieści o Krecie od mojego starego. Dom, w którym wtedy mieszkali, widziałem we śnie. Teraz została naga ziemia, ale dawniej był dwupiętrowy dom, wokoło rosły oliwki a mój stary – który kiedyś nie był wcale stary – bawił się z rodzeństwem w skakanie jeden przez drugiego. Mamy pewne zdjęcie z domem w tle, niczym scenografią. Dokładnie tak jak w moim śnie. Z przodu cała rodzina siedzi na krzesłach, a dzieciaki na gołej ziemi. W miejscu, gdzie siedzi mój stary, spadła kropla wody i jego twarz jest rozmyta. Ale to mój stary. Żyło im się wtedy cudownie, widać po twarzach. Potem przyszła wojna, a ponieważ żal im było chłopów, rozdawali kury i dobytek, aż stracili wszystko. Gdybym się wtedy urodził i przekonywał ich, żeby nie sprzedawali, może nie pracowałbym przy benzynie. Może i miałbym czerwoną corvettę.

Nie pojechaliśmy do Petrokefali. Spiros, ponieważ płacił za wszystkich, podejmował też decyzje. W Mikonos bawiliśmy się świetnie, nie powiem. Wieczorem chodziliśmy do „Pieros", baru, w którym bywają cioty i transwestyci. Tam widziałem najpiękniejszą kobietę w moim życiu i była transwestytą. Nie rozumiałem, Spiros mi to powiedział. Potem patrzyłem intensywnie. Pół godziny nie mogłem zrozumieć. Otwarła usta i zaryczała jak osioł. Pojechaliśmy też do „City", gdzie mają przedstawienie z transwestytami, i trochę się rozczarowałem, bo mężczyźni-kobiety są piękniejsze od kobiet-kobiet. Potem 17 września zobaczyłem Monikę i zmieniłem zdanie.

W Mikonos poznaliśmy Irlandki i zabraliśmy je do Psarou. Moja miała na imię June. Nosiła długą hinduską spódnicę, ale owijała ją ciasno wokół tydek, by mi pokazać, że ma ładne nogi. Zrozumiałem, że to był dobry znak, i zacząłem z nią rozmawiać, wykorzystując cały angielski, jaki znałem z piosenek. Potem ją pocałowałem. Była moją pierwszą kobietą i bardzo mi się podobało, że ją pieściłem naprawdę. Dawniej mówiłem, że moja poduszka to dziewczyna, szeptałem do niej różne słowa, pieściłem ją, a potem przestawałem i wymyślałem historie. To samo dzieje się ze mną, gdy czytam moje książki, podróżuję. Mam już około dwadzieścia i co miesiąc kupuję jedną. Kilka wziąłem na chybił trafił, bo miały ładny tytuł, ale okazały się klapą.

Może i czytam twarde książki, ale lubię delikatność. Pamiętam, jak w południe, gdy wracaliśmy z Kateriną ze szkoły, kładliśmy się razem na łóżku staruszki. Głaskałem jej włosy i mówiłem, że jest moją żoną. Ona mnie pytała, co chcę zjeść na obiad, a potem wstawaliśmy, nakrywaliśmy do stołu i jedliśmy z pustych talerzy. Opowiadałem jej, jak mi poszła praca, czy uratowałem kogoś z płomieni (zakładam, że byłem strażakiem), i hałasowaliśmy łyżkami, jakbyśmy siorbali rosół. Właśnie tak bym chciał, żeby było z Moniką, delikatnie i w milczeniu, bym mógł myśleć o różnych rzeczach.

Jedno mnie zastanawia. Mówicie, że to ma być historia na 12 stronach A4. Co to znaczy A4? Czy przeszkadza wam, jeśli wyślę zeszyt w linie? Mówicie też, że ma być 5000 słów. Próbowałem je policzyć, ale nieuczciwe mi umykają. Zadałem sobie trud i obliczyłem w przybliżeniu. Policzyłem w linii i pomnożyłem. Napisałem około 3700 słów, to za mało? Nie mogę napisać więcej, bo znów nabrzmiewa to przeklęte zgrubienie, i myślę, że powiedziałem tyle, ile miałem do powiedzenia, czyli streściłem swoje życie. Teraz mnie woła moja staruszka, a na talerzu czekają na mnie faszerowane cukinie, które są najwspanialszą rzeczą na świecie, zaraz po kobietach. Zwłaszcza jeśli dołożysz na brytfankę trochę ryżu, wokół cukini, są jeszcze smaczniejsze i słodsze.

Jeśli wam się podoba moja historia, ale chcecie bogatsze słownictwo, mam jeden wielki słownik, *Tezaurus języka greckiego*. Zadzwońcie do mnie, ale nie tutaj, bo nie mamy telefonu. Zadzwońcie na stację benzynową i poproście o Sotirisa. Numer telefonu to 34-84-183 i dopóki mnie nie zawołają, będę w wielkim napięciu, jakby zbliżały się gliny.

przeł. Michał Bzinkowski

Michał Bzinkowski | ur. 1975. Tłumacz m.in. Jorgosa Seferisa. Eseista, poeta. Wykładowca w Instytucie Filologii Klasycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego.

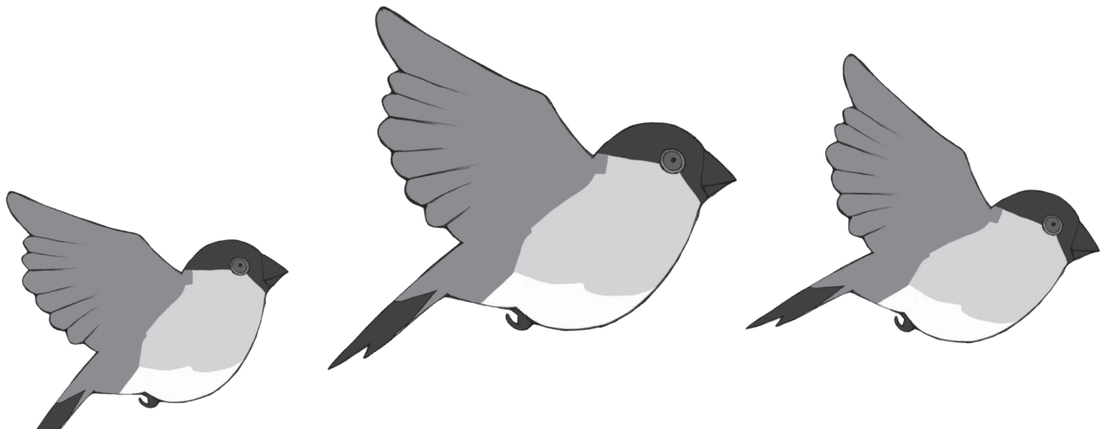

3 Marka samochodu amerykańskiego produkowanego do 2001 roku (przyp. tłum.).

4 Wyspa na Morzu Egejskim w archipelagu Cyklad (przyp. tłum.).

5 Gr. *Emfilios polemos* – wojna domowa w latach 1946–1949 między siłami rządowymi a Demokratyczną Armią Grecji (przyp. tłum.).

Marian Pilot

No pasarán

Marian Pilot | ur. 1936. Powieściopisarz i nowelista, dziennikarz, autor słuchowisk, scenarzysta filmowy. Laureat Nagrody Literackiej Nike 2011. Ostatnio wydał *Życie. Sposób użycia* (2018).

Tâchons d'oublier l'avenir!
Auguste Villiers de L'Isle-Adam

2 stycznia 1492 roku aktem hołdu, jaki emir Grenady Boabdil złożył Królom Katolickim Izabeli i Ferdynandowi, zakończyła się bodaj najdłuższa w dziejach świata, bo trwająca, bagatela! 770 lat wojna między Hiszpanami i Maurami. Trwałaby zapewne dłużej, gdyby Królowie w końcowej fazie wojny nie zastosowali, używając dzisiejszego języka, brudnej bomby biologicznej: otóż zabronili żołnierzom swojej armady się myć… Pomysł demonicznie prosty, Moryskowie, którzy byli czyści z przyczyn nie tylko religijnych, lękali się chrześcijańskiego wojska z dnia na dzień – w miarę jak rozprzestrzeniało się morowe powietrze i natężał smród – coraz bardziej. „W Grenadzie zaraza!" wieki później alarmował Wieszcz… Sam emir Boabdil uległ panice; poddał się, wolał stracić królestwo niż życie. Rekonkwista, która rozpoczynała nową erę dziejach nie tylko Hiszpanii, ale i całej Europy, ba, całego świata, rodziła się w brudzie, w pasożytach, we wszach i mendoweszkach, w oparach tlącej się sierści i smrodzie gnijącego mięsa, przy huku rozbijanych przez barbarzyńskich chrześcijan urządzeń sanitarnych w mauretańskich pałacach i domach. Brudna bomba działa niezawodnie...

Tryumfujący, pyszni i po chrześcijańsku olśniewająco brudni Królowie Katoliccy zdumieliby się zapewne, gdyby się dowiedzieli, że na drugim krańcu właśnie wyzwolonej spod islamskiej okupacji Europy – tam, gdzie śniegi i niedźwiedzie – ludzie poniżeni i upodleni, pozbawieni wszelkich praw, zagrożeni utratą życia w każdej chwili chłopi nadwiślańscy – bo nie polscy, nie mieli prawa do tytułu Polaka (dość, że wolno im było mówić po polsku) – chamy znad Wisły, krótko mówiąc, istoty, w których ledwo kołatało się życie, bydło robocze, świniopasy, z osobliwej iluminacji, natchnienia jednej osoby czy też geniuszu całej tej *sine patre*, *sine matre*, *sine genealogia* populacji, nie wiedzieć jak i kiedy, po omacku prawie, bez rozumu prawie tworzą urządzenie o podobnym co hiszpańskie przeznaczeniu – z tym że będzie to konstrukcja po stokroć bardziej finezyjna, wyrafinowana, tyleż realna, co niematerialna. Niesamowita, nie do ogarnięcia zmysłami, niewyobrażalna w gruncie rzeczy zjawa…

Bodaj to cudzoziemscy podróżnicy dostrzegają najpierw, że w Polsce „na trzech chłopów dwu nosi węzeł włosów dobrowolnie uwity i sklejony na głowie" – osobliwy, nigdy i nigdzie indziej niespotykany sowizdrzalski kołpak, misternie spleciony z włosów delikwenta, świńskiego włosia, psiej sierści, pierza, łoju, śliny, sklejony rozmaitego pochodzenia gównem, pajęczyną – a też pełen pasożytów rozmaitego autoramentu, pcheł, wszy, much, zarodków tężca, duru, gruźlicy, wreszcie kurzu, gliny, błota, słomy, gnojówki, brudów wszelakich…

Skąd on, ten kołtun – taką bowiem nazwę ta misterna i dzika konstrukcja, ta zjawa realna, monstrualna narosł na ludzkiej czaszce nosi? Z boskiego nadania czy czartowskiej poręki poczęty został w swej niesamowitej, budzącej lęk, odrazę i zdumienie postaci? Miał moc samowładnie niczym nietoperz z gatunku krwiopijców osiąść na czyjejś głowie, wczepić się we włosy, mógł zakwitnąć aksamitnym puszkiem na ciemieniu dziecka, rosnąć razem z nim niczym jemioła, mógł wplątać się w warkocze kobiety i opętać ją, mógł dopaść starca i wyssać z niego do ostatka żywotne soki niczym strzyga, wampir czy wołoski drakula…

Co podejrzewać kazało, że ten niesamowity stwór koneksje mieć musi piekielne raczej niż anielskie… Tym bardziej że okazało się niebawem, że kołtun co prawda swawolnie wić sobie może gniazda zwłaszcza na głowach zadających szyku młódek i parobków – ale to są figle i zabawy jeno… Choć

od parady bywa, to daleko nie od parady tylko jest kołtun! Niejedna z diabłem przecież sprzymierzona czarownica przed śmiercią na stosie pławiona w ogrodowym stawku zdawała sprawę ze swoich niecnych uczynków: prawie zawsze na ich liście znajdował się kołtun. Wiadome było powszechnie, że kołtun zadany przez „czarownicę powołaną" powoduje nieszczęście, kalectwo, nagłą śmierć…W XVI wieku na obszarze Rzeczypospolitej spalono na stosach około dziesięciu tysięcy czarownic, nikt nie policzy, ile za kołtuna, który lęgnie się znienawidzonej dziedziczce w łóżku, albo odbierze mleko wszystkim dwudziestu dworskim krowom, albo samego dziedzica postrzeli w nogę. Bogu dzięki, z czasem pojawili się też owczarze, zdolni odczyniać i odwracać skutki poczynionych szkód; mistrz kołtuński potrafił zdjąć kobiecie z głowy wszawą koronę z pełną delikatnością, troskliwie przy tym zostawiając delikwentce kępkę włosów na czubku głowy – na rozpłodek… Inny znowu fachowiec ochroni przed zemstą ściętego i byle gdzie porzuconego kołtuna. W chłopskiej społeczności bowiem panuje powszechne przekonanie, że „kołtun to bestyja, której kiedy się czego zabaży („zachce"), trzeba dać, aby szkody nie uczyniła".

Cywilizacja kołtuńska rozwija się niezwykle dynamicznie, potężnieje, ale i usubtelnia, wchłania różnorakie obce elementy, wyznacza sobie swoje miejsca uświęcone czy ulubione, mające różne właściwości i przeznaczenia: wiadomo, że woda ze źródełka w podtoruńskiej wsi Barbarka sprzyja formowaniu szykownych na kobiecych głowach kołtuńskich fryzur, do Kalwarii Zebrzydowskiej zaś zajrzeć warto z odwrotną potrzebą: wypowiedziawszy po trzykroć słowa „Święty Benonie, idź precz, kołtunie!" można się spodziewać cudownego zdjęcia z głowy gościa, z rodzaju uprzykrzonych i wrażych….

Nasilenie kołtuńskich praktyk na przełomie XV i XVI wieku było tak spektakularne, tempo tak imponujące, że wreszcie zjawiskiem powszechnego opętania chłopskich mas zmuszone były zająć się zarówno władze kościelne, jak instytucje państwowe: pierwsze dlatego, że „przebiegli Żydzi podają w karczmach <<kołtunkę>>" smakowitszą od wszystkich innych gorzałek, uzależniającą jej admiratorów i odciągającą ich od udziału w niedzielnych mszach, po wtóre zaś, sfery medyczne zaniepokoiła okoliczność, że „gmin pospolity leczy się zapuszczaniem kołtuna, który po odpadnięciu uwalnia człowieka od boleści" i ma sobie za nic nie tylko przestrogi dworu, a odwraca się nie dość, że od uczonych medyków, ale nawet od znachorów.

Samej dostojnej Akademii Zamojskiej, pierwszej uczelni Rzeczypospolitej, zlecono prace nad badaniem fenomenu. Grono profesorów długie miesiące debatuje, starając się zgłębić istotę zjawiska tak powszedniego, a niedocieczonego, niedostępnego do przeniknięcia dla najbardziej wyrafinowanego ludzkiego umysłu. Zamojscy uczeni snują różnorakie domysły, tworzą teorie, które niczego nie wyjaśniają, skłócają tylko uczone grono. Pełni zgrozy doktorzy kapitulują, podczas kiedy kołtuńska powódź z każdą chwilą podnosi się wyżej. Zgroza, poruta, na polecenie króla rektor Wawrzyniec Starnigeliusz zwraca się w 1599 roku do bratniej Akademii Padewskiej o wspomożenie… ale i Padwa nie potrafi dociec istoty rzeczy, ona z kolei wzywa pomocy innych europejskich uczelni, ale i zjednoczona uczona Europa po jakimś czasie kapituluje, klęka przed polskim kołtunem, nie powie, nie wie, co to jest, wymiguje się nadaniem zjawie oficjalnej łacińskiej nazwy: *Plica polonica.* Tyle przyniosła długoletnia europejska uczona wołokita…

To mniej niż kieliszek kołtunki, to więcej niż order czy papieskie błogosławieństwo, dość powiedzieć, że po dziś dzień nie ma – jeśli nie liczyć *polonu* Marii Skłodowskiej – produktu ani zjawiska z zaszczytną poloniką w nazwie… Przyznaną przy tym wytworowi materialnemu i duchowemu pastuchów i świniopasów, owczarzy, wiedźm nagminnie palonych na stosach, społeczności ludzi poniżonych i wzgardzonych. Na hasło *plica polonica* – cud prawdziwy. Po raz pierwszy w dziejach polskich masy szlacheckie na wyprzódki przejmowały arcydzielny wytwór kultury chłopskiej: poczęły ową plikę, kłąb spojonych woskiem z paschalnej świecy włosów, psich kudłów, plew nosić panny modne ze szlacheckich dworów do spółki z dopuszczonymi do tych polskich kudłów Żydami… Co tam szlachciury ze swoimi małżonkami i córkami, kołtun niezwłocznie został z nabożeństwem przyjęty, wręcz uświęcony przez najwyższe sarmackie duchowe autorytety. Dość powiedzieć, że uznawany przez współczesnych za następcę Jana Kochanowskiego poeta Wespazjan Kochowski wyruszał na odsiecz wiedeńską w 1683 roku w kołtuńskim hełmie na głowie, wierząc, że Bóg będzie go chronił niczym Samsona; dziękował też Najwyższemu za nawiedzenie kołtunem w swojej *Psalmodii polskiej* wiernopoddańczym dziękczynnym wierszem.

Dzięki tak możnym jak psalmista Kochowski wyznawcom i wielbicielom *plica polonica* na przełomie wieków XVII i XVIII ugruntowało się w sferach duchownych przeświadczenie, że kołtunem nawiedzony jest cały naród wybrany, wszyscy Polacy (choć tylko szlachcic był Polakiem) i że kołtun istnieć może zarówno w fizycznej, jak duchowej postaci. Ma przy tym zdolność przechodzenia ze stanu materialnego w niematerialny, z kłębu na głowie w duchowy czy mistyczny zgoła kłębuszek – w głowie. Przypomnieć należy, że w Kościele katolickim brud traktowany był zawsze z najwyższym respektem, słudzy Boży szczycili się swoją umiejętnością trwania w brudzie, niektórzy średniowieczni święci byli święci dlatego tylko, że ku chwale Bożej nie myli się nigdy. Polski kler uznał nominowanie kołtuna przez uczoną Europę *plica polonica* jako wyraz uznania dla rodzimego świętego brudu, zgoła jego swoistą beatyfikację. Niezwłocznie też kołtun – czy naród kołtuński – zyskał oficjalnego patrona, jest nim święty Benon, uprzednio orędownik chorych, rybaków i zwierząt. Nowa funkcja świętemu Benonowi sprzyja, wielbią go i modlą się do niego, wołają jego łaski i wspomożenia mnogie rzesze kołtuniarzy, w warszawskim kościele pod jego wezwaniem zawsze pełno wiernych, zarówno mieszkańców kurnych chat, jak mieszczan i ludzi z pałaców. Kołtuńska cywilizacja rozwija się burzliwie, ogarnia nowe obszary Rzeczypospolitej, czy Europy zgoła, uczony Hercules Saxonia w swoim dziele *De plica, quam Poloni Gwoździec*, *Roxolani Koltunum vocant* rozważa szczegółowo różne aspekty materialnej i duchowej istoty kołtuna. Nie on jeden, na pytanie, czy osełedec to odmiana kołtuna, próbuje znaleźć odpowiedź godna gromadka pisarzy; kogoś gnębi pytanie, czy gwiazdy

mają wpływ na zwijanie kołtuna? Czy zbrodniarz, zabójca traci prawo do swojego kołtuna? Kult, któremu św. Benon błogosławi, rozwija się, nasila się też ruch umysłowy, którego sednem jest kołtun…

Lata mijają, ba, mijają wieki, cywilizacja kołtuńska na dobre zakorzenia się nad Wisłą… Nic to, że nie mamy niepodległości, mamy ciągle w swoich rękach, na swoich głowach i w głowach tę broń odwieczną – niezawodną, absolutną, brudną, wszawą… I oto rezydujący w okupowanej przez Prusaków Warszawie E. T. A. Hoffmann panicznie lęka się ludzi z „wiślanym warkoczem", Rosjanie z obawy przed polską zarazą nie biorą do armii poborowych „z polską czupryną", brudny kołtuniarz jest o nieba gorszy od buntowszczyka z bombą, spowodować może epidemię w skali nieobliczalnej, obawiają się w Petersburgu… Burzliwa historia przetacza się przez polskie ziemie, zmieniają się reżymy, polski naród niezachwianie trwa w kołtunie, oczy wszystkich zwrócone zawsze ku kościółkowi pod wezwaniem św. Benona na Nowym Mieście w Warszawie, którego kultem zawiadują ojcowie redemptoryści. To jest opoka, tu nadzieja nigdy nie gaśnie, stale brzmi wołanie: „O, Benonie, święty Benonie, miej nas w swojej obronie!" – gorąca zachęta do kołtuńskiego patriotyzmu, do męstwa i waleczności, tak fundamentalnie ważnej w chwili obecnej, kiedy widmo Grenady zagląda nam w oczy, na naszych granicach stoją pod sztandarami Proroka w białych jak śnieg szatach hordy Maurów i ich pachnących lawendowym mydłem pobratymców, szczerzą białe, wilcze zęby, w rękach dzierżą konewki z różaną wodą, przepasani wszyscy co do jednego białymi ręcznikami frotte, za pazuchami pewnie szczoteczki do zębów, grzebienie, tubki maści!

O, *Plica Polonica*, o Katolicy Królowie, o święty Benonie, miejcie nas w swojej obronie! Jeśli tylko nie wzmożemy w sobie swoich kołtunów, wejdą, wejdą, mydlinami zaleją, w gorących wodach utopią, ręcznikami oczy zawiążą, w białym wapnie pogrążą. Zagłada, zagłada! Spraw, święty Benonie, niech na naszych głowach wyrastają czym prędzej brudne, wszawe, końskim moczem i gównem śmierdzącym woniejące kołtuny, niech rozsiewają one zarazki rozmaite, pasożyty, trądy, parchy, cholery jak najjaśniejsze, wszy, pluskwy, mendoweszki, syfy. Brudem, zarazą, gnojem, świętym naszym kołtunem w nich! *No pasarán! No pasarán!*

Anna Nasiłowska

Podrywacze

Anna Nasiłowska | ur. 1958. Poetka, pisarka, pracownik Instytutu Badań Literackich PAN. Prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Stałam wtedy przy Bulwarze Saint-Germain, szukając czegoś w torbie. Są tam ławki, zwyczajne miejskie ławki, choć trudno powiedzieć, czy ktoś na nich siada, bo nie może być przyjemne ogłuszanie się przy pomocy ulicznego szumu przejeżdżających samochodów. Ale ławka jest dobra, gdy trzeba postawić na niej zgiętą nogę, a potem na udzie torbę, w której się czegoś szuka. Szminki, biletu, chusteczki.

Musiał stać z papierosem gdzieś niedaleko, ale zauważyłam go, gdy podszedł.

– Spod jakiego zodiaka jesteś?

To pytanie zaskoczyło mnie tak bardzo, że w pierwszej chwili nie zrozumiałam, choć już wtedy sporo ogarniałam po francusku, nawet jeśli nie wszystko potrafiłam powiedzieć.

Powtórzył. Pytanie wydawało mi się kompletnie absurdalne, ale odpowiedziałam.

Skrzywił się. Papieros poruszył się w jego ustach i zapikował do dołu.

– To nie jest dobry znak.

– Jakie są dobre?

– Te, które do mnie pasują. Mamy niewiele wspólnego. Ale może nawet to jest okazja.

Musiał wyczuć, że jestem cudzoziemką.

– Okazja?

Był nawet przystojny, dość młody, tylko nieuczesany. Jakby wstał właśnie z łóżka. Tymczasem było już popołudnie.

– Wiesz, w zasadzie nie wierzę w astrologię. Ja mieszkam tu, na górze. Moglibyśmy teraz iść do mnie i spróbowalibyśmy, czy do siebie pasujemy.

– Tak po prostu?

– A cóż w tym złego? Żadnych zobowiązań, obiecuję, nie będę chciał od ciebie deklaracji na przyszłość.

– Jak to?

– Nie założę ci pęt. Odfruniesz, gdy będziesz chciała.

Tak po prostu? Po tak krótkiej rozmowie? Wyobraziłam sobie jego mieszkanie, a właściwie mały pokój ze straszliwie zmiętą pościelą. Bo przecież musiała być szara, niedoprana i zmięta, skoro jego włosy sterczały. Nie jak u stracha na wróble, bo tu nie ma strachów, nie ma takich wiejskich porównań. Paryż!

Jasne, że się bałam. I brzydziłam jednocześnie. Tej pościeli, nie widzianej, a jednak lepkiej. Wejścia przez kamienicę. Dotknięcia przypadkowego mężczyzny, z którym nie łączyło mnie nic. Od tego w uchu słychać wewnętrzny trzepot. Jakby pukał uwięziony w nim robak, który chce się wydostać.

Ten mężczyzna proponował mi *Ostatnie tango w Paryżu*.

Uciekłam. Odfrunęłam. Długo nie mogłam otrząsnąć się ze zdumienia. Co zrobiłam takiego, że mi to zaproponował?

Tak samo ugodził mnie starszy gość w Ogrodzie Luksemburskim. Ten nie był Francuzem. Amerykanin. Miał rozstawione sztalugi, wystarczyło jedno moje spojrzenie na papier z ciekawością, co maluje. Karton był biały, pusty. Zalał mnie od razu angielskim potokiem, to była opowieść, która się nie kończyła i prawie nie miała przerw, a gdy otwierałam szerzej oczy, orientował się, że czegoś nie rozumiem, i powtarzał, delikatnie, nie dosłownie, ale jakby robił niewielką pętelkę. Był marynarzem, jego opowiadanie miało mnóstwo epizodów typu: „gdy wpływaliśmy do Szanghaju…" i potem: „w Wietnamie mieliśmy przygody z małpami". Od dawna już nie pływał, wybrał się w podróż, żeby zobaczyć nie tylko porty, ale także miasta w głębi lądów, na które wcześniej nie miał czasu. Ja słuchałam, a on wciąż mówił. W pewnym momencie urwał wątek, powiedział: „stań trochę bliżej", delikatnie pociągnął mnie za biodra i już, coś mu zamigotało w oczach, zamgliło na chwilę. Żadnego rozbierania się, dotykania, po prostu chwila bezruchu.

– O, dam ci coś! – powiedział wreszcie, gdy oprzytomniał. Spod białych kartonów wyciągnął wielki rysunek czarną kreską. To był Charlie Chaplin, narysowany dość nieporadnie, zupełnie banalnie odtworzony z jakiegoś wzoru. Kicz.

– Będzie ci o mnie przypominał.

To było ostatnie, czego pragnęłam. Miałam kłopot, co zrobić z tym wielkim kartonem, zwijającym się w rulon, wstydziłam się go mieć i wstydziłam się go wyrzucić, jakby był dowodem mojej winy. Nieświadomej, bo jego opowiadanie bez przerw to był podstęp, takie stopniowe obłaskawianie, żebym słuchała i nie mogła odwrócić się na pięcie i zniknąć. Najpierw wcisnęłam rulon gdzieś na szafę, dopiero po kilku miesiącach, gdy nikt nie widział, wyniosłam i dołożyłam do paczki śmieci oczekujących na zabranie gdzieś na ulicy. Może poniewiera się dotąd w Paryżu i komuś przypomina po prostu Charliego Chaplina, takiego śmiesznego z laseczką, z wąsikiem, w meloniku i za dużych butach.

Do tej pory Chaplin budzi we mnie skomplikowane uczucia. Przecież ja teraz, odkąd wróciłam do Polski, sprzedaję ludziom ubezpieczenia, różne, mieszkaniowe, komunikacyjne i na życie, a moje życie nie jest ubezpieczone od takich wypadków! No i jaka jest twoja wiarygodność, Stefanio?!

Stefanio, bo zawsze jak mam sobie do powiedzenia rzeczy niezbyt miłe, zwracam się do siebie nie – Kasiu, ale drugim imieniem, którego strasznie wstydziłam się w szkole, bo ono było babciowe, niedzisiejsze. A podobno był jakiś serial i tam była taka superfajna babka Stefania, więc dlatego rodzice tak mi dali na drugie.

Ja o sobie sądzę, że jestem umiarkowanie fajna i zwykle jednak mam ciężko.

Na przykład wtedy, w Paryżu. Nigdy już potem nie czułam się aż tak samotna. To zresztą są chyba nieaktualne metody, wszystko to teraz odbywa się inaczej, wystarczy wejść na odpowiednią stronę, zalogować się w portalu, przesiać oferty pod kątem oczekiwań. Ale wtedy jeszcze, na początku lat dziewięćdziesiątych, wszystko odbywało się na ulicy, ten rytuał zaczepiania, nawiązywania rozmowy i propozycji był bardziej jawny, trafiał do przypadkowych osób, jak ja. Może mam na twarzy napisane: „naiwna" i oni to od razu widzą. Tylko stop: w jakim języku napisane, bo musiałoby w kilku? Oni przecież polskiego nie kumają….

Kiedy indziej przy halach, w sobotni wieczór. Przechodziłam, rozglądając się leniwie, gdy przede mną wyłonił się elegancki mężczyzna w garniturze, jakich nie widuje się w Polsce. Mimo białej koszuli – nie był sztywny.

– Czy mogę zadać jedno pytanie?

– Słucham.

– Tu, zaraz obok, za rogiem, mają już otwarte świetne wino. Moglibyśmy się napić i coś zjeść. Czy pani ze mną skosztowałaby wina?…

Roześmiałam się. Jedną z pierwszych rzeczy, jakiej po przyjeździe do Paryża uczyła mnie koleżanka, była reguła: nie daj się Francuzowi zaprosić na jedzenie. Jeśli z nim zjesz – on będzie uważał, że do końca wieczoru jesteś jego. To jest reguła, nikt nie zrozumie odmowy. Jak się zjadło obiad – klamka zapadła.

No tak, jak się zjadło, trudno zwrócić. Chyba żeby zapłacić za rachunek. Ale to się nie kalkuluje, bo i on się obrazi, i rachunek wysoki.

Nie wiem, czy to prawda, bo zawsze odmawiałam.

Więc śmiałam się jeszcze trochę, oddalając się szybko. Przecież nie będzie mnie gonił. Jest na to zbyt elegancki. To dość bogaty człowiek, z pewnością na jakimś stanowisku. Tacy nie ryzykują. Ryzyko leży tu w przekroczeniu linii, gdy kobieta mówi nie.

Można co najwyżej jej tłumaczyć.

Poznałam te tłumaczenia, apelują do rozumu i opierają się na pewnej racjonalnej kalkulacji.

Usłyszałam ją w pełnej krasie w wykonaniu mężczyzny, spotkanego wieczorem w jednej z wąskich uliczek Dzielnicy Łacińskiej. Był mniej elegancki niż ten, który mówił o otwartym winie w okolicach hal, dlatego upierał się dłużej.

– Chodź ze mną, gdyż na tym opiera się porządek świata, że ty mi dasz trochę radości, a ja – tobie. I któż na tym straci? Nikt. A kto na tym zyska? My oboje. Więc dlaczego uważasz,

że jest w tym coś nie tak? Radość, przyjemność – to trzeba pomnażać. Nie bój się, nie zrobię nic wbrew twej woli, a kiedy uznasz, że dosyć – rozstaniemy się.

Wkładał w to mnóstwo entuzjazmu, ale w moich uszach trzeszczało co innego: on mi proponuje dobry interes. Typu: wkładasz sumę do banku, wyjmujesz z procentem, no i każdy widzi, że 3% przyrosło, więc opłacało się.

Ale ja, Słowianka, odrzucam kalkulacje, im klarowniej brzmią, im bardziej są przekonujące, tym mniej je uznaję. Im większy procent zysku, no bo może być i 50 i 100 – tym gorzej. A łatwość rozstania, ten cudowny, nowoczesny wynalazek swobody wielkiego miasta, wolność, którą mi obiecywano za każdym razem – to policzek dla mojej dumy i godności. Na nic racjonalność i oświecenie! Obietnica, że nie wkroczy w intymną bliskość, brzmi w moim uchu jak czysty absurd, choć oni myślą, że okazują respekt i poszanowanie indywidualności. A dla mnie? To bzdura. Seks jako wynik wzajemnej grzeczności i sympatii? Bez sensu, jeśli nie trzeba w nim utonąć, po co zaczynać, jeśli nie musi mieć siły miłosnego tajfunu. Obiecywano mi przecież, że nie wykroczy poza ściśle określone ramy.

Słowianka jest kobietą, do której apeluje inna melodia. Tak zresztą tylko się mówi, bo śpiewanie – to nie u nas. Ale w Brazylii, bo i tam mnie przypadkiem zaniosło, coś takiego słyszałam. Niewiele wiem, ale to było nawet ładne, taka melodyjka. Najpierw mówił – taki facet na plaży. Nie znam portugalskiego, ale mówił tak jakoś czule, jakby taś-taś, jak do kaczątka, do gęsiątka, do jakiegoś płochliwego zwierzątka, żeby je przywabić. No, głupio się nagle poczuć kaczątkiem, ale było w tym coś oszałamiającego. A potem jeszcze gwizd, taki trochę jak kanarka. Nawet ładnie, ale jak już dobrze zrozumiałam, że to właśnie o to chodzi, strasznie się speszyłam i co dalej – zupełnie nie wiem. Uciekłam, jak zwykle. I jak zwykle się wstydziłam, a już najbardziej tego, że nie umiem się dogadać.

No cóż, granice mojego doświadczenia damsko-męskiego sprowadzają się do języka. Francuski starczał na naskórkowe doświadczenia. Same początki, bez niczego dalej. Portugalski – żaden. Więc prawie nic. Wszystko w języku ojczystym. Splecione z mową ciała, przeważnie natarczywą i narzucającą się. Ze ślinieniem się i szczególną argumentacją.

U nas wytacza się ciężki kaliber. Trzeba jej udowadniać, tej skołatanej istocie, konieczność, jej misję, trzeba błagać ją o ratunek dla męskiej skołatanej duszy, która rozsypie się na tysiąc kawałków, jeśli ona, kobieta, nie poświęci jej uwagi. Trzeba powiedzieć, wiem, że jesteś wyjątkowa, szaleję za tobą! Można nawet wypić sporo, nie wina, ale czegoś mocniejszego, by wyraźniej zarysować przepaść, tę wyobrażoną duchową przepaść, w którą zawsze wpada mężczyzna, jeśli kobieta go przed nią nie uratuje, ratując świat, który zawsze jest na skraju. My jesteśmy ze Wschodu... Granica jest w tej chwili na Odrze i Nysie, ze względu na znane historyczne okoliczności w Jałcie, mniejsza z tym, ważne, że po jednej stronie leży Zachód, po drugiej – nasze błota, gdzie kobietę się urabia, wrabia psychicznie i oplątuje. Mówi się do niej:

– Kobieto, do czego mnie doprowadziłaś, zobacz! Babo! Ta twoja siła fatalna, nie zaprzeczaj! Widzisz? Szaleństwo!

Wtedy ona bierze głęboki oddech i myśli o tym, co zrobiła strasznego. Zaprowadziła go na skraj przepaści? Jak to się stało? I co teraz? Wtedy można jej podsunąć proste wyjście z zamotanej sytuacji. I rolę wybawicielki.

Chytra sztuczka emocjonalnego szantażu rozgrzesza i zdejmuje z niej winę. Bo trzeba ją z tego rozgrzeszyć, stworzyć okoliczności, które jak siatka zacisną się wokół niej. Dlatego jej odmowa brzmi słabo, jest sygnałem z innej galaktyki, w nieznanym języku.

Tak było w pociągu. Wracałam ze szkolenia, czasem mamy takie spędy w różnych miejscach Polski, zawsze się wtedy trzeba pokazać, więc byłam tego dnia nieźle odpicowana i pokazowo nastawiona pozytywnie, tryskająca energią (nie powiem, z czym mi się kojarzy to tryskanie). Ale w drodze powrotnej już mi odpuściło, bo moja prezentacja nieźle wypadła, a jeszcze byłam spięta, więc poszłam na piwo do bufetu. A tam był taki, co zaraz do mnie przepił, i nie było przebacz, bo zaraz rozmowa, gadka-szmatka i nie ma jak się wycofać, bo pociąg, piwo z pianką już nalane, przecież nie zostawię. Więc on zaraz się przysiadł do mnie:

– Jak masz na imię?

– Stefania!

Patrzę na niego, a on ma orła na piersi i czerwone spodnie z białym lampasem. O, narodowiec! – pomyślałam i jeszcze, że się pomylił, bo ja jestem z tych bywałych po świecie i znających języki.

– Patrzysz na mnie? – pyta. – No patrz, i wypiął się tym orłem, i tak najeżdża: – Jestem z reprezentacji!

A, sportowiec. To lepiej.

I on od razu: że uwielbia sport, ale tym razem nie poszło, ale i tak uwielbia, nie przejmuje się tym, bo wiadomo, że to sport, a sport to sport. Tak opowiadał dookoła, a ja słuchałam i kiwałam głową, no, bo sport to sport, ciężko zaprzeczyć.

– Wiesz... muszę ci coś jeszcze o sobie powiedzieć... – zaczął, gdy już wyjaśniło się, skąd ten orzeł.

– No? Wal śmiało.

– Rajcujesz mnie, o, jak strasznie!

I zaczął tak sapać, a mnie się wydawało, że wydziela| z siebie żar, niczym piec kaflowy, albo jak lokomotywa, choć przecież takich sapiących na węgiel dawno nie ma. Zalał mnie tym żarem i jeszcze się przybliża i bardziej, i jeszcze goręcej. A potem mówi omdlewająco:

– Spojrzyj mi w oczy!

Spojrzałam. I uciekłam wzrokiem.

– No i? Jak?! Trzeba jeszcze! Ale nie tak, jak ty robisz, że niby tak, a nie. Głębiej. Uważnie, Stefanio. Nie udawaj!

Jego oczy były niebieskie. Właściwie jako jedyne w tej kartoflanej postaci o szarej cerze – błyszczały.

A potem on mówi:

– Teraz! Chodź, zamkniemy się w toalecie! Bo tak mnie kręcisz, że po prostu nie mogę. No, nie mogę! Nigdy ci nie mówili, że masz w sobie wabik? O, dziewczyno, już przepadłem. Musisz, widzisz, co się ze mną dzieje.

I sapnął. I tak przekręcił oczami. I jakby jeszcze więcej żaru dorzucił.

No i co robić? Przecież wszystko już znam. Oni zawsze licytują od razu wysoko. Deklarują namiętność, ostateczny

poryw, nie mniej. Nie tak jak Francuzi, którzy zaczynają nisko, mówią, że chodzi o coś zupełnie niezobowiązującego, po prostu miły drobiazg. Ale jeśli ona jest Słowianką, drobiazg wyda jej się wart za mało.

Licytują wysoko, ale potem chcą wszystkiego. Wszystkiego, co możesz dać, kobieto, ale także i tego, czego nie możesz, albo nie tyle. Nie tyle pieniędzy, nie tyle uwagi, nie tyle seksu, sprzątania, pierogów, tylko żeby były pierwsza klasa, takie jak mamusia robiła. I jeszcze barszczu, gołąbków, też pierwsza klasa, i żeby było wyprasowane, a ty wypicowana. I jeszcze dzieci, ale to trudne do wytrzymania dla wrażliwego mężczyzny, a więc, sorry, on może się spakować i oddalić. I co, będziesz chciała alimenty? O nie, gdzie twój honor, kobieto, co miałaś być aniołem, brać forsę od niewinnego? Poniżej krytyki, poziomu nie masz, Stefanio! No nie, wybij sobie to od razu z głowy. Kasi też zresztą wybij.

On taki jest: w szybkim tempie przerobi cię w zwierzę pociągowe, karmiące, pokorne, z pięcioma litrami mleka w siatce zawieszonej na ramieniu, ze zgrzewką wody w lewej ręce i zapasem ziemniaków na tydzień w prawej. I na obcasach, bo on lubi, jak się nosisz elegancko, wysoko i krótko, ale jak trzeba na zakupy, to nie ma samochodu, bo akurat musi jechać, przecież ma interes (nie powiem, z czym mi się ten interes kojarzy).

Jeśli on jest dobry, powie: „Nie, nie zmywaj dzisiaj podłogi, zrobisz to jutro". Bo już widzi, że padasz na pysk, a co za przyjemność mieć w domu babę z przyklapniętym pyskiem. Nie żeby pomógł, ale jej odpuści. Chwilowo. Wie, że ona posiedzi, odtaje, może wyładnieje, choć aniołem się już nie zrobi, o nie. Słodki okres anielstwa jest krótki, trwa tyle, ile wabienie. Ale kobieta może jeszcze odzyskać całkiem przyzwoitą twarz. Ona ją może sobie po prostu namalować, i robi to rano, poczynając od podkładu, zakrywającego ziemiste plamy. Na policzkach maluje delikatne rumieńce, albo cienie. Potem wprowadza kreski, instaluje rozmarzone oko. Może nawet dokleić rzęsy, które dodadzą głębi, przemienią je w otchłanne jezioro. To wszystko razy dwa, bo oczywiście oczu musi być dwoje, aby przywodziły na myśl dwoje piersi, starannie wymodelowanych przy pomocy stanika. Dokładnie obrysowuje kredką kontur ust. Usta mają być wabiące, lekko obrzmiałe, całuśne. To się robi przy pomocy szminki, kolorem dobranej do jakiegoś szczegółu ubrania.

Tak robi człowiek, czyli kobieta.

Ale jeśli ma rozum – to buty dobierze na znośnym obcasie, dobre do uciekania. Znam to.

Pod spodem – trzęsąca się galareta. Tyle ze mnie zostało, kiedy mu się wyrwałam, temu z orłem na piersi.

Już zapowiadali: „Stacja Warszawa Centralna, podróżnych wysiadających prosimy o zabranie rzeczy osobistych...".

Dopadłam mojego miejsca, tam został mój ciepły płaszcz, powinien wisieć, ale go nie było. Obejrzałam się dookoła – pusto. Ktoś przechodził i zabrał? Wsiadł na Zachodniej? Przecież nie będę się rzucać po całym pociągu... Obsługi nie ma, konduktor dawno poszedł, nawet spytać nie ma kogo. Wokół nikt nie siedział. W kieszeniach nic nie było, ot, chustka do nosa, i to brudna. Ale to był grudzień, i straszna chlapa, i śnieg z deszczem.

To wysiadłam jak sierota na Centralnej bez płaszcza.

Wracałam do domu zziębnięta, w samej garsonce i na szpileczkach, bo przecież byłam wtedy specjalnie wypicowana na szkolenie, a nie do ucieczki. Nawet, kurczę, miałam tego dnia nowe kolczyki, żeby się pokazać, że o! Mam w pracy wyniki, ale i fason trzymam! Najbardziej się bałam, że mój mąż otworzy drzwi, zobaczy mnie tak i spyta: „A co ty, bez płaszcza się wyrwałaś? Co za porządki? Skąd ty właściwie wracasz? Szkolenie, jakie szkolenie?".

I od razu się zacznie: podejrzenia, co ty robiłaś, gdzie byłaś? U kogo? Wyszła wyelegantowana, a wraca wyżęta, mokra, wymiętolona, bez płaszcza i jak spod wyżymaczki. O! Jakieś ciemne sprawki! Oto dowód! A tu włosy w strąkach i kapie z nich za kołnierz... i na plecy się leje strumyczkiem... i z każdego ucha po kolczyku kropelki... kap... kap... Więc spieszyłam się do domu, bo mi było zimno, a wiatr na kość przewiewał i rzucał mi drobnym deszczem i śniegiem w oczy i siekł po kostkach, a tu cienkie rajstopy na nogach, ale szłam z duszą na ramieniu, jakbym zrobiła coś złego, a przecież to nie moja wina, ale on zaraz przecież uzna, że moja.

Otworzyłam drzwi kluczem. Nie da się tak cicho, żeby wejść bezszelestnie. Narobiłam zgrzytania. Tru-ru-rum! Tak nasz zamek się otwiera.

I wtedy stało się najstraszniejsze.

Trzy kroki w przedpokoju, światło zapalone, jest, widzę. Ale on nie odwraca się. Nie wita. Nie patrzy. Tylko plecy.

Nie zwrócił na mnie uwagi. Kompletne mnie olał. Siedział w pokoju nad komputerem, widziałam od tyłu, że siedzi, coś na ekranie migało, ale nie odwrócił się, choć musiał słyszeć, że weszłam. Nie odpowiedział nic, gdy na wszelki wypadek oznajmiłam:

– Już jestem!

I chwilę postałam nad nim, miał otworzony jakiś serwis randkowy chyba, komuś coś odpisywał, a ja na paluszkach wycofałam się do łazienki, szybko puściłam ciepłą wodę i usiadłam na brzegu wanny.

No tak, jesteśmy małżeństwem od piętnastu lat. I już nie ma jeżdżenia tu i tam, a przygody – to w pociągu, wracając ze szkolenia.

Jak on cię, Kasiu, poderwał? Co ci mówił, że uwierzyłaś? Jak przekonywał, że żyć bez ciebie nie może? Jaki kiedyś był miły? A jaki przekonujący!.... i dlaczego już nic nie ma? Najpierw opętał, potem założył pęta. Lała się woda, kap, kap łzy.

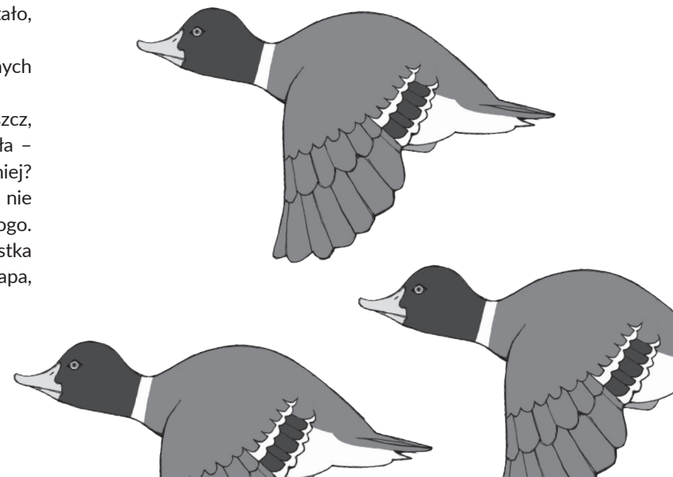

Olga Tokarczuk

Ahat ilī
Siostra bogów

Olga Tokarczuk | ur. 1962. Pisarka, eseistka, autorka scenariuszy filmowych, psycholog. Laureatka The Man Booker International Prize 2018, dwukrotna laureatka Nagrody Literackiej Nike (2008, 2015). Współorganizatorka festiwalu Góry Literatury. Ostatnio wydała *Opowiadania bizarne* (2018).

Akt I

1. Prolog | NINA

NINA SZUBUR jest maleńką postacią w całkowitej ciemności; widać tylko jej twarz.

NINA
Patrzcie na mnie, słuchajcie mnie, jestem człowiekiem,
Kruchym tworem ulepionym z ciała,
Towarem z napisem „fragile".
Patrzcie na mnie, słuchajcie, jestem człowiekiem.
Jednym z wielu, jednorazowym,
Po użyciu – zniszczyć.
A jednak jestem instrumentem, na którym gra niebo.
Boskie palce wygrywają na mnie muzykę,
Której nie rozumiem.
Boskie smyczki gną mnie jak trzcinę.
Oni mówią o mnie „siostro",
Nazywają mnie swoją przyjaciółką, umiłowanym dzieckiem,
ale co to za przyjaźń... nigdy ich nie pojmę.
Zrobiłabym dla nich wszystko, ufam im,
ale nie mam na nich żadnego wpływu.
Nie wiem, gdzie kończy się moja wola,
a zaczyna ich igraszka.
Nie wiem, gdzie kończę się ja,
a zaczyna pustka.
Mogę tylko kochać.
Patrzcie, słuchajcie, jestem człowiekiem.

2. Odejście Inanny | INANNA, DUMUZI, NINA SZUBUR

Z ciemności wyłania się piękne szerokie łoże; po jego jednej stronie siedzi INANNA, po drugiej stronie leży DUMUZI.

INANNA
Słyszycie to?
Żałosne buczenie,
jakby zraniona materia,
jakby ziemia pełna ran,
jakby blizny, które nie zrastają się nigdy,
jakby chore wnętrzności ziemi,
jakby wszystko boli, powietrze boli, oddech boli,
nie mogę tego znieść.
Woła mnie.

DUMUZI
Inanno, co ci jest?
Nikt cię nie woła.
Nic nie słychać.
Czy coś się stało?
Odpowiedz!

INANNA wstaje z łoża i niespokojnie krąży po pomieszczeniu, a w końcu zaczyna w pośpiechu pakować walizkę. DUMUZI podchodzi do INANNY i czule głaszcze ją po twarzy.

DUMUZI
Gdzie się wybierasz?
Niedługo w mieście święto.
Nasadziłem kwiatów,
przygotowałem dla ciebie girlandy kwiatów.

Wszyscy już czekają.
Jak dzieci, ludzie są jak dzieci,
czekają na nasze prezenty.
Proszę cię...

INANNA jest coraz bardziej niespokojna. Pojawia się NINA i pomaga jej się ubrać. Powoli INANNA przeistacza się w boginię – ma swoje atrybuty, wysoką fryzurę z dredów, bransolety i tatuaże.

NINA
Inanno, to zwykły sen. Splątanie synaps.
Echa impulsów nerwowych. Iluzja.
Dałabym ci tabletkę, ale na bogów nie działają leki.

INANNA
Nie słyszysz? Jakże leniwe są twoje ludzkie uszy.
Nie słyszysz?
To moja siostra, poznaję jej głos.
Rozpaczliwe milczenie piekieł znalazło swój głos.
Nie mogę tego znieść. Szumi mi w głowie, włosy stają dęba.
Ona mnie woła.
Jeżeli nie wrócę za trzy dni, idź do moich ojców
/ i sprowadź pomoc.

DUMUZI
Co jej się stało?
Co ją znów opętało?

NINA
Ona zawsze taka jest, robi, co chce,
rządzi się, jak chce, nie liczy się z innymi.
Jakże mam ją za to ganić?
Ufam, że wie, co robi.
Kocham ją.

DUMUZI
I ja ją kocham nad wszystko.
Bo ona jest wszystkim.
Ale trudno z nią żyć. Trudno ją pojąć.
Ocean jest oceanem w czasie morskiej ciszy
i w czasie największej burzy.
Ziemia jest ziemią, gdy karmi życie i
podczas największego kataklizmu.
Tak jest z Inanną. Nigdy nie wiadomo,
/ co przyjdzie jej do głowy.
Niby moja żona, a robi, co zechce.
Niby jesteśmy bogami, a ona czasem
/ zachowuje się jak dziewka.
A ja mam tyle pracy, tyle kwiatów
/ do przygotowania na święto.
I ogrody, moje ogrody czekają na mnie.
Umaić bramy... rozwiesić lampiony...

NINA *(bardziej do siebie niż do DUMUZIEGO, zbierając ubrania INANNY)*
Mam złe przeczucia i cała drżę.
Boję się o nią.

DUMUZI
Jej zachowanie ściągnie na nas kłopoty,
/ zniszczy mój spokój.
Nie zdążę z kwiatami. I ja jestem niespokojny.
Gdybym tak mógł się ukryć, stać się kimś innym,
/ żeby robić swoje...

(siada na łożu, przy NINIE)

Miałem straszny sen, Nino.
Śniły mi się fale, które wzbierały.
Trzciny na brzegu szeleściły od wiatru,
Suchy lament bez słów.
Woda rozlała się po moim domu,
Zalała kwiaty.
Zniknął mój kubek, moje grabie,
Wszystko, co moje, zalała woda.
Widziałem kwaśny deszcz spadający na lasy
/ i zgniliznę w ziemi.
Mszyce obsiadły uprawy,
Nornice podkopały karpy.
To wszystko działo się przeze mnie,
ale nie znałem swojej winy,
nie mogłem niczemu zapobiec.
Byłem mały i drobny, byłem bezbronny jak trzcina.

NINA
Nikt nie wie, skąd biorą się złe sny...
Nie myśl o tym.

DUMUZI
Ukryj mnie, mądra Nino Szubur.
Schowaj mnie pod kamień, w dziupli drzewa.

NINA zaczyna spontanicznie i czule przebierać go za kobietę, w rzeczy, które zostały po INANNIE.

NINA
Oto najlepsze przebranie.
Ukryję cię, mój bracie.
Zmienię cię, nikt cię nie pozna.
Wrócisz do kwiatów, do pięknej muzyki, do święta...
Takiego cię wszyscy chcemy, Panie Ogrodów.
Twoich delikatnych dłoni, twojego zmysłu kolorów...

DUMUZI bawi się przez chwilę swoim nowym wcieleniem, kręci się wyraźnie zadowolony z przemiany, a kiedy odchodzi...

NINA
Wiem, co znaczy twój sen.
Fale – to niebezpieczeństwo.
Trzcina – to ja w żałobie.
Drzewa, które podchodzą zbyt blisko – to demony,
/ które tu idą.
Zalana podłoga – to nurt podziemny rzek,
/ który zalewa świat.
Zniszczone rośliny – nic się nie uratuje,
nic nie zachowa swojego kształtu.

3. Inanna spotyka się z siostrą | INANNA, ERESZKIGAL, CHÓR SĘDZIÓW

INANNA schodzi po wielu kręconych schodach w dół. Zejście trwa długo, przestrzeń się wydłuża, zapętla. W końcu staje przed ogromną metalową bramą.

INANNA
Jestem, otwieraj!

Brak odpowiedzi. Po chwili czekania:

Dlaczego mi sączysz w uszy ten jad,
zgniłe dźwięki?
Nie chcę tego słuchać. Nie chcę tego wiedzieć.
To prawda, obejmowałyśmy się kiedyś czule w łonie matki,
przez dziewięć miesięcy patrzyłyśmy sobie w oczy,
znamy się dobrze.
Jedna drugiej ssała nos,
tańczyłyśmy w morzu matczynego brzucha,
nasze mózgi przędły wspólne nici,
tkały z nich świat.
Ale nic nas już nie łączy, życie toczy się dalej.

Brama uchyla się, przez wąską szparę wylewa się ciemność. Głos ERESZKIGAL brzmi przerażająco – martwo, a jednocześnie wściekle.

ERESZKIGAL
Życie…
Ja – mroczny fundament świata, noc i ciemność,
domy śmierci, lamenty, ból i kurz.
Wieczność, unieważnienie czasu.
Przez dziurę w ziemi wczołgałam się tutaj,
nie tuliła mnie żadna matka, nie bawił się ze mną żaden ojciec.
Nie dane mi było żadne wesele.
Ty wzięłaś lepsze:
jasne, ciepłe i suche.

INANNA
Podział był sprawiedliwy. Dostałaś więcej.
Twoich poddanych jest mrowie
i każda żyjąca istota kiedyś stanie się twoja.
Śmierci jest więcej niż życia.
Więcej jest nieistnienia niż istnienia.
Czego chcesz ode mnie, jestem Panną od Światła,
Królową Słoneczną,
Panią Jutrzenki i Zmierzchu.
Dlaczego mnie wołasz?
Czy to z tęsknoty? Czy tęsknisz za siostrą?

ERESZKIGAL
Tylko dlatego, że ja jestem mroczna i ponura,
Ty możesz być jasna i radosna.
Tylko dlatego, że ja jestem śmiercią, ty możesz być życiem.
Tylko dlatego, że jestem jałowa, ty jesteś żyzna.
Każda z nas jest połową tej samej całości
i nie może istnieć bez drugiej.
Razem jesteśmy całkowitą doskonałością.
Największym bogiem,
Większym niż wszystkie biura naszych ojców.
Czy wiesz, że jeżeli cię wpuszczę dalej– umrzesz?

INANNA
To niemożliwe, tacy jak ja nie umierają.

ERESZKIGAL
Umrzesz, przejdziesz na moją stronę.
Wtedy będziemy pełnią.
Pustą pełnią i pełną pustką.

INANNA
Co to jest śmierć? Nie boję się jej.
Jest tylko dowodem na to, że żyję.
Ja jestem samym życiem!

ERESZKIGAL
Musisz zostawić przed bramą wszystko, co masz.
Musisz zostawić wszystko, co Twoje.
Tutaj nie będzie już ważne.
Musisz oddać wszystko.

INANNA
Gdybym to ja usiadła na twoim tronie,
Uwolniłabym ludzi od śmierci.
Zniosłabym ją pierwszym dekretem,
zakazałabym jej w konstytucji,
wpisałbym na listę niebezpiecznych używek.
Śmierć byłaby nielegalna.

ERESZKIGAL
Wszystko jest zbudowane na śmierci,
Cały porządek świata.
Poczucie czasu – czyni przewidującym,
Strach – każe być odpowiedzialnym,
Groza śmierci – uczy pokory,
Lęk – daje samoświadomość.
Jeżeli chcesz tu wejść, musisz zostawić wszystko przed bramą.

INANNA waha się, a potem zaczyna się rozbierać. Starannie układa na ziemi to wszystko, co niedawno wkładała na nią NINA.

CHÓR SĘDZIÓW
Najpierw błyskotki, całe to tak zwane piękno,
Kolory, zapachy, faktury,
lubieżne dotyki i pocałunki.
Cała tak zwana przyjemność,
Wszystkie te smaki, zachwyty, spojrzenia,
niuanse, westchnienia,
zabawne myśli, słowne gierki,
cała ta tak zwana poezja,
pieśni i wiersze, radość serca, elokwentna mowa,
historie, opowieści, pamięć.
Nic tu nie będzie potrzebne.

Brama otwiera się na oścież ze zgrzytem. INANNA wchodzi naga, odarta z ozdób, bosa. Teraz dopiero widzi swoją siostrę – na tronie. Wokół niej siedzą SĘDZIOWIE w maskach zwierzęcych, w obdartych ubraniach. W blokach lodu pleksi, niczym w akwariach, zakonserwowane postacie – byli mężowie ERESZKIGAL.

Naga, niepozorna INANNA podchodzi, siostra schodzi do niej z tronu, obejmują się, patrzą sobie z bliska w oczy. Ich uścisk i powolne ruchy przypominają pełen napięcia taniec. Ciągle w uścisku siostry, INANNA przesuwa się w stronę tronu. W końcu, stale patrząc ERESZKIGAL prosto w oczy, jakby chciała ją zahipnotyzować, uwalnia się z jej objęć i bardzo powolnym ruchem siada na tronie.

INANNA *(tonem cichego triumfu)*
Życie i śmierć, w moich rękach…
po to tu przyszłam!

ERESZKIGAL *(kpiąc na boku)*
Posiedź tam sobie. Naciesz się.
I tak nie wyjdziesz stad żywa.

SĘDZIOWIE tylko czekają na ten sygnał – gwałtownie rzucają się do tronu, by ściągnąć z niego INANNĘ. Przez chwilę trwa walka, jednak wkrótce INANNA ulega sile SĘDZIÓW i zostaje uwięziona w ich uścisku.

CHÓR SĘDZIÓW
Winna!
Ona jest winna. Skazujemy ją na śmierć!
Wszystko, co ma, co osiągnęła,
kim jest, każdy jej dzień,
każda minuta – są przeciwko tobie, Inanno.
I ty sama jesteś dowodem winy.
Całe twoje istnienie zasługuje na śmierć!

INANNA pada na ziemię bez życia. SĘDZIOWIE unoszą jej ciało i zawieszają na hakach.

ERESZKIGAL
Procedura skończona, można wietrzyć salę.

Akt II

1. Nina szuka pomocy u Ojców
NINA, OJCOWIE (1: GRAMATYK, 2: LOGIK, 3: SOCJOBIOLOG)

NINA wchodzi schodami do góry; droga wydaje się nie mieć końca.

NINA
Ludzki czas nie daje się naciągać, a dni są policzone.
Wszystko ma tutaj smak żelaza i rdzy.
Co ja, człowiek, mała ludzka istota mogę zrobić dla bogini.
Jak mam przywrócić boską równowagę?
Jak mam sprowadzić pomoc? Kto mnie posłucha?
Co ma zrobić człowiek, gdy umrze bóg?
Czy mamy odtąd radzić sobie sami?
Kto będzie doglądać teraz miast,
przyjmować dzieci na świat, walczyć z wrogami,
świętować, wspierać słabych, wytyczać ulice?

Idę w górę, im wyżej, tym bardziej rumiani są ludzie,
tym więcej światła i powietrza, tym więcej ogrodów,
bo bogaci i potężni są ojcowie Inanny.

NINA staje przed OJCEM 1. Pozostali OJCOWIE majaczą w tle.

NINA *(padając mu do nóg)*
Ratuj ją, Ojcze nasz.
Zeszła nieopatrznie do swojej siostry i nie wróciła.
Zginiemy bez niej, ratuj ją.

OJCIEC 1
Dość mam słowa „nieopatrznie”. Trzeba uważać na słowa.
Na tym polega życie.
Rozumne działanie równa się porządek języka.
Trzeba konsekwentnie odmieniać życie przez przypadki,
pilnować końcówek.
A jak się nie jest pewnym, sprawdzić w słownikach,
/ pisali je mędrcy.
Ona, Inanna, jest kłopotliwa jak brzydkie słowo.
Nie mogę jej pomoc.

OJCIEC 2
Każda żywa istota musi umrzeć.
„Każdy” – znaczy kwantyfikator ogólny i bezwarunkowy,
„Żywa – znaczy czująca,
„Istota” – to byt niezależny, który powołałem do życia,
„Musi” – to odwieczne prawo,
„Umrzeć” – to ulec powszechnemu rozpadowi, na zawsze.
Wyprowadzić!

OJCIEC 3 *(najbardziej z nich czuły, przyjazny, pociesza NINĘ)*
Moja droga,
Zbudowaliśmy przepiękną konstrukcję,
/ która rozwija się sama.

(rozpościera przed nią ekran, hologram, a tam coś, co przypomina drzewo)

Popatrz tylko – tu masz plankton, a tu jest człowiek.
Panuje tu hierarchiczny porządek.
Jeden zjada drugiego i w ten sposób nie grozi światu tłok.
Wszyscy rywalizują o wszystko.
Wygrywają lepsi i szybsi, czy to nie genialne!
Kto się zagapi – przepada.
Kto ma głupie pomysły – wypada z gry.
Kto nie jest dość bystry – ginie marnie.
Dlatego, moja droga,
Nie mogę Inanny stawiać ponad prawem.
Nie ma jej już w moich rubrykach.
Mogę ją co najwyżej zeskanować do raju.

NINA *(coraz bardziej wściekła)*
Błagam. Ratuj!
Zrobiłeś świat okrutny, pełen bólu i cierpienia.
A nam kazałeś nadstawiać drugi policzek.
Jesteś małym tyranem, księgowym i buchalterem,
nieczułym zarządcą, zarozumiałym prezesem tej firmy.
Każde twoje „niech” jest początkiem katastrofy.
Co z ciebie za wszechmocny, jak nic nie potrafisz.
Źle to ułożyłeś, nic do siebie na pasuje…

OJCIEC 3
Moja droga,
Życie bierze się z brudu. To w sumie nic wielkiego, to życie.
Jeden z wielu naszych biznesów.
Tam gdzie gnicie – tam życie.
Jestem rzemieślnikiem, kowalem i garncarzem,
Jestem księgowym i buchalterem,
Jestem poganiaczem i rzeźnikiem.
Zrobiłem i już! Według przepisu. Świat.
Bo do próżni żywię odrazę.
No cóż, może wyszedł z zakalcem, ale przecież da się żyć…

OJCIEC 1
A ty, kim jesteś, kobieto?
I czy wiesz, czego żądasz?
Jak śmiesz prosić nas o złamanie najsroższego prawa?
Nikt żywy nie może tam wejść i wrócić żywy.

Strażnicy łapią NINĘ za ramiona i próbują ją wyprowadzić. NINA wyrywa się, walczy. Upada na kolana i udaje jej się uwolnić – wtedy wstaje, prostuje się i staje się przerażająca. Jej głos jest potężny, tak jakby wspierały ją jakieś inne mroczne siły. Zmienia się we wściekłą Meduzę, Walkirie, Amazonkę. Rzuca groźbę:

NINA
Nie wzejdzie ani jedno nasiono,
Stanie transport i zatrzęsną się fabryki,
Uschną kable, wypiszą się długopisy,
windy nie pojadą ani w górę, ani w dół.
Zardzewieją kurki w kranie,
instrumenty nie wydadzą dźwięku.
Będziecie podliczać puste kolumny, podliczać zera!

Wśród OJCÓW następuje poruszenie, szepczą do siebie. Są wyraźnie zaniepokojeni.

OJCIEC 1
Strzeż się szalonej kobiety, która rzuca wyzwanie bogom.
Może ona ma rację?
Może nasz świat ucierpi przez wybryk tej Inanny?

OJCIEC 3
Ale co my możemy zrobić?
Tam, do Podziemi, nasza władza nie sięga.

OJCIEC 2
Pani Podziemi rządzi tam niepodzielnie.
Na jej rządy nie mamy wpływu…

OJCIEC 3
…a do życia przywracać jeszcze nie umiemy…

OJCIEC 2
…choć pracujemy nad tym.

OJCIEC 1
Sama Pani Podziemia musiałaby się zgodzić,
/ by zwolnić Inannę.
Ale jak na nią wpłynąć? Jak ją przekonać?

NINA *(strasznym głosem)*
Nie wzejdzie ani jedno nasiono,
Stanie transport i zatrzęsną się fabryki,
Uschną kable, wypiszą się długopisy…

OJCIEC 2
Już dobrze, szalona kobieto,
Ludzki szał nas przeraża.
W szale ludzie stają się …

OJCIEC 1
…jakby boscy?

OJCIEC 2
Strzeżmy się ludzkiego szału.

OJCIEC 3
Jak ukoić ból Pani Podziemi,
jak przynieść spokój jej warczącej duszy?
Weźmy się do roboty…

OJCOWIE stają wokół czegoś w rodzaju okrągłego stolika. Wykonują dłońmi koliste ruchy, jakby wywoływali duchy…

To musi być coś, co ona pokocha od pierwszej sekundy.

OJCIEC 1
Coś, co ją zadziwi.
Coś, o czym ona skrycie marzy,
Czego pożąda,
Czego zazdrości innym,
Czego nigdy mieć do końca nie mogła.
To musi być ktoś jej równy,
Lecz zdolny jej się poddać.

OJCIEC 3
Ktoś czuły i delikatny…

OJCOWIE
Przybywaj!

Pojawia się oszołomiony DUMUZI w przebraniu kobiecym. Rozgląda się rozkojarzony. OJCOWIE go nie rozpoznają.

OJCIEC 1
Ot, zjawa idealna, lecz jakaż niepozorna!

OJCIEC 2 *(z powątpiewaniem)*
Czy da się nabrać na niego taka wielka pani?

OJCIEC 2
Spójrzcie na niego, ma w sobie coś z człowieka,
Jest tajemniczy, ładnie pachnie.

OJCIEC 2 chce podejść do przebranego DUMUZIEGO i wziąć go pod brodę, żeby zajrzeć mu w twarz, ale DUMUZI odwraca głowę.

Mnie się podoba. Przypomina mi kogoś….

Udał się nam!
NINA przygląda się temu bezradnie, z przerażeniem.

2. Królestwo Podziemi
ERESZKIGAL, DUMUZI, CHÓR SĘDZIÓW

CHÓR SĘDZIÓW
Dzisiaj nie będzie sądzenia,
wyznaczymy inne terminy rozprawy,
niech zmarli wrócą do swych słabych ciał na szpitalnych łóżkach,
pod koła pojazdów, niech się zerwą ze sznura.
Jutro was weźmiemy.
Dziś nasza pani płacze.
Ta, której wzrok zamienia w kamień – płacze,
ta, której krzyk ścina ziemię mrozem,
ta z naszyjnikiem z czaszek. Ona płacze.
Kto ją ukoi? Kto ukoi smutek Pani Podziemi?
Kto w świecie bez światła da jej promyk nadziei?
Kto w świecie bez radości da jej uśmiech?
Kto w świecie bólu da jej przyjemność?
Kto w bezsennym świecie da jej kolorowe sny?

Przed wielką bramą stoi DUMUZI w swym przebraniu. Zgarbiony, w kobiecej szacie wygląda smutno i groteskowo. Brama otwiera się ze zgrzytem.

DUMUZI *(ponurym głosem)*
Dam ci, Mroczna Pani, przyjemności życia.
Obudzę twoje zamarłe zmysły.
Rozmasuję ci serce, zatrzymam jego krwawienie.
Rozgrzeszę cię i pocieszę.

ERESZKIGAL
Nie chcę życia!
Zabiłam własną siostrę,
lecz ona nie chce mi towarzyszyć w śmierci.
Umarła jak człowiek, jak zwykłe zwierzę.
Wolała to niż wieczność śmierci.
Zawsze była głupia.
A teraz wszystko mnie boli.
Jej śmierć dodała mi życia, a ono boli.
Życie boli, to jest najkrótsza definicja.
Kiedy umarł orzeł, nie żyje i reszka.

CHÓR SEDZIÓW
Da ci odrobinę iluzji, szczyptę złudzenia.
Zda ci się, że lecisz, że kochasz,
że się poświęcasz, że pragniesz,
że spełniasz marzenia,
że czujesz, że słuchasz, że widzisz…

ERESZKIGAL
Boli mnie, boli.

DUMUZI *(czule, delikatnie)*
Boli cię, bardzo cię boli…
Wiem, jak cierpisz, i cierpię z tobą.

ERESZKIGAL *(zdziwiona jego głosem, ożywiona)*
Co to za dziwne uczucie.
Kto mi je zadał?
Serce mi topnieje, zamienia się w deszcz łez.
Bogowie tego nie znają.
Kim jesteś?

DUMUZI podchodzi do niej blisko i pieści ją z czułością, głaszcze jak dziecko, tuli.

DUMUZI
Żeby współczuć, trzeba być samemu słabym i znać cierpienie.
Trzeba upaść, trzeba umieć płakać,
Wziąć ból na siebie.
To czas cię boli, to przemijanie.
To jednorazowość ciała.
Zęby, które wypadły – już nie odrosną.
Siwe włosy nie zaczernią się już.
Zgarbione plecy nie wyprostują się.
Nie ma na to rady.

ERESZKIGAL
Boli mnie, boli…
Wetrzyj w me oczy proszek nieczułości,
Opancerz moje ciało,
Ogłusz mnie, zatrzymaj łomot serca.
Nie chce cierpieć, jestem przecież boginią.

DUMUZI wskazuje na haki, z których zwisa ciało INANNY.

DUMUZI
Oddaj mi to biedne ciało, nic ci po nim.

ERESZKIGAL
A tobie ono na co?
Po co martwe ciało mojej przegranej siostry?

DUMUZI
Ona nie jest do śmierci, Ona jest do życia.

DUMUZI masuje ERESZKIGAL, która po chwili, na wpół omdlała z przyjemności, robi zezwalający ruch ręką:

ERESZKIGAL
Weź je sobie. Niech zniknie mi z oczu.
Nie chcę jej już więcej widzieć.

DUMUZI delikatnie porzuca ERESZKIGAL i zbliża się do ciała na haku, zdejmuje je ostrożnie. Z kieszeni wyciąga jakieś zioła i pociera nimi oczy INANNY, potem składa na jej ustach długi pocałunek. INANNA porusza się, zaczyna oddychać, a potem podnosi się, stoi niepewnie, jej oczy są puste, twarz martwa, straszna – wygląda strasznie, jak zombie. Odzywają się oburzeni SĘDZIOWIE:

CHÓR SĘDZIÓW
Niebywałe, niebywałe!
To się tu nigdy nie zdarza,
Żeby umarłe mogło ożyć.
Rzeka śmierci płynie tylko w jedną stronę.
Nigdy nie zawraca.
Niebywałe, niebywałe!
To złamanie najsroższego prawa.

Jak to zapiszemy w rejestrach śmierci. Kto winien, a kto ma?
Skąd nagle w płucach pojawiło się powietrze,
skąd pierwsze uderzenie serca, skąd przyszło do niej to życie?
Skąd? Gdzie było do tej pory?

ERESZKIGAL
Milczeć, trupy!

CHÓR SĘDZIÓW
To być nie może!
Każdy teraz będzie chciał zmartwychwstać,
każdy powie: a dlaczego nie ja?
To niesprawiedliwe.
Nie utrzyma nasza pani porządku w Podziemiach.
Będzie miała strajki i społeczne rozruchy martwych.
Na ile starczą jej masaże, drobne rozkosze.

INANNA wygląda strasznie, stoi już na nogach, ale słania się. Oszołomiona, bez słowa, chwiejnym krokiem idzie do wyjścia. Za nią cicho rusza DUMUZI, zakrywając kapturem twarz.

ERESZKIGAL
Stop. Zatrzymaj się.
Wiem, kim jesteś, i ciebie chcę w zamian.
Ona cię kocha, prawda?
Jesteś jej najbliższy, zapłacisz za jej bezczelność i głupotę.
Ciebie chcę.

DUMUZI powoli odwraca się do ERESZKIGAL i nagle, śmiałym ruchem, odsłania twarz.

PRZERWA

Akt III

1. Świat na górze. Miasto. Wyjście Inanny

INANNA, NINA, DEMONY

NINA
Ile trzeba, żeby odkupić śmierć boga?
Góry butów?
Okulary usypane w hałdy?
Tony małżeńskich obrączek?
Kamienie nagrobne ułożone w trakt wokół Ziemi?
Ile trzeba materii tej jasnej i ciemnej?
Ilu trzeba ludzi, by wybawić boga od śmierci?
Stu, dwustu? Sześć milionów?
Żelazna brama otwiera się i mrok dopomina się swoich praw.
Będzie plądrować.

Pojawia się obdarta, blada INANNA, a za nią tłum Zmarłych. INANNA nie przypomina siebie, zamiast bransolet ma na rękach bandaże, jej skóra jest sina. Chwieje się na nogach. NINA przypada do INANNY, jest zdumiona i przerażona zmianą, jaka w niej zaszła.

INANNA
Powiedz, jak długo trwała po mnie żałoba.
Czy sypali popiół na nasze ogrody?
Opowiedz, jak rozpaczali Ojcowie,
jak zamknięto wszystkie teatry i kina,
jak ściszono muzykę.

NINA *(wymijająco)*
Inanno, ma być festyn w mieście. Wszyscy są zajęci.
Cieszą się z ogrodów, szykują kolacje.
Nie rozumieją boskich dramatów.
Niebo to dla nich poszycie namiotu,
piekło – to dziura w ziemi.

INANNA
Więc?

NINA *(po chwili wahania)*
Nikt nie zauważył, Inanno.
Nikt nie spostrzegł zmiany,
Nie wiedział, ze umarłaś.
Nic się nie zatrzymało, nie zwolniło,
Nie wysiadły korki,
Nie zwarzyło się mleko.
Nie, nie, nie,
Nic i nie.
Nie widziało, nie słyszało,
Nie czuło.
Nie zauważyło,
Nie lamentowało,
Nie żałowało.

INANNA
A on, mój Dumuzi, Pan Ogrodów,
czy rwał szaty? Czy głowę posypał popiołem?
Czy oczy wypłakiwał?

NINA
Dumuzi… poszedł za tobą.
Musiał… został wysłany.
Został tam za ciebie, Inanno.
To moja wina…

INANNA
Nie!

W czasie tej rozmowy zewsząd podchodzą DEMONY, którzy wyszli za INANNĄ. Niezrozumiałe buczenie przechodzi w słowa:

DEMONY
To nie jest karnawał. To jest wojna.
Reguły zostały złamane.
Porządek zburzony.
Jeżeli śmierć można odwrócić, nie działa już prawo.
Postawimy świat na głowie.
My, podziemni, nie lejemy łez.
Nie oślepi nas gaz łzawiący, ani woda z armatek.
Nasze gardła piły wodę z podziemnych rzek,
nasze ciała są nieczułe na ból.

(wciągając powietrze, z zachwytem, jak turyści)

Miasto…
Jest nasze.
Domy i windy,
Banki czynne do ostatniej kropli krwi.
Szkoły, gdzie dzieci uczą się najprostszej gramatyki:
Ja, mnie, mną, u mnie…
Mnie, moje, u mnie, ja!

2. Lament Inanny i zamiana

INANNA, ERESZKIGAL, NINA

Pada śnieg. INANNA stoi przed wielką żelazną bramą, przytulona do niej policzkiem.

INANNA
Oddaj mi go,
na nic on tam tobie w ciemnościach.
Z jego nasion nic tam nie wyrośnie,
żadna z jego cebulek nie puści pędów.
Hoduj sobie swoje białe grzyby ślepe na słonce, ale
Oddaj mi go.
Żałuję swego gniewu, żałuję złych myśli, żałuję swej pychy.
Nie można żyć bez niego,
On jest radością.
Bez niego świat obnaża swój szkielet,
swoje spawy i śruby i przęsła ze stali.
On sadził rośliny, słodka wata, śmiech,
tańce i żarty.
On jest miłością.
Cudowną iluzją, bez której nie można żyć
Oddaj mi go.

Teraz światło zmienia się tak, że oświetla postać po drugiej stronie żelaznej bramy – to ERESZKIGAL. Obraz jest symetryczny, są jak odbicie w lustrze.

ERESZKIGAL
Siostro, masz wszystko.
Wszystko do ciebie należy.
Masz Słońce, Księżyc,
masz ludzi, ciepłe noce,
zapach i smak,
masz żywych kochanków, ich gładką skórę,
masz pudry i szminki,
masz piwo i wino, i słodkie ciastka.
Puszyste zwierzęta.
Biedronki i kolibry.
Wyszywane suknie, kolczyki,
masz kłótnie, po których następuje zgoda.
Masz przyjaźń i oddanie,
masz przywiązanie, masz papier i litery.
Wielkie jest twoje bogactwo.
A ja?
On jest tym jedynym, co mogę ci zabrać.

INANNA czule dotyka metalowej ściany, jakby głaskała siostrę po policzku.

INANNA
Oddaj mi go,
jak długo będzie cię cieszył mój ból?
Oddaj mi go.
Po dwóch dniach cię znudzi,
zatopisz go w pleksi, jak innych swoich mężów,
będzie świecił swoim ciałem w ciemnościach jak grzyb.
Oddaj mi.
Nie ja jestem winna twojemu smutkowi.
Podzieliłyśmy świat jeszcze w łonie matki,
gdy pływałyśmy w oceanie matczynego brzucha.
Twój świat jest wszędzie i zawsze, jesteś podstawą wszelkiego porządku.
Mój jest ulotny i kruchy,
Nie potrwa długo.
Piwo i wino skwaśnieją.
Skruszą się słodkie ciasteczka.
Papier zetleje, a litery wyblakną.
Gładka skóra zmarszczy się i zwiotczeje.
Zmysły stępieją.
Zgasną Słońce i Księżyc.
Wciągnie je czarna dziura.
Nic nie zachowa swojego kształtu.
Mój świat przykryje piasek pustyni.
Twój będzie wieczny.

Światło w czasie tego lamentu zwiększa swój zasięg, teraz widać, że tej rozmowie przysłuchują się LUDZIE (współcześnie ubrany Chór). Przestępują z nogi na nogę, zacierają z zimna ręce, bo śnieg ciągle pada. Nagle z tego tłumu występuje NINA.

NINA
Weź mnie za niego.
Jego wypuść, niech wraca do swoich ogrodów.
Niech oplecie stalowe przęsła świata girlandami kwiatów.
Weź mnie.
Będę cię kochać tak, jak kocham Inannę,
Co rano będę splatać twoje włosy,
będę cię smarować olejkami
i malować twoje paznokcie czarnym lakierem.
Będę ci szeptać do ucha słowa ukojenia, będę cię tulić.

INANNA
Nie, Nino, moja przyjaciółko, moje serce.
Och, nie!

NINA
Weź mnie do siebie za niego,
O wielka Pani Współczucia,
Pójdę za niego,
Bo potrzebni nam są żywi bogowie, nie martwi.
Nawet jeśli sieją chaos
I wstrzykują w nasze życie niepokój.
To my, ludzie, musimy przywrócić porządek,
Dlatego ja pójdę za niego.

ERESZKIGAL jest poruszona tymi słowami, odpowiada po chwili.

ERESZKIGAL
Tak, wezmę cię. Zamiast niego.
Niech wraca.
Brzydzicie mnie, wy, żywi.
Mam od was mdłości.
Całe to wasze życie jest przereklamowane,
puste kalorie, sztuczne jedzenie.
Blichtr i udawanie, jedna wielka iluzja.
(do NINY)
Chodź zapleść mi warkocze.

Teraz NINA przechodzi przez wielką bramę do Podziemi.

NINA *(gorzko)*
Niewinni, którzy poczuwają się do winy.
Ofiary, które poczuwają się do zadośćuczynienia sprawcom.
Przegrani, którzy zostają ukarani.
Taki jest porządek rzeczy.
Patrzcie na mnie, jestem człowiekiem,
Kruchym tworem ulepionym z ciała.
Towarem z napisem „fragile".
Patrzcie na mnie, słuchajcie, jestem człowiekiem
...i znika w ciemnościach.

Twoje domy z kości w lasach północy,
Twoje piece chlebowe i studnie, twoje samotne
/ ślady na piaskach
pustyni, twoje szczyty gór, twoje doliny, twoje strumienie
/ i rzeki,
Twoje domy, lepianki, miotły,
Burki, korony i chusty,
Twój taniec brzucha, odkryte piersi, krew,
Twoja ciemna twarz z blizną przez środek policzka.
Twoje litery, słowa, zdania,
Twoje nuty i dźwięki.

Nagle w tle tej tryumfalnej muzyki pojawiają się ciemne, podziemne dźwięki, które nakładają się na ten tryumfalny ton. ERESZKIGAL przytulona do bramy skrobie paznokciami w metal.

ERESZKIGAL
To tylko miraż.
To tylko miraż.
Tylko iluzja, tylko złudzenie.
Błądzenie i szeptanie.
W płomieniach.

KONIEC

3. Epilog – Uczta
LUDZIE, OJCOWIE, INANNA, ERESZKIGAL

Przygotowywane na początku święto dochodzi wreszcie do skutku. Teraz dodatkowo świętować się będzie powrót INANNY z Podziemi i jej powrót do życia. Zarówno OJCOWIE, jak i ludzie obdarowują prezentami INANNĘ, dostaje nowe atrybuty, nowe obszary władzy. W czasie trwania uczty, która także przypomina zaślubiny. Widzimy, że INANNA stała się dziwnie podobna do swojej mrocznej siostry. Przyjmując dary, woła:

INANNA
Biorę. Tak, biorę wszystko!

LUDZIE
Tak cię widzę, Inanno,
Rosnącą z żelaza, ze stali, z kamiennych pustyń,
wielką radosną pannę o nagich piersiach,
smagłoskórą matkę,
roześmianą siostrę, mądrą córkę,
żonę dumną z mocy swych bioder.
I małą dziewczynkę w różowym pokoju,
i starą kobietę, która karmi stada kotów.
Widziałam twój gniew, twoją gwałtowność.
Widziałam, jak śpiewasz, jak płaczesz,
jak krzyczysz i szepczesz, widziałam, jak burzysz.
Widziałam, jak zbierasz to, co rozsypane,
co zmieszane z popiołem.
Widziałam, jak szukasz i odnajdujesz,
jak tworzysz i niszczysz.

Z Olgą Tokarczuk
rozmawia redakcja

Uoperzyć prozę

Czas Literatury: Jak to było z pomysłem na libretto? Czy to organizatorzy Festiwalu Sacrum Profanum się do Ciebie zwrócili, by „uoperzyć" książkę?

Olga Tokarczuk: Było tak, że kilka lat temu pojechałam do Poznania na operę *Space Opera*. Libretto napisał mój dobry przyjaciel, bułgarski pisarz Georgi Gospodinow, a muzykę skomponował Aleksander Nowak i prawdę mówiąc, byłam zafascynowana tym, co oni zrobili. Jak pisarz epicki, powieściopisarz zmienił swoje możliwości pisania i stworzył tekst kompletnie odleciany, który na dodatek dał się świetnie pokazać w takiej formie, jaką jest opera, czyli formie szczególnej, złożonej, pozwalającej sobie na wielowymiarowy patos w poziomach przekazu. Rozmawiałam po wystawieniu tej opery gdzieś w kuluarach z Alkiem Nowakiem i to wtedy urodził się we mnie ten pomysł. Przypomniałam sobie, że jest takie jedno dzieło, które kiedyś napisałam: to *Anna In w grobowcach świata*. Zawsze mi się wydawało, że to jest temat na jakąś dostojną formę wyrazu i że powieść nie jest gatunkiem, w którym się powinno opowiedzieć tę historię. Opera przy wszystkich jej możliwościach byłaby najlepsza. Zaproponowałam to Alkowi. Wysłałam mu książkę, a on się zapalił, spodobał mu się ten pomysł. A potem już naprawdę nie wiem, co się stało, że KBF się tym zainteresował. Myślę, że zadziałało nazwisko Alka Nowaka, który jest świetnym kompozytorem, wielkim erudytą, człowiekiem, który wniósł do tego projektu mnóstwo swoich pomysłów i bardzo wzbogacił to, co ja miałam na myśli od początku. Tak że jest tu absolutnie jego energia. Nawet nie mówię o muzyce, tylko o tym, jak to pokazać, jak opowiedzieć.

Czy stworzenie libretta było dla ciebie dużym wyzwaniem?

Tak, bo ja właściwie nigdy nie mierzyłam się z poezją w jakiś poważny sposób. Konieczność opowiedzenia czegoś, co już jest napisane, jeszcze raz, ale w innej formie trenowałam ze scenariuszem do filmu (*Pokot* w reżyserii Agnieszki Holland, 2017, przyp. red.). To było bardzo bolesne i trudne. A tutaj jeszcze trudniejsze zadanie: wybrać taką formę, która się ma nadawać do śpiewania, czyli musi być niezwykle skondensowana, bo wypowiedzenie, wyśpiewanie tego jednego zdania w operze trwa trzy razy dłużej. Tam się używa zupełnie innych środków do komunikacji zwykłej treści. W związku z tym przygotowywałam się, czytałam libretta różnych oper, patrzyłam, jak to jest zrobione, zaczęłam też jeździć oglądać opery, w końcu się odważyłam. I powiem szczerze, że potem ta praca była dosyć przyjemna. Takie jakby wyciąganie kwintesencji z całej wielostronicowej powieści, a właściwie zapomnienie, jak to zostało napisane, i jeszcze raz, w krótkich zwartych słowach, opowiedzenie tego na nowo.

Czyli libretto nie jest przeniesieniem jeden do jednego książki (*Anna In w grobowcach świata*, 2006 – przyp. red.). To nowy tekst oparty na bazie całej powieści?

Tak, bo tego nawet się nie dało przełożyć w taki sposób. Dyskutowaliśmy z Alkiem Nowakiem, jak to opowiedzieć, i postanowiliśmy, żeby przenieść punkt ciężkości z bogini na służkę. Z tym że bardzo szybko przeformułowaliśmy tę służkę, czyli Ninę Szubur, przestaliśmy ją tak nazywać, tylko jakby podkreśliliśmy jej człowieczeństwo i uczyniliśmy z niej towarzyszkę boginі, taką ludzką towarzyszkę. Niejako agentkę, tak bym powiedziała językiem współczesnym, boga, boginі w świecie, i właściwie skupiliśmy się na jej dylematach, na opowieści, tragedii, którą przeżywa ta postać ludzka. Dlatego tytuł, który wymyślił Alek, to *Siostra Bogów* i opowiadamy o człowieku, a nie o bogach.

I to jest tytuł tej opery?

Siostra bogów: Achat Illī

Mówiłaś wczoraj, i o to zapytamy, że to jest libretto wielojęzyczne.

Tak, i to był też pomysł Alka, uważam, że bardzo ciekawy, ponieważ on miał taką ideę, żeby głosy bogów rozpisać w starożytnych języka. Tak, bogowie mówią w starożytnych językach

Prawda, jeszcze do niedawna mówili po łacinie, ale przedtem w tych językach, które już wymarły. Niestety, te języki boskie znikają i Alek wpadł na to, żeby je ożywić. Być może pierwszy raz w ogóle w historii usłyszymy śpiewany akadyjski czy starożytny język Majów, którym już właściwie niewielu mówi, niewielu go zna. Alek zlecił tłumaczenie libretta na te języki starożytne i się udało. To musiało być tak zrobione, żeby było „śpiewalne", czyli w jakimś sensie rytmiczne czy poukładane, żeby się zmieściło w muzyce. Nie znam rezultatu, bo jeszcze tego nie słyszałam, ale mam wrażenie, że pomysł był świetny. Tylko ludzie mówią po angielsku, a bogowie w językach wymarłych albo w takich jak starożytny hebrajski, którym właściwie też już nikt nie mówi, chociaż hebrajski istnieje nadal. Jako nowożytny język.

Jesteś fanką opery?

Niekoniecznie, aczkolwiek widziałam teraz sporo oper i bardzo doceniam to miejsce, jakie sobie opera wydeptała, jako punkt, z którego mówi i opowiada świat. To jest pozycja szczególna. W gatunkach literackich, komunikacyjnych jest coraz mniej miejsca na patos. Może w liturgicznych. W jakimś sensie opera nawiązuje do liturgii, chociaż opowiada o tragediach, dramatach ludzi i pozwala sobie na patos; jest wielobrzmieniowa: mamy głos ludzki, instrumenty, chór, scenografię, grę aktorską, czyli jest najbardziej multimedialna, powiedziałabym. Istnieje wiele płaszczyzn, którymi dociera do widza. Jest też potężna w tym przekazie. Czasami, będąc słuchaczem, widzem opery mam poczucie pewnej sztuczności, jaką operuje ten gatunek, dzieło, ale jednocześnie gdzieś bocznymi kanałami ono dociera do mnie, wzruszam się. W operze mamy prawo się wzruszyć, i to w taki niejako pierwotny sposób. Doświadczamy dzieła jako przemożnego, właśnie przez tę przerośniętą strukturę, ten wyraz, który jest nadmierny, przebogaty, a jednak to pozwala przekazać, przenieść bardzo mocne emocje.

To jest kolejna dziedzina, gałąź sztuki, do której docierasz dzięki swojej twórczości. Był film, a teraz jest opera. Jak się z tym czujesz, że podbijasz nowe lądy?

Fajnie się czuję, bo to jest jakiś obszar, który wydawał mi się od zawsze nieosiągalny. Opera zawsze wydawała mi się poza zasięgiem.

No i zobaczymy, jak to będzie. Premiera jest na Festiwalu Sacrum Profanum, ale jeśli opera się przyjmie, to może okazać się, że będzie kolejnym produktem eksportowym i pójdzie gdzieś dalej.

Dla mnie to jest eksperyment, to, co można zrobić. Zależało mi, żeby tę opowieść, do której najbardziej jestem przywiązana, czyli opowieść o Inannie, pierwszej bogini w historii człowieka, która postanowiła się zmierzyć ze śmiercią – a to jest taki leitmotiv, który się pojawia często w tym, co piszę – jeszcze raz opowiedzieć innym środkiem wyrazu. I wtedy zasłużyć się u bogini.

AGATA DĘBICKA 2018

pod redakcją
Krzystofa Lisowskiego

Czechy

Václav Burian

Skrajne znużenie

Nadchodzi październik pragnący liści. Z głową
ku kolanom skłonioną oczekuje na pierwszy śnieg.
W ogrodowej altanie zebrał się sztab generalny
nieznanej jeszcze armii.

Czekam

Czekam,
aż kiedyś wróci
wszystko to,
czego nie przeżyłem.
Przecież nie wydarzyło się
nic piękniejszego.

Na koniec

Dopiero kiedy odejdzie i ten ostatni,
powiesz:
Będzie nam was brakowało.
A teraz śnij o szczęśliwej przeszłości!

Dar

Spróbuję dać ci to,
czego nie mam,
i ukryć wszystko,
co mam.

1987

To przedpołudnie

To przedpołudnie,
ostatnie,
kiedy nikt z nas nie podjął jeszcze decyzji,
było najpiękniejsze.
Poprzedzał je chłodny poranek
zapowiadający skwarny dzień

***

Beze mnie zasypia tysiąc wsi,
beze mnie gęstwina śpi.
Nie ma mnie w młodniku,
nie ma mnie nigdzie,
gdzie miałbym być.

Wiosną

W porze umilkłych kaznodziejów
i małomównych symboli
nierozwiązanych alegorii
i oddalonych przyjaciół
jeszcze fruwają jaskółki
i bazie opadają cicho z gałązek.

Błękit północy
przeł. Krzysztof Lisowski

Václav Burian | ur. 1959, zm. 2014.
Czeski poeta, krytyk literacki, tłumacz, publicysta.

Josef Škvorecký

Zwyczajny tydzień Květoslava Prska

albo pozdrowienia dla George'a Orwella z prawdziwej Oceanii lat 1948–1984

Josef Škvorecký | ur. 1924, zm. 2012, czeski pisarz, tłumacz literatury (m.in. E. Hemingwaya, R. Chandlera, H. Jamesa, W. Faulknera) i wydawca. Laureat Nagrody Literackiej Europy Środkowej Angelus (2009).

To był całkiem spokojny tydzień, w którym właściwie nie zdarzyło się nic szczególnego. Kiedy Květoslav wsuwał się pod pierzynę, gdzie czekała już na niego całkiem goła żona Jarmila, zalała go fala niezwykłego szczęścia.

Miał przed sobą atrakcyjny, niedzielny wieczór pełny rozkoszy. Trzeba będzie wstać dopiero przed północą, ale wtedy już naprawdę migiem, żeby punktualnie o dwunastej zjawić się pod domem towarowym „Biały Łabędź" i zmienić zmęczoną teściową w kolejce po lodówki. Tak, było to naprawdę niezwykłe szczęście, że teściowa akurat wtedy przyjechała do nich z wizytą, bo w przeciwnym wypadku musiałby stać od szóstej wieczorem. Zresztą teściowa na wszelki wypadek zjawiła się przed sklepem już o czwartej i – jak się okazało – postąpiła słusznie. Kwadrans po czwartej zameldowała im telefonicznie, że jest siódma w kolejce, co było świetną informacją. Znajoma ekspedientka za pudełko czekoladek powiedziała Květoslavowi, że w poniedziałek rano dostaną siedemnaście lodówek, a tylko trzy odłożą dla zasłużonych bonzów partyjnych. Jak widać z tego, szansa była bardzo duża. Jarmila miała zmienić męża o szóstej rano.

Był co prawda problem, co zrobić ze zdobytą lodówką. Květoslav i Jarmila wynajmowali osobne pokoje, każde z nich w zupełnie innej dzielnicy. Właścicielki mieszkań, wdowy, zajmowały kuchnie, a jedyny posiadany pokój udostępniały sublokatorom. Były z tym jednak związane pewne komplikacje. U Květoslava do kuchni wchodziło się przez pokój, drzwi zaś absolutnie nie były dźwiękoszczelne. Ponieważ Jarmila była bardzo wstydliwa, więc mogli się kochać tylko w czwartki, gdy właścicielka wychodziła o szóstej wieczorem na plotki do kawiarni i nie wracała nigdy przed dziesiątą. Sytuacja ta miała też jednak pewną istotną zaletę. Gospodyni Jarmili nie pozwalała jej korzystać z łazienki, więc w czwartek przed przyjemnościami z mężem mogła też wziąć prysznic. Na następną kąpiel była szansa dopiero w niedzielny wieczór, kiedy z kolei jej gospodyni chodziła do kina. Wprawdzie zamykała łazienkę na klucz, ale na szczęście koledze Květoslava z wojska, ślusarzowi z zawodu, udało się dorobić dla niej odpowiedni wytrych.

Istniał więc problem, co zrobić z lodówką, ale Květoslav był w tak świetnym humorze, że nie chciał teraz o tym myśleć. Przecież na wszelkie decyzje pozostawało jeszcze masę czasu. Obydwoje małżonkowie złożyli osobno podania o przydział mieszkań. Květoslav dostał numer 12 536, zaś Jarmila – 11 784, a ponieważ co roku w obu dzielnicach zwalniało się około 400 mieszkań, których właściciele zmarli lub zostali zamknięci w pierdlu i mniej więcej połowę z tych mieszkań rozdzielano bez łapówek czy protekcji, więc mogli liczyć na własną kawalerkę już za 57 lat. Jarmila będzie wtedy miała 77, a Kvietoslav – 79 lat. No cóż, nie była to bardzo przyjemna perspektywa.

Jednak Květoslav nie łamał sobie głowy przyszłością. Minął przecież całkiem spokojny tydzień, w czasie którego nic się nie zdarzyło. A początkowo wcale nie wyglądało to zbyt dobrze. W poniedziałek odbywała się ochotnicza masowa demonstracja protestacyjna przeciw oszczerczym oskarżeniom prezydenta USA, jakoby ZSRR miał umieścić na Kubie rakiety balistyczne, i akurat wtedy nie zadzwonił budzik. Květoslav zaspał i dotarł na miejsce zbiórki dopiero pół godziny po sprawdzeniu listy obecności manifestantów z jego wydawnictwa, kiedy cała grupa maszerowała już na spotkanie z innymi. Tak poważne naruszenie zasad ochotniczego obowiązku nie wróżyło Květoslavowi nic dobrego. Na szczęście we wtorek Nikita Chruszczow kazał usunąć rzekome rakiety z Kuby, a na środowej manifestacji poparcia pokoju i przyjaźni między narodami Květoslav zjawił się nawet przed swoim szefem, co częściowo złagodziło poniedziałkową wpadkę.

Po południu w poniedziałek Květoslav kończył redagowanie „Chaty wuja Toma". Nie była to wcale sprawa prosta, bo na odgórne polecenie miał się postarać zrobić z wuja Toma ateistę. Co prawda nie udało mu się całkowicie wyrugować Pana Boga, ale w efekcie starań redaktora wuj zaczął mówić jak uświadomiony związkowiec i naczelny publicznie pochwalił za to Květoslava na cotygodniowym kolegium redakcyjnym.

Gdy wieczorem wrócił do domu, czekał tam już jego przyjaciel Jan, który potrzebował rady. Jakieś dwa tygodnie wcześniej, będąc na delegacji, przeżył w jednym z praskich hoteli przygodę miłosną. O północy policja przeprowadziła rutynową kontrolę dokumentów i dowódca patrolu zorientował się, że zarówno Jan, jak i jego partnerka związani są wprawdzie węzłem małżeńskim, lecz każde z inną osobą. Dowódca nic nie powiedział, tylko spisał personalia. Za to w tydzień później Jan otrzymał wezwanie do Urzędu Bezpieczeństwa, gdzie zaproponowano mu współpracę, w razie odmowy grożąc zdemaskowaniem przed żoną. Naturalnie Jan za żadne skarby nie chciał zostać donosicielem, lecz z drugiej strony…

– Co byś zrobił na moim miejscu?

– Przyznałbym się do wszystkiego żonie – powiedział Květoslav. – Byłoby to nieprzyjemne, ale przynajmniej nie mogliby mnie szantażować.

– Ale ja nie mogę tego zrobić. – Jan chwycił się za głowę i jęknął. Květoslav doskonale go rozumiał: żona Jana była niczym przysłowiowa Ksantypa i w dodatku znacznie od niego potężniejsza.

W poniedziałki Květoslav jadał zwykle kolacje u swych sąsiadów – Nováków. Ta szczęśliwa rodzina miała pokój z kuchnią wyłącznie do własnej dyspozycji, bo rodzice Nováka zginęli w wypadku samochodowym. To szczęście wprost spadło im z nieba, bo rodzice mieli dopiero po 45 lat i cieszyli się doskonałym zdrowiem, więc Novák mógł liczyć na mieszkanie najwcześniej w wieku sześćdziesięciu lat. Do tego czasu jego córka z pewnością wyszłaby za mąż i urodziła dzieci, a mieszkanie byłoby jeszcze bardziej przepełnione, chyba że Novák zdecydowałby się na ojcobójstwo. Zapewne jednak zabrakłoby mu odwagi. Za to jego kuzyn Marek próbował niedawno rozwiązać swoje kłopoty mieszkaniowe, usuwając z tego świata tatusia, został jednak zdemaskowany i powieszony. Novák natomiast dzięki tej bardzo szczęśliwej tragedii nie musiał podejmować żadnych drastycznych kroków i jego rodzina mogła mieszkać sama. Trudno bowiem było brać pod uwagę pradziadków, którzy dobijali do osiemdziesiątki, więc nie mogli już zbyt długo pociągnąć.

Květoslav bardzo lubił pogodny nastrój domu Nováków, lecz akurat tego dnia, gdy przyszedł na kolację, atmosfera była ponura. Mała Jindřiška klęczała w jednym kącie, a w drugim na kanapie leżała Nováková z zimnym kompresem na czole i ze łzami w oczach, Novák zaś nerwowo krążył po pokoju zatopiony w ponurych myślach. Květoslav dowiedział się od niego, co się stało. Przed chwilą przyszła ich ostrzec nauczycielka Jindřiški, że niestety, z wielką przykrością będzie musiała zameldować dyrektorce szkoły, co dziś ich dziecko powiedziało w klasie. Musi to zrobić, szlochała nauczycielka, bo Růžena, koleżanka Jindřiški, powie o tym swojej partyjnej matce, która z pewnością zadzwoni do dyrektorki, a ta, choć niechętnie, będzie musiała zadzwonić do personalnego z zakładu pana Nováka. A co takiego Jindřiška powiedziała? Na lekcji o Leninie zgłosiła się do odpowiedzi i nieśmiało pisnęła: „Towarzyszko nauczycielko, a mój tatuś powiedział, że towarzysz Lenin to morderca!".

Novák przygotowywał właśnie linię obrony opierającą się na twierdzeniu, że z powodu wady wymowy Jindřiška została źle zrozumiana, bo w istocie powiedziała: „Towarzyszko nauczycielko, a mój tatuś powiedział, że towarzysz Lenin to został zamordowany przez międzynarodową reakcję". Novák chciał również tłumaczyć, że mamy tu do czynienia z typowo dziecięcym brakiem logiki, lecz mimo wszystko nie bardzo liczył na powodzenie swych wykrętów. Dlatego był w ponurym nastroju i mimo wszelkich starań Květoslav nie potrafił go rozweselić.

We wtorek w drodze do swego wydawnictwa Květoslav zauważył, że gigantyczny pomnik Stalina, niczym King-Kong górujący nad Pragą, zaczyna przybierać coraz bardziej modernistyczną formę. Wkrótce po zdemaskowaniu Stalina jako złego komunisty Partia nakazała zniszczyć pomnik. Nie można go jednak było po prostu wysadzić w powietrze, bo eksplozja zniszczyłaby kawał śródmieścia, dlatego zdecydowano się nadgryzać go serią małych eksplozji. Květoslav był urzeczony taką estetyczną zmianą kształtów generalissimusa.

Tego ranka w wydawnictwie aferę miał kolega Bříchatý. Był to młody, niedoświadczony redaktor, który w *Inwazji jaszczurów* Čapka odkrył coś, czego nie zauważył żaden poprzedni redaktor: angielskie słowo „wellcome" pisane było przez dwa „l", zamiast przez jedno. Redaktor naczelny pochwalił młodzieńca za spostrzegawczość i wierząc, że nic już nie uszło jego czujnej uwadze, nie przeczytał powtórnie tekstu. Kilka dni później wezwano go do cenzury, skąd wrócił wściekły, zwymyślał Bříchatego i polecił wszystkim redaktorom, aby w najbliższą niedzielę, w ramach czynu społecznego, z całego czterdziestotysięcznego nakładu wycięli stronę 158 i wkleili tam nową. Bystry odkrywca błędnego „wellcome" nie zwrócił bowiem uwagi na rozdział *Manifest Mołokowa*, w którym Čapek negatywnie wyrażał się o ZSRR. W czasach, gdy ta powieść powstała, robienie sobie żartów z komunizmu nie było jeszcze sprzeczne z prawem.

Stalin wprawdzie zmarł, lecz redaktorzy dalej obowiązkowo studiowali Historię Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). Květoslav należał do kółka zbierającego się w każdą środę i składającego się z pięciu magistrów-filologów oraz jednego partyjnego instruktora – byłego zawodowego zapaśnika w stylu klasycznym. W tym tygodniu dokładnie analizowano rozdział trzydziesty szósty, składający się z dwóch dziesięciolinijkowych akapitów o tym, jak to w 1905 roku w jakiejś fabryce policja zastrzeliła siedmiu robotników. Lektor-zapaśnik był w stanie przedstawić czterominutową interpretację tekstu, po czym zarządził dyskusję.

Mgr Sírotka wezwany do zabrania głosu stwierdził, że akcja policji cechowała się brutalnością. Magister Žilina w pełni poparł swego przedmówcę i dodał jeszcze, że było to nieludzkie. Magister Mesnerová także zgodziła się z kolegami i podsunęła nowy trop dyskusji, a mianowicie tezę, że tego rodzaju akcje policji są typowe dla ustroju kapitalistycznego. Magister Kondyšová dorzuciła, że nic takiego nie mogłoby się zdarzyć w państwie ludowo-demokratycznym, na przykład w Polsce. Květoslav był tego samego zdania i oświadczył, że jest całkowicie pewny, iż coś takiego nie mogłoby się zdarzyć w Polsce. Dyskutowali jeszcze w ten sposób przez następne 116 minut i wreszcie – całkiem wyczerpani – doszli do wniosku, że również temat udało im się w pełni wyczerpać.

Květoslav wyszedł z pracy w dobrym humorze, bo czekał go przyjemny wieczór: Jarmila zaprosiła go na prywatną projekcję *Dyliżansu* Johna Forda. Film miał być wyświetlony w sali ministerstwa finansów u towarzysza Václava Kopeckiego w Pałacu Wallensteina w praskiej dzielnicy Malá Strana. Był to wytworny buduar z różowo-złotymi tapetami, a pod ścianą stały rokokowe foteliki z jedwabną tapicerką. Minister lubił spędzać wieczory w towarzystwie ładnych panienek; na Jarmilę – byłą pielęgniarkę – zwrócił uwagę w czasie swej wizyty w szpitalu, gdzie odwiedzał jakichś górników po którejś z kolejnych katastrof w kopalni. Towarzysz minister był jednak wspaniałomyślny dla swej dziewczęcej świty i pozwalał im sprowadzać na projekcje także ich chłopców. W owym czasie w Pradze jedynymi zagranicznymi filmami były dzieła kinematografii radzieckiej, bułgarskiej i chińskiej, rodzimą produkcję zaś stanowiły wyłącznie dramaty dotyczące wykonywania norm.

Dlatego wszyscy bawili się doskonale, oglądając Johna Wayne'a masakrującego Indian. Radość osiągnęła szczyt, gdy amerykańska kawaleria przybyła na pomoc podróżnym i wytłukła wszystkie czerwone diabły. Tego dnia minister opublikował w „Rudým Právie" artykuł demaskujący rząd amerykański, który wspomaga morderców Lumumby w Kongo, lecz teraz głośno wył z zachwytu, a wszyscy obecni poszli w jego ślady.

W czwartek Květoslav zauważył z satysfakcją, że monumentalny posąg Stalina jeszcze bardziej się skurczył, ale gdy wrócił z pokojowej demonstracji, oczekiwała go przykra

niespodzianka. Naczelny wezwał go do swego gabinetu i przedstawił rudemu facetowi w szkockiej spódniczce, którym okazał się słynny kanadyjski pisarz Shorty Beardie. Wydawnictwo opublikowało właśnie jego dzieło pt. *Ural*. Autor zgodził się na honorarium w koronach, a Květoslav otrzymał teraz polecenie oprowadzenia go po Pradze. Ponieważ redagował jego książkę, więc perspektywa spędzenia czasu z Beardiem nie była specjalnie przyjemna. Wiedział, co usłyszy, i miał pełną świadomość, że będzie musiał siedzieć cicho, bo naiwny Kanadyjczyk mógłby przekablować dalej jego komentarze, a ubecy na pewno nie uwierzyliby w wersję Květoslava. Bezpieka była zbyt doświadczona, by nie wiedzieć, że obywatele państw socjalistycznych zawsze kłamią, natomiast turyści z krajów kapitalistycznych mówią wyłącznie prawdę.

W dodatku gdy kilka tygodni wcześniej był jednodniowym cicerone jakiejś pisarki australijskiej, dostał poważną przestrogę od prezesa Związku Pisarzy. Mąż Australijki w przeświadczeniu, że szef Związku musi być jednocześnie kapusiem, zaproponował, że będzie mu składał donosy. „Pisarze czescy – argumentował australijski towarzysz – z pewnością otworzą swe serca przed cudzoziemcem, a towarzysze ze służby bezpieczeństwa będą mogli w ten sposób poznać sekrety środowiska literackiego".

Co do Beardiego obawy Květoslava były zupełnie słuszne. Nie wiadomo czemu wciąż gadał o powszechnej, a jednocześnie rzekomo błędnej interpretacji powieści Orwella *1984*, według której mowa jest o Związku Radzieckim, choć przecież sytuacja tam przedstawiona dużo bardziej przystaje do systemu półfaszystowskich Stanów Zjednoczonych. Na szczęście męki Květoslava nie trwały długo. Kiedy wysiedli z samochodu na Hradczanach, pisarz momentalnie został zatrzymany za obrazę moralności, a powodem była jego kraciasta, szkocka spódniczka. Květoslav udawał, że nie jest w stanie wyjaśnić funkcjonariuszowi, iż jest to element stroju ludowego, i udało mu się to dopiero po przewiezieniu ich na komisariat. Ale wszystko tak bardzo wytrąciło Kanadyjczyka z równowagi, że Beardie nie chciał już słyszeć o zwiedzaniu dalszych atrakcji Pragi.

Jak zwykle w czwartek po południu Květoslav i Jarmila mieli się kochać, lecz tym razem z seksu nic im nie wyszło. Gdy Jarmila zjawiła się w pokoju Květoslava z nowym, kupionym dzięki łapówce, zachodnim żyrandolem, zastała męża przy butelce wina z malarzem Čmelákiem. Opijali smutny koniec rzeźbiarza Krejčiego, kumpla Čmeláka z Akademii Sztuk Pięknych. To właśnie Krejčí stworzył znikający teraz monument Stalina. Wcześniej zaprojektował dwa tak wielkie pomniki: T.G. Masaryk został zniszczony przez hitlerowców, a F.D. Roosevelt nie doczekał nawet swego odsłonięcia, bo zaraz do władzy doszli komuniści i nakazali przetopić amerykańskiego prezydenta. Jak się okazało, Krejčí nie potrafił się pogodzić ze zniszczeniem swego trzeciego *opus magnissimum* i prowokacyjnie powiesił się w toalecie budynku Komitetu Centralnego.

Kiedy sobie tak wspominali, Čmelák zwierzył się Květoslavowi, że niewiele brakowało, a podzieliłby los kolegi, bo dwa jego dzieła również zostały sprofanowane. Jednym z nich był portret Stalina namalowany w taki sposób, że jego oczy patrzą na oglądającego, niezależnie z której jest strony. Drugi, nadludzkich rozmiarów portret, przedstawiał Rudolfa Slánskiego i miał zdobić gmach Muzeum Narodowego podczas manifestacji pierwszomajowej. Stalina zamówił jakiś powiatowy sekretarz, który widział podobny obraz Chrystusa w jednym z klasztorów koncentracyjnych, gdzie zgromadzono mnichów i mniszki z różnych zakonów, którzy nie chcieli zgodzić się na zeświecczenie. Sekretarzowi bardzo się spodobał ten trik barokowego malarza i doszedł do wniosku, że taki bystrooki Stalin zaimponuje jego przełożonym, a także odstraszy petentów zamęczających go różnymi prośbami. Niestety, po demaskatorskim XX zjeździe portret został zniszczony. Również gigantyczny obraz pierwszego sekretarza nigdy nie został powieszony, bo powieszono samego sekretarza.

Květoslav z kolei opowiedział Čmelákowi, że córka jednego ze straconych w procesie Rudolfa Slánskiego towarzyszy otrzymała wezwanie do komitetu dzielnicowego, gdzie poinformowano ją, że ojciec został po cichu zrehabilitowany. Urzędnik, który z nią rozmawiał, zaproponował, by sama ustaliła wysokość odszkodowania, ale oczywiście w rozsądnych granicach. Dziewczyna podziękowała za pieniądze, chciała jednak, żeby wiadomość o rehabilitacji opublikowało „Rudé Právo", w którym wcześniej ukazywały się artykuły o zbrodniach jej ojca. Przedstawiciel partii odmówił. Powiedział, że przecież opinia publiczna i tak za chwilę się o tym dowie, więc po co stawiać partię w głupiej sytuacji.

Tymczasem Jarmila zdjęła stary żyrandol i zobaczyła, że z dziury wystaje mikrofon. Szalona dziewczyna pociągnęła za kabel, zerwała go i stała teraz z mikrofonem w ręku, nie wiedząc, co dalej. Po krótkiej naradzie zdecydowali, że wezwą odpowiednich funkcjonariuszy. Květoslav poszedł do budki zadzwonić, a Čmelák w tym czasie próbował przylepić mikrofon plastrem i wepchnąć go z powrotem do dziury. Mimo jego wysiłków w chwili przybycia funkcjonariusza mikrofon zwisał dobre pół metra od sufitu. Przybyły wydał surowy rozkaz, żeby nikt z obecnych nie ruszał się z miejsca, i wyszedł, więc wszyscy siedzieli w milczeniu pod mikrofonem.

Po upływie pół godziny mikrofon powoli zaczął sunąć w górę, aż wreszcie zniknął w dziurze. Funkcjonariusz rozkazał im, żeby kontynuowali dotychczasową czynność, i wyszedł. Wtedy powiesili nowy żyrandol, starając się nie zakrywać dziury, aby człowiek z wyższego piętra mógł znów opuścić urządzenie do pozycji umożliwiającej odbiór. W sumie dobrze się stało, że odkryli aparat, bo teraz wiedzieli już dokładnie, w którym miejscu trzeba przykładać poduszkę używaną do ochrony przed podsłuchem. Do tej pory błędnie uważali, że mikrofon jest w kaloryferze. Na dodatek upewnili się, że istotnie – jak od dawna podejrzewali – sąsiedzi z góry to ubecy.

W piątek ze Stalina pozostał już tylko ogryzek, a dzień zaczął się wprost doskonale. Z samego rana Květoslavowi udało się znaleźć niezauważony wcześniej, a bardzo niebezpieczny błąd w kryminale Conan Doyle'a *Znak czterech*. „Tam płynie Aurora – krzyknął Holmes. – I do tego pełną parą", brzmiał fragment dialogu, w którym Květoslav czujnie wykrył obrazę Rewolucji Październikowej. Przeczytał więc jeszcze raz całą korektę, zmieniając wszędzie „Aurorę" na „Najadę" i kuląc się ze strachu na myśl o tym, co by się działo, gdyby tę zbrodnię wykrył cenzor.

Po obiedzie spotkała Květoslava drobna nieprzyjemność. Wybrał się do przychodni stomatologicznej, gdzie chciał wyrwać dwa dolne zęby. Zgodnie z oczekiwaniem przyniósł ze sobą flakon drogich francuskich perfum, ale kiedy dentystka była dopiero w połowie zabiegu, do gabinetu wpadła pielęgniarka

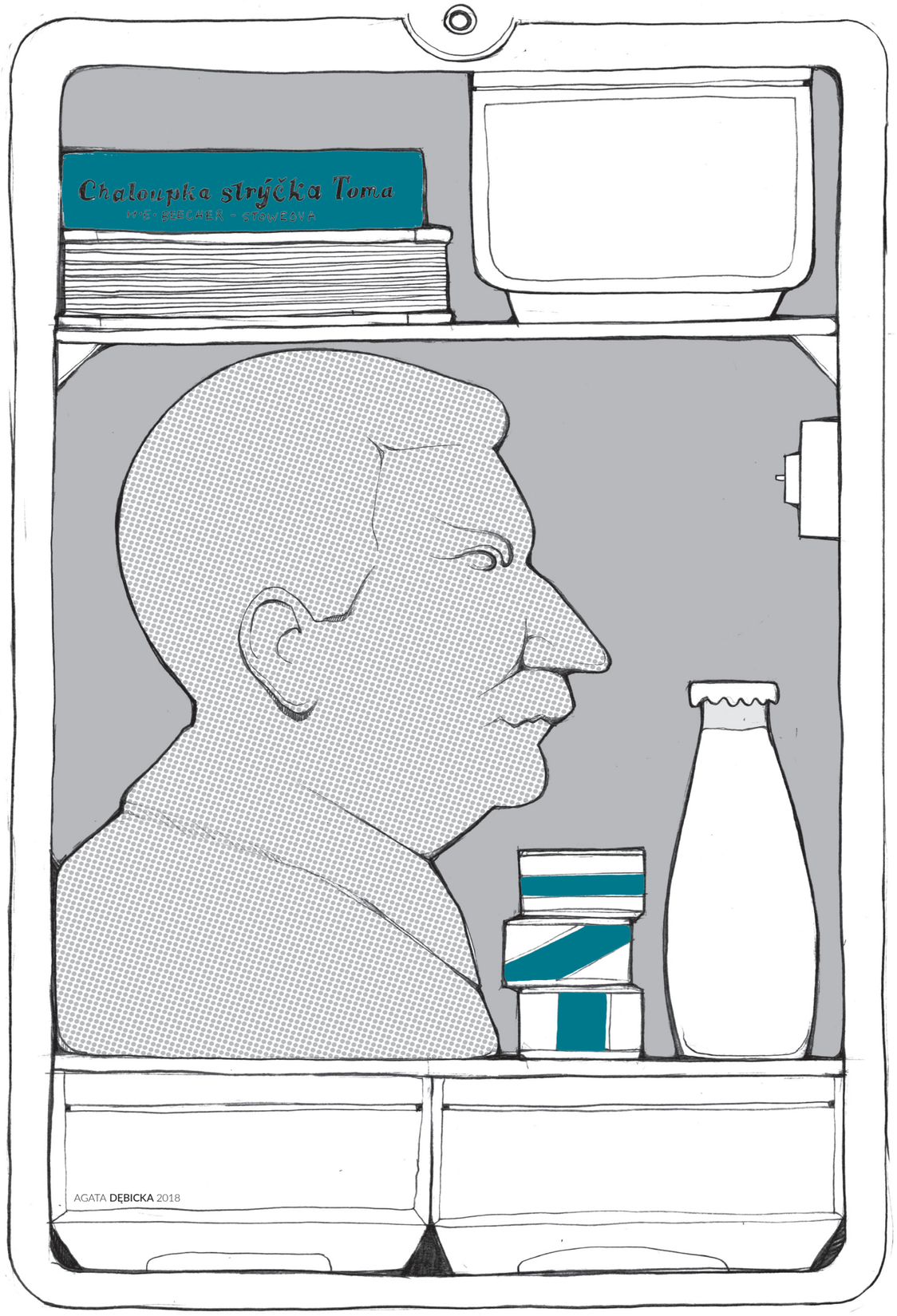

i krzyknęła podnieconym głosem: „Pani doktor, do Domu Mody przywieźli włoskie szpilki!”. Dentystka westchnęła i przez chwilę walczyła ze sobą, aby wreszcie powiedzieć:

– Panie Prsk, ja po prostu muszę mieć te buty! Już od roku nie mam nic przyzwoitego. Zrobię panu jeszcze dwa zastrzyki przeciwbólowe i najpóźniej za godzinę wracam. Mam znajomą ekspedientkę, więc nie będę musiała stać w kolejce.

Słowa dotrzymała. Wychodząc, tak znieczuliła Květoslava, że miał głowę jak granitowy Stalin. Wróciła po dwóch godzinach i nim zabrała się do pracy, triumfalnie pokazała mu parę eleganckich szpilek. Z wdzięczności dała mu do końca dnia zwolnienie, więc resztę popołudnia mógł spędzić pod Domem Mody w kolejce po damskie parasolki. W nagrodę za swoją cierpliwość dostał bardzo gustowny egzemplarz w kolorze różowym, który z pewnością ucieszy Jarmilę pod choinką.

W dobrym humorze włączył w domu telewizor, ale niestety aparat się popsuł. Ponieważ do mistrzostw świata w gimnastyce kobiet pozostał już tylko tydzień, więc ogarnęło go przerażenie i natychmiast od sąsiadów zadzwonił do państwowego warsztatu napraw. Tam niesympatyczny głos zapytał go o adres, a następnie stwierdził, że dzielnica Květoslava jest w planie pracy na czerwiec przyszłego roku. „Przecież mamy dopiero listopad!” – zdziwił się Květoslav. „Niestety, nic na to nie poradzę“ – odparł głos. „Mamy taki sam plan jak inne zakłady pracy. A plan to plan!“„Ale ja w przyszłym tygodniu chciałem obejrzeć gimnastykę!“ „Przykro mi, ale niech mi pan nie zawraca głowy. Wszystko, co mogę dla pana zrobić, to poprosić któregoś z naszych monterów, żeby do pana zadzwonił. Oczywiście, jeśli pan chce“. Květoslav bardzo chciał, więc podał numer sąsiada i odłożył słuchawkę. Dwie minuty później telefon zadzwonił i znacznie sympatyczniejszy głos przedstawił się jako Novotný, technik od napraw telewizorów. Wysłuchawszy prośby Květoslava, pan Novotný stwierdził, że istotnie przed czerwcem przyszłego roku nic się nie da zrobić, bo plan to plan, lecz później dodał:„Chyba że pan sobie życzy, żebym wpadł po godzinach“. Ponieważ Květoslav właśnie bardzo sobie tego życzył, więc pięć po szóstej w jego pokoju zjawił się pan Novotný, który naprawił telewizor i wziął za to zupełnie symboliczną zapłatę, wyjaśniając, że gdyby to robił podczas pracy, cena byłaby o wiele wyższa. Zagadka tego cudu ekonomicznego polegała na wykorzystaniu społecznych części zamiennych przez osobę prywatną.

Pan Novotný dał również Květoslavowi swoją wizytówkę, informując, że gdyby znów miał jakieś kłopoty z telewizorem, to niech sobie nie zawraca głowy, tylko od razu telefonuje do niego do domu. Gdyby zaś chciał dzwonić do zakładu, to ma od razu pytać o pana Novotnego. Pan Novotný jest bowiem w doskonałych stosunkach z niesympatycznym głosem, który ponoć po godzinach pracy wcale nie jest niesympatyczny. Należy on do byłej studentki – autorki pracy magisterskiej, w której chciała oczyścić Williama Faulknera z pomówień o dekadentyzm, naturalizm i obskurantyzm. Niestety, autorem pomówień okazał się Aleksander Abusch – minister kultury bratniej NRD. Z powodu tego przykrego zbiegu okoliczności dziewczynę wylano ze studiów. Natomiast pan Novotný jest byłym adwokatem.

W sobotę Květoslav otrzymał szczególną misję. Podczas gdy jego koledzy trudzili się mozolnie, usuwając nazwisko Berii z nowego wydania starej powieści pewnej artystki narodowej, Květoslav wysłany został na ślub córki ministra kultury z wysokim rangą pracownikiem Wydziału Dezinformacji MSW. Pan młody wyróżnił się niedawno bardzo zręcznym sfałszowaniem listu kardynała Spellmana do zachodnioniemieckich rewizjonistów, co przysporzyło kościelnemu dostojnikowi niemało wstydu, ponieważ list został opublikowany w „New York Timesie”.

W drodze na Hradczany Květoslav minął jakiegoś mężczyznę z nogą w gipsie i opuchniętą twarzą. Facet już z oddali kiwał do niego przyjaźnie, lecz Květoslav dopiero po dłuższej chwili rozpoznał w nim Jana, swego przyjaciela-dziwkarza. Okazało się, że po namyśle postanowił jednak wybrać mniejsze zło i zapoznać swą potężną żonę ze szczegółami niedawnej delegacji służbowej. Na skutek tego odniósł co prawda pewne obrażenia ciała, lecz za to nie groził mu już szantaż ze strony bezpieki. Patrząc, jak Jan wesolutko kuśtyka swoją drogą, Květoslav zadawał sobie w duchu pytanie, na jak długo oddalił on grożące mu niebezpieczeństwo.

Květoslav zastępował na weselu swojego szefa, który nie mógł w nim uczestniczyć, bo został zaproszony na partię szachów przez portiera ambasady radzieckiej. Szef doszedł do słusznego wniosku, że w tej sytuacji niewątpliwie ważniejsza jest partia szachów niż ślub córki bezpośredniego przełożonego. Żeby jednak jakoś zrekompensować swoją nieobecność, wręczył Květoslavowi pięćdziesiąt egzemplarzy pierwszego czeskiego wydania *Ulissesa* Jamesa Joyce’a. Jeden – oprawiony w pozłacaną skórę – stanowił prezent dla młodej pary, reszta zaś była przeznaczona do rozdania wśród gości. Powieść ukazała się w dość ograniczonym nakładzie trzystu egzemplarzy i nie była przeznaczona do sprzedaży, tylko miała być rozprowadzona wśród zasłużonych artystów. Pomysł wydania tej znanej, dekadenckiej książki był autorstwa ministra informacji: chciał mieć dowód, że pomówienia o tym, iż niektórzy zachodni pisarze nie są w Czechosłowacji publikowani, to kolejne oszczerstwo zachodniej propagandy.

Ślub był wspaniały, a przyjęcie weselne składające się z dziesięciu dań – też z kawiorem i francuskim szampanem – odbywało się w średniowiecznych komnatach czeskich królów. Goście pili z gotyckich, kryształowych pucharów, wypożyczonych na tę okazję z Muzeum Narodowego i rozbili najwyżej trzy czy cztery sztuki. O kulturalną rozrywkę zadbały wybitne piosenkarki (wszystkie z tytułami zasłużonych artystek), którym przygrywała młodzieżowa grupa Best from the West, mająca oficjalny zakaz występów, natomiast pewien reżyser, nagrodzony kiedyś Oskarem, kręcił wraz z ekipą pamiątkowy film (oczywiście prywatny). Mniej więcej połowę gości stanowili Rosjanie, wszyscy bardzo wysocy rangą, którzy natychmiast zaczęli wznosić tradycyjne toasty nierozcieńczoną wódką.

Zaczęło się od wypicia za zdrowie towarzysza pierwszego sekretarza, by kolejno przechodzić na coraz niższe szczeble hierarchii i zatrzymać się na obecnych, z różnych powodów bardzo zasłużonych piosenkarkach. Ponieważ zwyczajowo toasty spełniało się do dna, więc wszyscy byli urżnięci znacznie szybciej niż przy innych oficjalnych okazjach. Květoslavowi udało się większość kielichów opróżnić do rękawa, dlatego też był jednym z niewielu na wpół trzeźwych gości. Gdy pięć godzin później opuszczał uroczystość, musiał przeskakiwać

przez bezwładne trupy w smokingach, walające się w kałużach szampana wśród perskich dywanów i zniszczonych egzemplarzy *Ulissesa*. Pan młody z Dezinformacji zataczał się wokół stołu i kilku ledwo przytomnym niedobitkom zachwalał książkę głosem sprzedawcy parówek podczas meczu piłkarskiego: „*Ulisses*! Jeszcze ciepły! Prosto z drukarni! Może ktoś sobie życzy jednego *Ulissesa*? *Ulisses*!”.

W niedzielę Květoslav mógł pospać dłużej, bo zwolnienie od dentystki usprawiedliwiało jego nieobecność w akcji obowiązkowej brygady ochotników, pomagających zakładowi patronackiemu ratować resztki zmarzniętych ziemniaków. Przyjemną drzemkę przerwał mu jednak lament właścicielki mieszkania, która wróciła wcześniej z kościoła, bo aresztowano proboszcza. W czasie kazania dobrodziej wezwał swoje owieczki do modłów za duszę Piusa XI, ponieważ akurat tej niedzieli przypadła rocznica jego śmierci, ale właśnie sobotnie „Rudé Právo”, z tej samej okazji, nazwało papieża faszystowskim kolaborantem, a więc tajniak obecny służbowo na mszy uznał wezwanie do modłów za działalność antypaństwową.

Květoslav próbował pocieszyć starszą panią, że antypaństwowa modlitwa nie jest aż tak ciężkim przestępstwem i wielebny duszpasterz dostanie najwyżej dwa lub trzy lata. Potem poszedł zadzwonić do Jarmili, od której dowiedział się o wizycie teściowej. Najpierw się wkurzył, bo wiedział, że gadatliwa mamusia zostanie z nimi przez cały dzień, a potem trzeba ją będzie przenocować, bo w Pradze nie miała nikogo innego, więc również niedzielny seks z Jarmilą diabli wezmą. Kiedy jednak dotarł do domu żony, ta powiedziała mu, że teściowa zgodziła się przejąć od nich część szychty w kolejce – od szóstej do dwunastej – i Květoslav zrozumiał, że oto coś, co wyglądało na zepsuty dzień, zmienia się w niezwykły fart.

Tak, to był całkiem spokojny tydzień i właściwie nie wydarzyło się nic szczególnego, pomyślał sobie w duchu Květoslav, obejmując swoją rozkoszną małżonkę. Żeby tak wszystkie tygodnie były do niego podobne…

przeł. Andrzej S. Jagodziński

Andrzej S. Jagodziński | ur. 1954, filolog czeski i słowacki, dziennikarz, dyplomata, tłumacz dzieł m.in.: Václava Havla, Bohumila Hrabala, Pavla Kohouta, Milana Kundery, Josefa Škvorecký’ego. Laureat wielu nagród i odznaczeń, w tym Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus za przekład (2009).

Krzysztof Lisowski

Ołomuniec – koniec maja

Krzysztof Lisowski | ur. 1954.
Poeta, eseista, redaktor Wydawnictwa Literackiego.
Ostatnio wydał *Niektóre miejsca na ziemi. Przewodnik wojażera* (2017).

Przyjeżdżam z obiema córkami w piątek wczesnym popołudniem i już na dworcu czujemy ogromną moc słońca Moraw, Hanackiego Kraju. Prawie jak na Bałkanach w środku lata. Teraz niedługi spacer w kierunku ulicy Komenského, gdzie znajduje się przyjazny dom Burianów.

Zuzana mówi o swym mężu Vašku w czasie przeszłym, ale chyba częściej w teraźniejszym. „Jesteśmy z sobą tyle i tyle lat”.

Wróciłem tu prawie po czterech latach. Był początek czerwca 2014 roku, podobnie piękne dni i ciepłe noce pod jasnym księżycem, który właśnie się dopełniał. Vašek wrócił z Pragi z uroczystości w polskiej ambasadzie, gdzie został odznaczony Medalem Solidarności za zasługi w zbliżaniu naszych narodów, za jego aktywność publicystyczną i translatorską. Przywiózł też ze stołecznej drukarni cały nakład wyboru moich wierszy, które przełożył. Świętowaliśmy potem w kultowej gospodzie Ponorka i następnego dnia prowadził mój wieczór autorski w kawiarni Muzeum Sztuki Współczesnej, dokąd przyszło sporo zainteresowanych, także poloniści z Uniwersytetu Palackiego, i dwa psy, którym nieobca widać była liryka.

Splot okoliczności, który towarzyszy naszej wyprawie, wskazuje na to, że nie ma zdarzeń przypadkowych. Oto przed wyjazdem nastąpiło znów swoiste wzmożenie spraw związanych z Czechami i literaturą. Andrzej Jagodziński publikuje w Pograniczu następną książkę Josefa Škvorecký’ego, subiektywną, pełną osobistych anegdot, historię czeskiego filmu XX wieku, *Wszyscy ci wspaniali chłopcy i dziewczyny*. Aleksander Kaczorowski wydaje biografię naszego ulubionego prozaika: *Ota Pavel. Pod powierzchnią*. Biorę ją do podróżnej lektury. Tak się składa, że moja starsza córka Urszula z Janem Stachowskim przełożyli tom opowiadań Pavla *Jak tata przemierzał Afrykę*, który miał u nas już dwa wydania. W biogramie Kaczorowskiego czytam, że w 2016 roku został laureatem Nagrody im. Václava Buriana przyznanej za wkład w dialog środkowoeuropejski.

Poprzednim razem wyjeżdżałem z Ołomuńca umówiony z Vaškiem na promocję naszego wyboru *Nicoto, zmiz* (*Nicości, znikaj*) w październiku 2014 roku w praskiej Café Fra. Niestety, mój przyjaciel i tłumacz umiera nagle w Wiedniu kilka dni wcześniej. Jadę, pierwszy raz w życiu niechętnie, do stolicy Czech, bo uroczystości nie da się już odwołać. Prowadzi to spotkanie znany poeta Petr Borkovec, który napisał posłowie do wyboru liryki Buriana *Blankyt půlnoci* (Brno, 2007).

Teraz chodzimy tymi samymi ulicami, przemierzamy dwa wielkie ołomunieckie rynki, zaglądamy do księgarń i antykwariatów, które odwiedzałem z Vaškiem. Jego obecność jest ciągle mocna. Wieczorem w dniu przyjazdu spotykamy się na kolacji w knajpce nad brzegiem Morawy z Tomaszem Tichákiem, najbliższym współpracownikiem i przyjacielem Vaška; razem przez wiele lat redagowali dwumiesięcznik społeczno-polityczny „Listy", periodyk przejęty od Jiřego Pelíkana. Ukazuje się on nadal, redakcja została poszerzona o młodszego współpracownika. „Teraz jednak – mówi wdowa po Burianie – mniej w piśmie jest literatury, więcej eseistyki politycznej, dobrego dziennikarstwa". Istnieje też nadal wydawnictwo Burian a Tichák, publikujące książki związane z historią Ołomuńca, relacje, eseistykę. Wcześniej ukazał się tam m. in. wybór poezji Ryszarda Krynickiego. A Vašek przecież tłumaczył także, a może przede wszystkim, Czesława Miłosza, o którego pięknej wizycie w Ołomuńcu opowiadał mi przed laty, również Karola Wojtyłę, Janusza Tazbira, Adama Michnika. Współpracował też z paroma czasopismami polskimi, publikując w nich artykuły. Wydał niewielki wybór swoich wierszy w przekładzie Leszka Engelkinga – *Czas szuflad* (Miniatura, Kraków 1997).

Łatwo z powyższego wydedukować, że Burian był wielkim i niezwykle aktywnym przyjacielem Polski, naszej literatury i kultury, często tu bywał, miał przyjaciół, przez jakiś czas studiował w Krakowie, odbywał tury rowerowe, a pod jego wierszami można znaleźć lokalizacje powstania utworów – Kraków albo Warszawa.

Nadchodzi noc, wracamy z kolacji brzegiem Morawy. Okazuje się, że trwa właśnie Noc Kościołów, więc koło północy zachodzimy do złotozielonej cerkwi pod wezwaniem świętego Gorazda, stojącej u wylotu ulicy Komenského, zapalamy brązowe cienkie świeczki.

Następnego ranka znów wędrujemy przez miasto w poszukiwaniu nowości książkowych dla naszej bohemistki, odwiedzamy Pałac Arcybiskupi, gdzie w 1848 roku koronowany został na cesarza osiemnastoletni Franciszek Józef I, a wczesnym popołudniem Zuzana zabiera nas samochodem na cmentarz, gdzie znajduje się – w niewielkim miasteczku parę kilometrów dalej – rodzinny grobowiec Burianów. Cisza i wielka zieleń wokoło. Jest tu też pochowany biały, kudłaty piesek Vaška, Benik, który przeżył swego pana zaledwie o parę miesięcy.

Zmierzamy teraz do barokowej bazyliki usytuowanej na wzgórzu około trzysta metrów wyżej, do sanktuarium maryjnego na Svatý Kopeček. Miejsce to sławne, a widok wspaniały na odległe miejscowości, zabytki i góry. Tuż obok w niewielkiej uliczce między malowniczymi willami znajduje się dom, który odwiedzał młodo zmarły znakomity czeski poeta Jiří Wolker. Przez chwilę bawimy się z kotami, które leżą na ścieżce w cieniu. Zaraz musimy wracać do miasta, bo Zuzana umówiła się na wieczór z winiarzem: may zajrzeć do jej niewielkiej winniczki przy domu, który kupiła w odległej wioseczce.

Zostajemy sami, ale nie marnujemy czasu – znów kierujemy się do zabytkowego centrum (jak mówią przewodniki, Ołomuniec jest drugim po Pradze miastem czeskim pod względem liczby zabytków). Po drodze park z wysokimi drzewami, kwitną stare lipy pod murami miejskimi. Jemy kolację w morawskiej gospodzie. Na rynku trwa festiwal tutejszych win, wybór jest ogromny, ludzie wspaniale się bawią, słychać przyjacielski gwar, muzykę. Z wolna to wszystko przygasa, siedzimy długo przy posiłku w ogródku, czyli *zahradce*, na niebo wstępuje wielki, jasny księżyc. Rynki pustoszeją, tylko bywalcy dyskotek spieszą na miejsca spotkań.

W niedzielę mamy jeszcze pół dnia dla siebie – ruszamy z Zuzaną do katedry, potem do Muzeum Sztuki Współczesnej, gdzie prezentowane są także prace naszych dwudziestowiecznych awangardzistów. Przed wejściem do muzealnej kawiarni u sufitu trzy pary poruszających się nóg – to instalacja sławnego Davida Černého przedstawiająca zwycięski bieg Emila Zátopka. W jednej z sal praojciec Adam, plastikowy rozczłonkowany model, inna praca kontrowersyjnego artysty. Przypominamy sobie, że podobna – Jezus Chrystus, model do składania – pojawiła się na okładce książki Mariusza Szczygła *Zrób sobie raj*.

Wchodzimy na wieżę, skąd widać dachy miasta. To miejsce przeszklone i obudowane drewnem jest teraz gorące jak sauna. Jedna z czasowych ekspozycji muzeum ukazuje dorobek artystki rysowniczki Inge Koskovéj. W pomieszczeniu z jej pracami zostawiono stolik i szeroki zwój papieru, pisaki. Siadam i rysuję, jak umiem, pejzaż ze strzelistym budynkiem. Zuzana uważa, że to *majak*, czyli latarnia morska. Podpisuję więc moją pracę: „Latarnia morska w Czechach". Dlaczego nie zostawić w tej chwili nawet takiego śladu… A słyszeliśmy przecież zabawne historie o tęsknocie Czechów za morzem. Wielkim powodzeniem na Morawach cieszy się makrela z grilla. Ryba morska. Inaczej: skumbria.

Nie sposób pominąć tutejszych specjałów, czyli ołomunieckich twarożków – jest tu specjalna cukiernia (choć oferowane wyroby nie są wcale słodkie) Bistro U tvarůžku. Próbujemy ciasteczek „wytrawnych", babeczek i strudla, o smaku silnie woniejących, dojrzałych serów.

I jeszcze jeden kościół, gotycki, świętego Maurycego, i jego czterdziestoseściometrowa wieża, na którą z pewnym niepokojem wdrapujemy się po ponad dwustu schodkach. Widok stąd znów wspaniały, najbardziej rozległa panorama. Wielki rynek z wysoką kolumną wotywną wydaje się z góry znacznie mniejszy.

I już kończy się ten dobry czas, pora zbierać się do pociągu w kierunku Bohumina, gdzie przesiądziemy się na wygodny autobus do Krakowa. Odwiedzamy jeszcze magazyn wydawnictwa, zostajemy obdarowani książkami i okolicznościowymi drukami związanymi z Nagrodą im. Buriana. Następna, trzecia edycja, odbędzie się niebawem – 28 września tego roku.

Kiedy już jestem w Krakowie i próbujemy z żoną białego morawskiego wina o różanej nucie (Château Valtice), i opowiadam, jak to przemierzaliśmy morawską ziemię, szukam w bogato ilustrowanym przewodniku po Ołomuńcu, którym w ostatniej chwili obdarowała mnie Zuzana, pewnego zdjęcia. Otóż jej sąsiad odkrył zupełnie przypadkiem, że widać na nim Vaška z psem. Rzeczywiście – ale trzeba do tego lupy – na siedemdziesiątej szóstej stronie całostronicowa kolorowa fotografia XIX-wiecznej kamienicy Molitorów, przed domem stoliki, zielony parasol.

Przy jednym siedzi z paroma ludźmi Vašek, Benik przysiadł pod krzesłem. Jest słoneczny, beztroski dzień. Jasny wiosenny błękit. Lekki obłok przesuwa się nad budynkiem. Wszystko na swoim miejscu. Trwa rozmowa i nikt się nie spieszy.

Kraków, maj 2018

Jiří Gruša

Pochwała stereotypów

Jiří Gruša | ur. 1938, zm. 2011.
Czeski poeta, powieściopisarz, tłumacz, dyplomata.
Laureat Legii Honorowej (2007).

Oczywiście, że ich lubię, tych Czechów z Czech. Choćby tylko dlatego, że oni sami się lubią. Tak ma każdy naród, a im większy, tym bardziej. Ale moi Czesi, choć są ledwie średniej wielkości, lubią się znacznie powyżej średniej. Istnieją dobre stereotypy, czy – mówiąc inaczej – bardzo użyteczne. Takie, które po prostu dają pewne plusy. Wobec położenia kraju, jakie wam opisałem, karambole dziejowe to chleb codzienny. Dlatego człowiek potrzebuje wielkiej porcji dobrego humoru, żeby o tym zapomniał albo znalazł inne wytłumaczenie. Już samo słowo *dějiny* (historia, dzieje) ma w czeszczyźnie swoją filozofię. Dzieje – to znaczy, że coś się będzie działo. Komentarz – w sposób pośredni, ale wyraźny – pozostawia się komuś, kto owo „dzianie się" widzi jako zdarzenie zewnętrzne, bo u niego wiele się nie działo. Z tego punktu widzenia słynny „sens dziejów" wygląda już znacznie lepiej. Prorocze „winien" – jako przeciwieństwo do „ma" – aż tak bardzo nie absorbuje. Dzieje się dzieją, lecz nie zmierzają do niczego bardzo konkretnego, tylko po prostu kończą się u tego, który je dostrzegł i nimi się zajął.

Dzisiejszy Czech to człowiek czepialski, ale zarazem optymista. Sytuacja jest kiepska (choć w sumie jest tak już od czasów Řípu), za to on w porządku – albo przynajmniej znacznie lepszy od sytuacji. Nie chcę tego nazwać brakiem umiaru, tylko raczej szczytem samozachowawczości. Bieg dziejów to wrzenie i piętrzenie, wznosi góry i skały w morskich kipielach. Chcąc je szczęśliwie ominąć, potrzebujemy nie tylko Odyseusza, ale też fajnej załogi i dużo waty w uszach. Nie jest to zły zwyczaj. Nie wszyscy zawsze muszą wszystko słyszeć… Kto tam może wiedzieć, co śpiewały Syreny żeglarzowi? Pewnie to były zabójcze pochlebstwa.

W Czechach też produkujemy mądre głowy, a na krytyczne czasy – głowy bardzo krytyczne. Choćby Masaryka albo Havla. Przyznajemy się do nich jednak dopiero, gdy miniemy cieśninę. Wtedy czepialski zmienia się w entuzjastę – zanim nie powróci do świętego spokoju i sam nie zacznie opowiadać całej Odysei: „No, właściwie to nie było tak strasznie. Czasem gdzieś coś zabolało, ale spoko, daliśmy radę. A jak było najgorzej, to w końcu mieliśmy watę w uszach!".

Nasz rodak uważa siebie za praktyka, trochę pedanta, a trochę majsterkowicza. Urodził się w trudnych warunkach, więc musi się dobrze starać. Jako pan domu jest wielkim domatorem, zwłaszcza w letnich domkach czy daczach. Zwierzchnicy to dobry obiekt żartów. Lubi przejść na „ty", familiarnie: Kájo, Franto, Jardo zamiast Karolu, Franciszku albo Jarosławie. Szlachty nie rozumie, a Pana Boga? Przygląda mu się. Nie jest tak, żeby go nie znał, tylko wątpi w jego wszechobecność. A czarne szaty wydają mu się podejrzane. Z całą skromnością wierzy, że jest mądrzejszy – jeśli nie wręcz boski – czyli jest kimś więcej niż wszyscy pozostali. Sprawy są takie, jakie są. On od razu widzi, jak się do nich zabrać i jak je rozmontować.

Jest realistą (trochę surrealistycznym), świat to dla niego miejsce doczesnego bytu. A kiedy czasem natchnie go byt sam w sobie, rozgląda się podejrzliwie wokół, skąd by tu się dało skombinować trochę doczesności. Wtedy czasem można się wściec, zwłaszcza jak się jest Czechem. Aż tyle przyziemności jest trudne do zniesienia. Ale jako realista odnosi sukcesy.

To z kolei kusi zazdrośników, żeby go znieważać, podobnie jak jego charakter. Przez całe lata namiętnie zbierałem wszystkie epitety, jakimi nas najczęściej obdarzają: cwaniaczek, podlizuch i gaduła, mały intrygant.

Kiedy ktoś chciał powiedzieć to delikatniej, wybierał takie słowa, jak: inteligentny, elastyczny, elokwentny oraz taktyk, znający swoje możliwości i granice. Jednak sens tego opisu się nie zmienia.

Żeby przejść do spraw trochę lżejszych, proponuję wam czeskie stereotypy. Niemiec jest tu traktowany jako pilny badacz, strasznie uparty i okropnie nadęty. Każdy po prostu natychmiast ma na wszystko zdecydowaną odpowiedź. Ale proszę się nie dać zwieść, kiedy jesteśmy bardziej uprzejmi i opiszemy to jako: pracowity filozof i człowiek pewny siebie, znający własną wartość.

Stereotypy to opinie przodków przekazywane potomkom, wyłapujące słabości dawnego rywala w taki sposób, żeby zbiorowe ja naszego klanu poczuło się lepiej. Problem stereotypów polega na tym, że dostrzegają słabości, lecz już nie siłę.

W stereotypach interesujący i istotny nie jest ich niski poziom, ale konkretna korzyść. Gdyby nie były miodem dla duszy plemienia, na pewno zostałyby odrzucone.

Nic więc dziwnego, że działają też w pozytywnej wersji. Budują dystans i to jest ich główne zadanie. Dystans się nie zmienia, nosi tylko inny strój. Wystarczy jednak ośmielić się i skoczyć ponad budką suflera wprost na widownię, żeby opuścić scenę, na której grywa się nasze patriotyczne sztuki, i usiąść na chwilę wśród widzów. Z tej pozycji owe inscenizacje wyglądają już inaczej, a w antrakcie można o nich w kawiarni przyjemnie poplotkować.
I pośmiać się.

przeł. Andrzej S. Jagodziński

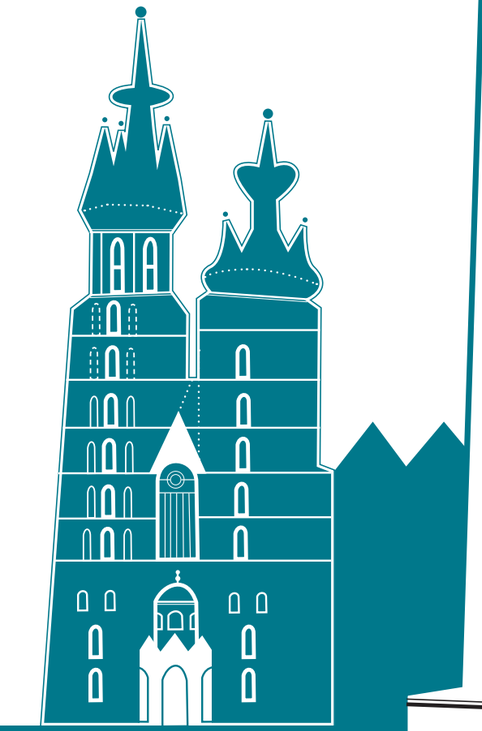

Zostawałeś u mnie często bity.
Zestawiłeś u mnie część kobity.
Zastawałeś u mnie czyste byty.
Przepraszam. To moja komórka.
Zostawiłeś u mnie czarne buty.

Alina Gołecka

ULICA
BRACKA

Już od 15 lat na murach
przy ul. Brackiej 2 w Krakowie
wyświetlany jest codziennie
jeden nowy wiersz po polsku
i po angielsku.
Aby złożyć swoją propozycję,
zarejestruj się na portalu
emultipoetry.eu

Wariacje | 3

Jerzy Franczak

Dementi

Jerzy Franczak | ur. 1978. Prozaik, eseista, poeta, wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ostatnio wydał *Sainte-Fabeau* (2017).

– Interesuje mnie Faye – powiedział młody człowiek. – Twoja córka Faye. Pamiętasz ją?
Faye uczyła się pilniej niż ci wszyscy gówniarze z liceum. Faye pilnie się uczyła, bo miała pasję. Miała w sobie coś, co ją napędzało. Coś potężnego i śmiertelnie poważnego.
– Mama nigdy mi nie powiedziała, że pojechała do Chicago. Po co tam pojechała?
I teraz jest rok sześćdziesiąty ósmy, stoją z Faye w kuchni w bladym świetle, a on wyrzuca ją z domu. Jest na nią tak strasznie wściekły. Tak bardzo starał się przejść przez życie w tym miasteczku niezauważenie. Przez nią stało się to niemożliwe.
Jedź i nigdy nie wracaj, mówi do niej.
– Co się stało?
Dała sobie zrobić bachora. W liceum. Dała się przelecieć temu chłopakowi, Henry'emu, i zaszła w ciążę. Nie mieli nawet ślubu. I wszyscy o tym wiedzieli. I to właśnie najbardziej go wściekało – że wszyscy wiedzieli. […] To wszystko się stało, zanim zapadł na demencję i przestał się przejmować takimi rzeczami. Potem musiała wyjechać na studia. Była wyrzutkiem. Wyjechała do Chicago.
– Ale nie została tam długo, prawda? W Chicago?
Wróciła miesiąc później. Coś jej się tam przytrafiło, ale nigdy o tym nie mówiła. Frank nie wiedział co. Mówiła ludziom, że nie radziła sobie na studiach. Wiedział jednak, że to kłamstwo. Faye wróciła i wyszła za Henry'ego. Wyprowadzili się. Wyjechali. Nigdy tak naprawdę go nie lubiła, tego Henry'ego. Biedak. To był dla niego szok. W norweskim jest na to słowo: „gift", które może znaczyć albo „małżeństwo", albo „truciznę", i chyba pasowałoby do sytuacji Henry'ego.

Nathan Hill, ***Niksy***, przeł. Jerzy Kozłowski

Tę przedziwną rozmowę odnajdziemy mniej więcej w jednej trzeciej monumentalnego dzieła Nathana Hilla. Określenie „monumentalne" odnosi się tutaj do rozmiaru książki, która w wersji papierowej całkiem dosłownie przypomina cegłę, ale nie tylko; *Niksy* (by sięgnąć po kolejne słowa-wytrychy) to epicka panorama i historyczny fresk, porównywany do dzieł Charlesa Dickensa, Johna Irvinga i Jonathana Franzena. Autor zresztą tłumaczy się z rozmiaru i zaprzęga go do konstruktywnej pracy. Dowodzi mianowicie, że w świecie sfragmentaryzowanym, świecie stwitteryzowanym potrzebujemy opasłych powieści, które budują ruch *slow mind*, oferując niezbędne ćwiczenia z koncentracji i empatii. Tylko dzięki nim bowiem możemy zrozumieć pozornie chaotyczne poruszenia jednostek i zbiorowości. Utwór stanowi też dwuznaczny pomnik – albo właśnie monument – nowoczesnej Ameryki, z jej emancypacyjnymi zrywami i zaprzepaszczonymi marzeniami. Do tej myśli przyjdzie nam jeszcze powrócić, tymczasem skupmy się na cytowanym powyżej kuriozalnym dialogu.

Nie trzeba sięgać do etymologii, by wiedzieć, że dialog to rozmowa dwóch osób – zestaw logicznie powiązanych kwestii, będących nośnikiem myśli i narzędziem komunikacji. Tutaj mamy do czynienia z sytuacją szczególną. Główny bohater, Samuel Andresen-Anderson, odwiedza dziadka w domu opieki w Willow Glen i próbuje wydobyć z niego jakieś informacje o przeszłości jego córki, a swojej matki. Niestety, wiekowy Frank cierpi na demencję, na domiar złego ma trudności z wysławianiem się, przez co okazuje się marnym informatorem w śledztwie dotyczącym rodzinnej przeszłości. Od razu wyjaśnijmy, czego to śledztwo dotyczy. Otóż główny bohater – niespełniony pisarz, zawiedziony kochanek, profesor literatury, a przy tym nałogowy gracz, spędzający każdą wolną chwilę na mordowaniu orków w wirtualnym świecie Elflandii – próbuje zrekonstruować dzieje życia

matki, której nie widział dwadzieścia lat. Bezpośredni impuls stanowią wydarzenia ostatnich dni: jego mama obrzuciła żwirem gubernatora i kandydata na prezydenta. Nazywana terrorystką, ekstremistką, hipiską i prostytutką, stała się nagle wrogiem publicznym konserwatywnej Ameryki i bohaterką Ameryki liberalnej. Śledztwo prowadzi aż do 1968 roku, kiedy to, pomiędzy amerykańską prowincją a ogarniętym rewolucyjnym fermentem Chicago, rozegrały się kluczowe wydarzenia z życia Faye. Spotkanie z dziadkiem to część programu obowiązkowego i choć nie posunie zbyt daleko samego dochodzenia, jest bardzo ważne dla Samuela (który zanurza się w rodową epopeję) oraz dla przebiegłego autora (który wykonuje popisowy numer).

Dialog powieściowy to zbiór wypowiedzi w mowie niezależnej, czyli dosłownych przytoczeń, którym nierzadko towarzyszy akompaniament narracyjny (te wszystkie „rzekł", „odparł", „mruknął"). Cechuje go wymienność ról nadawcy i odbiorcy; dopiero powiązanie replik tworzy jakiś układ znaczeniowy. Jego zadaniem jest dostarczanie informacji, popychanie fabuły do przodu i charakteryzowanie postaci (przez sposób wypowiadania się). Tyle teoria. Praktyka literacka, rzecz jasna, idzie swoją drogą, w czym naśladuje życie, również drwiące sobie z wszelkich teorii. Fikcyjne postaci, podobnie jak rzeczywiści ludzie, często nie mogą się dogadać – nie rozumieją się i ich kwestie chybiają celu albo próbują coś zataić, więc mówią więcej poprzez zająknięcia i zamilknięcia albo są skrępowani, a ich ustami przemawia czysta konwencja. Takie dysharmonijne dwugłosy posiadają ogromny potencjał dramatyczny lub/i komiczny (jak choćby w dramatach Ionesco). Dodam od razu, że Hill ma lekkie pióro i dar humorysty – wymyśla na przykład dietę plejstoceńską oraz aplikację, która wybiera za nas losowo jeden z pięćdziesięciu emotikonów – tutaj jednak zachowuje powagę, bo też ewidentnie mówi nam coś poważnego: opowiada o rozpadzie więzi międzypokoleniowej.

W powyższej scenie modelowa sytuacja dialogu bankrutuje na naszych oczach. Mówi prawdopodobnie tylko jedna osoba, nie ma więc komunikacji i wymiany zdań, które łączyłyby się w sensowną całość. Co więcej, zstępujemy na językowy poziom zero: styl jest maksymalnie neutralny, zasób słów ubogi, składnia prosta jak drut. Najważniejsza pozostaje owa nieoznaczoność, na którą wskazuje słowo „prawdopodobnie". Czy Frank cokolwiek mówi? Być może tak, a jego wypowiedzi zostały streszczone przez skwapliwego narratora. Powodów tej skwapliwości łatwo się domyślić: staruszek mówił niejasno i zawile albo zwyczajnie bełkotał i po prostu należało to uporządkować. Brakuje jednak ceremonialnego zwrotu „powiedział, że…" (lub jego pochodnych), który sygnalizuje mowę pozornie zależną. Narzuca się zatem inna interpretacja: wnuk dopytuje, a dziadek milczy. Czytelnik przyjmuje punkt widzenia tego ostatniego, co sugeruje już początek sceny (pytanie zadaje „młody człowiek" – czyli mężczyzna nie rozpoznaje swojego potomka). Znawcy tematu nazywają to niekiedy mediatyzacją, co w tym przypadku oznacza tyle, że starzec staje się medium, nawiedzonym przez wścibskie widmo narratora. Mielibyśmy więc do czynienia z taką sekwencją: próba nawiązania dialogu – monolog jednej postaci – strumień świadomości drugiej, unoszący ze sobą szczątkowe obrazy odległej przeszłości.

Nie zapominajmy, że czytelnik nie obcuje z „obrazami przeszłości" – taką szansę zyska widz, gdy powstanie zapowiadana serialowa adaptacja powieści (z Meryl Streep w roli Faye). W książce te „obrazy", które pojawiają się „w odpowiedzi" na indagacje, również budowane są słowami. Słowami najprostszymi, poukładanymi równiutko w zdaniach prostych i w równoważnikach zdań. Słowami, które imitują wypowiedź ustną poprzez powtórzenia („Wyprowadzili się. Wyjechali.") i kolokwializmy („gówniarze", „bachor", „biedak"). Pierwsza wizja pojawia się w *praesens historicum* („jest rok sześćdziesiąt ósmy…"), co gwałtownie znosi dystans pomiędzy „teraz" i „kiedyś", odbudowywany w kolejnych fragmentach, gdzie dominuje czas przeszły. Bolesna prawda o wygnaniu córki z domu z trudem przebija się na powierzchnię wysłowienia, ale i tak, jak się zdaje, nie dociera do Samuela. Nie dowie się on – jeszcze nie teraz – dlaczego jako dziecko został porzucony przez matkę. Zresztą dziadek też nie wie dokładnie, co przytrafiło się Faye w Chicago opanowanym gorączką pokoleniowej rewolty. Nie był i nadal nie jest w stanie zrozumieć owej pasji, która nie pozwala godzić się na zastany świat. Tkwi zamknięty w swoim niedowładzie, jak niegdyś tkwił w więzieniu małomiasteczkowej moralności.

Ostatnie zdanie, w którym wybrzmiewa wieloznaczne *gift*, można od biedy przypisać Frankowi (od biedy – bo wiąże się z tym skomplikowany proces myślowy). Ja widzę w nim zachętę, by całą tę scenę czytać metaforycznie. Dochodzenie Samuela nakazuje mu rozliczyć się ze spuścizną kontrkultury i odpowiedzieć na pytanie, co pozostało nam ze szczytnych idei, które zmieniły oblicze świata. Hill prowadzi równoległe narracje, osadzone w 1968 i w 2011 roku. W ten sposób wiąże plany fabularne, a zarazem zestawia dwa wydarzenia: zamieszki i wspólnotowe akcje ery hipisów oraz ruch Occupy Wall Street. Ten kontrast stanowi podstawę wielkiego oskarżenia, wymierzonego tyleż w naiwność niegdysiejszych rewolucjonistów, co w bezsilność ich dzieci i wnuków, skazanych na dyktat globalnego kapitalizmu i pozorność kulturowych pocieszeń. Wszystko to zawiera się w powyższej nibyrozmowie. Starzec od dłuższego czasu ma nadzieję, że wkrótce „będzie znowu tylko Fridtjofem" – małym chłopcem dorastającym w dalekiej Norwegii. Zapomina dorosłe życie, cofa się do raju dzieciństwa. Demencja Franka pokrywa się z *dementi* współczesnej Ameryki, która wyrzeka się utopii, uznając ją za kłamstwo (*dé-mentir* to dosłownie odkłamanie), i ucieka w rojenia o mitycznym czasie pierwszym. Niemożność ustanowienia dialogu kładzie kres wszelkiej polityce i skazuje nas na chełpliwy monolog władzy.

Łatwo wyobrazić sobie wariantywne opracowania tej sceny. Załóżmy, że Frank milczy, ale my nie mamy dostępu do jego reminiscencji; jak przekazać to, co się z nim dzieje, poprzez czysto zewnętrzne oznaki? A jeśli milczenie dziadka udzieliłoby się wnukowi – jak oddać ciężar tej ciszy? A gdyby Samuel spróbował dopowiadać i snuć domysły – jaki obraz przeszłości wyłoniłby się z tych konfabulacji? Wyobraźmy sobie z kolei, że Frank odzywa się: jak brzmi jego nieskładna mowa? Ile w niej przemilczeń, przekręceń, przeinaczeń? Gdybyśmy nawet zachowali tak skonstruowaną ramę sytuacyjną, możemy sięgnąć po inne tricki podczas nawiedzania naszego medium. Z jednej strony dałoby się rozbudować dramatyczne sceny sprzed pół wieku (wypędzanie z domu), postawić scenografię i rozpisać na role rodzinne kłótnie – choć tylko na tyle, by nie rozwiała się ponura rzeczywistość szpitalna Willow Glen. Z drugiej strony można by zaryzykować większą fragmentację: zredukować obraz do detalu, oświetlonego przez błysk nagłego odpomnienia albo pokusić się o naśladowanie ruchu myśli i skojarzeń, ich rodzenia się i nagłego zaniku wewnątrz dotkniętego chorobą umysłu.

Istnieje jeszcze inna opcja – odbudowanie sytuacji dialogowej. Oto Frank wydobywa się z Fridtjofa, wychyla się ze swojej demencji i rozmawia z Samuelem. Dzięki ustanowionej w ten sposób relacji ja–ty buduje się nowe porozumienie, a na szerszym planie – *dementi* współczesnego świata cofa się i odsłania jakiś wspólnotowy horyzont. Hill nie wybiera tej opcji, bo chce przyprawić nas o ciężką bezsenność, co zresztą udaje mu się znakomicie. Po raz kolejny okazuje się, że inscenizowanie komunikacyjnego fiaska to świetny sposób nawiązywania porozumienia z czytelnikiem. To także podstępny manewr, mający zainspirować go do myślenia i do działania. Gdyż piękne kłamstwa literatury potrafią rujnować nasze światoobrazy. Wchodzą w dialog ze zdrowym rozsądkiem, który sufluje bałamutnie, że świat jest jaki jest, ponieważ taki jest.

Anatomia opowiadania | 3

Maciej Miłkowski

Nikt nic nie

czyli jak skonstruowane jest „Jądro ciemności" Josepha Conrada

Maciej Miłkowski | ur. 1980. Prozaik, krytyk literacki, tłumacz. Ostatnio wydał tom opowiadań *Drugie spotkanie* (2017).

O *Jądrze ciemności* napisano wiele – zbyt wiele – tak, że oryginalny tekst Conrada jest dziś praktycznie niewidoczny, ginie w gąszczu narosłych wokół niego interpretacji. Niemal wszystkie zresztą koncentrują się wyłącznie na sprawach treści – forma nie interesuje właściwie nikogo – a i w tym zakresie tekst Conrada jest sprowadzany raczej do sfery światopoglądowej czy politycznej niż do metafizycznej lub moralnej. Podstawowe pytanie, wokół którego toczy się spór o *Jądro ciemności*, sprowadza się do kwestii, czy ta niezwykła i oszałamiająca nowela jest stanowczym oskarżeniem kolonializmu, czy też raczej wytworem umysłu na wskroś kolonialnego. (Tu akurat odpowiedź jest prosta: *Jądro ciemności* jest stanowczym – choć może mimowolnym – oskarżeniem kolonializmu, które wyszło spod pióra człowieka operującego – być może mimowolnie – kategoriami typowo kolonialnymi). Jeśli więc w ogóle decyduję się na napisanie kolejnego eseju o *Jądrze ciemności*, to robię to z zastrzeżeniem, że moją intencją jest oparcie się na samym tekście, wolnym od jakiegokolwiek narosłego przez lata kontekstu. Moim zamierzeniem jest próba dotarcia do prawdziwego jądra *Jądra ciemności*. Moja bibliografia liczyć będzie jedną tylko pozycję: *Jądro ciemności* Josepha Conrada.

Jak zawsze, kiedy sięgamy po tekst tak nabrzmiały komentarzami, przypisami i interpretacjami – powieści Kafki, dramaty Szekspira, teksty Becketta – przeżywamy zaskoczenie, jak wielu elementów, co do których byliśmy pewni, że tam są, w istocie wcale tam nie ma. Niemal każde szkolne, lekturowe omówienie *Jądra ciemności* zaczyna się informacją, że narratorem noweli jest niejaki Marlow, który przybywa do Konga, gdzie dostaje zadanie odnalezienia niejakiego Kurtza, przebywającego na odległej placówce w głębi lądu. Tymczasem nigdzie w tekście Conrada nie ma informacji, gdzie rozgrywa się akcja utworu. Słowo „Kongo" nie pada. Nie ma w tym tekście nawet słowa „Afryka". Oczywiście zdajemy sobie doskonale sprawę, że opowiadanie jest płodem podróży samego pisarza do Konga, ale wiemy to z innych źródeł niż z samego tekstu. Conrad w zasadzie nie chce, abyśmy to wiedzieli. Próbuje uwolnić swoje opowiadanie z kontekstu biograficznego oraz wyłącznie afrykańskiego – celując oczywiście w uniwersalność – ale zarazem tą prostą techniką, jaką jest pomijanie konkretów

geograficznych, stara sięu stworzyć w czytelnikach określone wrażenie. Nie wiadomo, gdzie dzieje się akcja. Nie wiadomo, o co do końca chodzi.

O wiele ważniejsze jest oczywiście to, że nigdzie w utworze Marlow nie dostaje wprost zadania odnalezienia Kurtza. Rozmawiający z nim dyrektor podsuwa pewne aluzje – dobrze by było, należałoby – ale żadnej skonkretyzowanej misji Marlowowi nie powierza. Czytając rzecz ściśle, musimy przyznać, że w sumie nie wiadomo, dlaczego Marlow usiłuje odnaleźć Kurtza – albo inaczej, dlaczego z odnalezienia go czyni główny cel swojej żeglugi w górę rzeki. Marlow nie płynie bowiem do odległej stacji, aby zobaczyć, jak w niej idą sprawy, aby kogoś tam wymienić, aby odebrać jakieś towary, uzyskać jakieś informacje – a przy okazji zobaczyć, co z Kurtzem. Marlow płynie do Kurtza – i od samego początku jest to najzupełniej jasne, chociaż zarazem całkowicie niezrozumiałe. To niezrozumienie staje się podstawowym elementem konstrukcyjnym opowiadania – i być może jego głównym przesłaniem – a budowanie poczucia niezrozumiałości i niemożliwości zrozumienia stanowi najważniejszą zastosowaną tu technikę narracyjną.

Conrad – autor w miarę prostych i łatwych do streszczenia fabuł, choć trudnych do rozwiązania dylematów moralnych – w ogóle jest dość dobry w niedopowiedzeniach. Bardzo często stawia czytelnika w sytuacji, w której ten nie wie – lub nie do końca wie – co się wydarzyło. Na wyższym poziomie technika ta sprowadza się nie tyle do sytuacji „nie wiadomo" co, raczej „wiadomo, ale nie wiadomo skąd wiadomo". Nie tyle nie wiemy, co się wydarzyło – co raczej, wiemy, co się wydarzyło, ale nie wiemy, w którym właściwie zdaniu jest to napisane.

W *Jądrze ciemności* Conrad buduje atmosferę nieustannego niezrozumienia, stawiając bohatera w sytuacjach, których sensu nie potrafi uchwycić. Marlow obserwuje „bezsensowne wysadzanie skały", dostrzega „dziurę wykopaną w celu niemożliwym do przeniknięcia", zapytuje samego siebie „po co tu się w ogóle wybrał", napotyka „ludzi wałęsających się bez celu", a wreszcie jest świadkiem, jak ludzie gaszą pożar, nosząc wodę w dziurawym wiadrze. Całkowity irracjonalizm wszelkich ludzkich poczynań przenika całą opowieść i dotyka nie tylko tropików, ale również słuchaczy na zacumowanym na Tamizie statku. Od samego początku Conrad jasno mówi, że Marlow opowie „jedną z przygód, nieprowadzących do żadnej konkluzji". Sam Marlow również ma świadomość, że sens jego opowieści nie dotrze do słuchaczy – i w tym kryje się jedyna wspólnota opowiadającego i słuchających. Czterech mężczyzn siedzących na statku na Tamizie nie zrozumie nic z opowieści Marlowa, tak jak i on sam nie był w stanie nadać żadnego sensu przeżywanym zdarzeniom. „Nie umiałem sobie wyobrazić człowieka noszącego to nazwisko, tak jak i wy go sobie wyobrazić nie możecie".

Wrażenie powszechności niezrozumienia wzmacniane jest więc samą szkatułkową budową opowiadania. W *Jądrze ciemności* ta konstrukcja jest czymś więcej niż zgraną techniką konstrukcyjną. Czytelnikowi regularnie daje się tu znać, że nie powinien mieć do siebie żalu, jeśli czegoś nie zrozumie. „Nie rozumiałem…", „Nie miałem pojęcia…", „Nie mogłem zrozumieć…", mówi co chwilę Marlow i ostatecznie podsumowuje: „Zrozumienie tego, co nas otaczało, było dla nas niemożliwe". Budowa szkatułkowa służy oczywiście budowaniu symetrii – pokazaniu, że nad Kongiem i nad Tamizą jest w zasadzie tak samo. Nie tylko, że tu i tam panuje dzikość i mrok (choćby potencjalne), ale przede wszystkim, że i tu, i tam nikt niczego nie rozumie, jakakolwiek wiedza rodzi się najwyżej w przebłysku intuicji i jest zupełnie nieprzekazywalna. Temu właśnie służy pokazanie kompletnego braku reakcji ze strony słuchającej Marlowa czwórki (czy raczej piątki, bo i on również słucha samego siebie – i też nie reaguje). Opowieści nikt nie komentuje ani słowem. Zapada milczenie – nawet niespecjalnie kłopotliwe. Ktoś zmienia temat. Padają być może najważniejsze w całym opowiadaniu słowa: „Ale nic się nie stało".

Oprócz wyrażanych wprost deklaracji Conrad buduje atmosferę niezrozumiałości i irracjonalizmu również bardziej subtelnymi środkami. Jedną z technik jest ujmowanie wszystkich najważniejszych informacji w swoisty nawias. Najważniejsze kwestie nie są wypowiadane wprost, ale relacjonowane, rekonstruowane lub podsłuchiwane. Kurtz nie wypowiada niemal ani jednego rozjaśniającego cokolwiek zdania. Jego obraz wyłania się raczej z wypowiedzi osób trzecich – sprzecznych z sobą nawzajem, niewiarygodnych, niejasnych. Całość jest dodatkowo ujęta w kolejny nawias – opowieść Marlowa – a praktycznie w jeszcze i kolejny (jednym ze słuchaczy jest przecież narrator, który opowiada nam czyjeś opowiadanie).

Drugą techniką jest świadome odchodzenie od linearności – czasowej i logicznej. Wydarzenia przedstawione są tu nie po kolei i w oderwaniu od jakiejkolwiek zależności przyczynowo-skutkowej. Niektóre wypowiedzi czy sceny zyskują znaczenie dopiero po fakcie. Całość zaś zwieńczona jest opóźnioną, powtórzoną pointą. Słowa „Zgroza! Zgroza!" wypowiedziane przez Kurtza na statku płynącym po rzece brzmią głucho i fałszywie. Prawdziwa „zgroza" udziela się czytelnikowi, dopiero gdy Marlow w myślach powtarza słowa Kurtza, odmawiając powtórzenia ich jego narzeczonej. Dopiero w tym salonie, gdzieś w Brukseli, a może w Antwerpii (nazwa miasta oczywiście nie pada) – słowa zaniechane odnoszą efekt, którego nie mogły odnieść słowa wypowiedziane.

Trzecią, najbardziej zdumiewającą i niezapomnianą techniką, jest wywołanie prawdziwej kaskady niezliczonych, niepokojących przymiotników, jakimi Conrad opisuje obserwowane przez Marlowa osoby, miejsca i zdarzenia. To jeden z najbardziej charakterystycznych w dziejach literatury światowej przykładów wykorzystania samej stylistyki do wywołania konkretnego wrażenia w umyśle czytelnika. Wokół Marlowa wszystko jest „niepewne, niewyraźne, niewytłumaczalne, niedostępne, niewidzialne, nieprzeliczone, nieznane, niepojęte, nieokreślone, niezbadane, nieoczekiwane, nieprzeniknione, nierealne, nieczytelne, nienaturalne, nieopanowane, nieuchwytne, nieustanne, niewiarygodne". Każdy z tych przymiotników podkreśla tę samą ciągle powtarzaną w *Jądrze ciemności* prawdę: „Nikt nic nie wie". Nieprzypadkowe jest też gorliwe sięganie po przymiotniki zaprzeczone. (Przeczenia stosuje Conrad

gdzie tylko może, konstruując na przykład zdania typu: „Nie byli nieludzcy"). Każde przeczenie wywołuje w umyśle czytelnika kolejną konfuzję. Przeczenie ma to do siebie, że w sposób ledwie dostrzegalny, ale w takiej masie całkiem wyraźny, nieustannie myli tropy, sprowadza umysł na manowce, zmusza do napięcia, każe mu się ślizgać, wypadać z utartego szlaku, podskakiwać na koleinach. Przymiotnik „ładny" prowadzi umysł w jedną, wyraźnie określoną stronę. Przymiotnik „niebrzydki" prowadzi umysł w dwie strony naraz. W kierunku „brzydkiego" i natychmiast równocześnie w przeciwnym. Przymiotnik zaprzeczony zawsze działa silniej niż prosty. Nigdy nie jest też zwyczajnym ekwiwalentem przymiotnika prostego o znaczeniu przeciwnym.

Irracjonalizm podkreślany jest też oczywiście przez nieustannie przywoływaną, tytułową ciemność. W opowieści Marlowa właściwie wszystko jest czarne: ludzie, ubrania, meble, dekoracje, krajobrazy. Ciemność panuje tu od pierwszych zdań do ostatnich – nad Tamizą wszystko jest jeszcze bardziej ciemne, jakby Conrad chciał wyraźnie zaznaczyć, że mrok nie dotyczy tylko tropików. Na przestrzeni dość krótkiej noweli słowo *black* pojawia się czterdzieści pięć razy, słowo *dark* aż sześćdziesiąt, *shadow* dodatkowych dwadzieścia. Dosłownie wszystko jest tu czarne, ciemne, mroczne. W pewnym momencie Conrad pisze nawet, że zieleń była czarna.

Być może najbardziej zdumiewające jest samo „jądro ciemności", jeśli założyć, że jest nim stacja w głębi kraju, zarządzana przez Kurtza, do której wreszcie Marlow dociera. Tam – w samym sercu mroku – wszystko nagle staje się jasne. Tam niezrozumienie przestaje być powszechne. Tam wiele zagadek nie tyle rozwiązuje się, co zwyczajnie ustaje. Niezrozumiały szyfr okazuje się „zwyczajną" cyrylicą. Tam Marlow nagle doskonale wie, co ma robić. Znikają wszelkie wątpliwości, wszelkie pytania. Tam okazuje się, że „tajemnica była większa, gdy się nad nią zastanawiałem". Tam Marlow zostaje „owładnięty prostym, bezmyślnym strachem, czystym, bezprzedmiotowym przerażeniem" – i niemal w tym samym momencie z tej bezmyślności rodzi się bezgraniczny spokój i pewność. „Dziwnie pewien wszystkiego" Marlow doświadcza „chwili zupełnej samowiedzy". Równie pewni siebie stają się nagle wszyscy wokół. „Pan wie, co pan robi?" „Doskonale"; „Czy pan to rozumie?" „Jakżebym nie rozumiał?". Właśnie tam, w samym środku ciemnej, nieprzeniknionej dżungli – w miejscu, gdzie zawieszone są całkowicie jakiekolwiek prawa ludzkie, w tym zwłaszcza prawa logiki – umysł ludzki zaczyna czuć się najlepiej. „I blask słońca może stać się narzędziem kłamstwa", pisze Conrad, a z jego *Jądra ciemności* wynika, że narzędziem kłamstwa może stać się zwłaszcza blask. Okazuje się, że w samym sercu irracjonalizmu człowiek wreszcie jest u siebie, czuje się jak ryba w wodzie. Nie rozumie niczego, nikt od niego żadnego rozumienia nie oczekuje, a on przestaje oczekiwać zrozumienia od samego siebie, nie doszukuje się żadnego sensu, bezsens przestaje mu doskwierać. Rozum ludzki umieszczony pośród wszechobejmującego irracjonalizmu wreszcie na moment znajduje się w swoim żywiole.

Wszystkie cytaty za: Joseph Conrad, ***Jądro ciemności*** (***Dzieła*** t. VI), przełożyła Aniela Zagórska, PIW, Warszawa 1972.

Sprawy | 3

Anna Nasiłowska

Kłopoty

Anna Nasiłowska | ur. 1958. Poetka, pisarka, pracownik Instytutu Badań Literackich PAN. Prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Był sobie pewien młody człowiek, ciągnęło go do literatury, ale nie na tyle, żeby zostać pisarzem. Ponieważ czasy były takie, że hasłem przewodnim stało się zawołanie „bierzcie sprawy w swoje ręce", założył więc firmę i postanowił wydawać książki. „Wydawca" – to brzmi nieźle, czasy były bojowe, młody człowiek, który naoglądał się kiedyś filmów o Armii Czerwonej, zapamiętał taktykę *razwiedka bojem*. Nie przejmował się więc brakiem doświadczenia, poza tym wszyscy w świeżej pamięci mieli upadek bardzo wielu państwowych wydawnictw, z których każde miało sztab świetnych specjalistów od redakcji, projektowania, produkcji i nawet sprzedaży. I co z tego? Krążyło wtedy wielu autorów z nazwiskami, którzy nie mieli co zrobić z kolejnymi, gotowymi już maszynopisami, oraz równie wiele młodych osób z gotowym debiutem czy kolejną książką. Te osoby nie miały co prawda kapitału medialnego w postaci znanego, rozpoznawalnego nazwiska, miały za to – uwaga! –

potencjał. Polegał on przede wszystkim na świeżości. Oznaczało to możliwość wpisania się w wiszące w ogólnej atmosferze oczekiwanie, że w literaturze wydarzy się coś nowego.

Wydawca na początek wybrał kilka z propozycji znanych autorów. Sam był lektorem, redaktorem i kierownikiem produkcji, a że innego personelu nie było, kierowanie okazało się co prawda obciążające czasowo, ale kompletnie bezkonfliktowe i przez to satysfakcjonujące, bo dające poczucie sprawczości. Mniej satysfakcjonująca była konieczność wożenia gotowych książek własnym, coraz bardziej rozklekotanym samochodem, a zwłaszcza ich noszenie, poza tym wyłonił się problem magazynowania nakładów. Na początek wystarczyły ściany w garażu ojca kolegi.

Wydawnictwo miało bardzo niskie koszty, książki sprzedały się, początek można było podsumować jednoznacznie jako sukces. Oznaczało to kilka rzeczy: wynajęcie lokalu i zatrudnienie sekretarki oraz lawinowy napływ nowych propozycji książek do wydania. Wydawca zaczął zlecać lektury szukającym jakiegokolwiek zarobku ludziom, którzy mieli jakieś doświadczenie w branży. W tym czasie młody człowiek przestał być taki młody, zapuścił nieco brzucha i ożenił się, co sprawiło, że zapragnął stabilizacji, wyższego standardu życia, a nawet ogródka, w którym mógłby wyciągnąć się na leżaku, bo miał nadwerężony kręgosłup.

No i co? Co było dalej? – zapyta ktoś. Otóż nikt tego nie wie, a najgorzej, że chyba nie wie tego sam bohater. Czy zawinił trudny do spłacenia kredyt? Namówiła go na niego nad wyraz sympatyczna pani z banku, która patrzyła mu w oczy i przekonywała, że „naprawdę warto", „taka okazja nie trafia się często" i „tylko teraz mamy taką ofertę". Poza tym sprzęgło się jeszcze kilka innych okoliczności, wśród których niebagatelną była dziura w dachu garażu ojca kolegi, która spowodowała zawilgocenie zapasów, w tym całości gotowego już nakładu pewnej książki, która nie zdążyła jeszcze trafić do obrotu. Poza tym nastąpiła spektakularna plajta jednej z hurtowni, a niesprzedane książki wydzierać trzeba było w tajemnicy przed syndykiem masy upadłościowej, który nie miał pojęcia, co zrobić z ogromną ilością zadrukowanego papieru w paczkach, i gotów był sprzedać to na makulaturę. W tym czasie inna hurtownia zaczęła wydłużać okres rozliczeń do ponad pół roku, najlepiej na święty nigdy, a tymczasem książki odzyskane z pierwszej hurtowni stały się „niesprzedawalne", bo miały na okładce datę z roku poprzedniego.

Pojawiły się więc normalne kłopoty młodej gospodarki kapitalistycznej, która może już nie raczkuje, ale wciąż daleko jej do stabilności. Podobne – a nawet w większej skali – przeżywać mógłby niewielki polski producent wentylatorów czy kosmetyków do włosów. To i tak nie najgorszy model, nie taki jak opisany w powieści Wiktora Pielewina *Genaration P*, gdzie biznes polega na spłacaniu kredytu kredytem i inwestowaniu w biuro, rosnącą ilość alkoholu i szybkie samochody, które oczywiście muszą zostać rozbite, bo jakżeby inaczej, skoro jeździ się po wódce.

Sytuacja jest typowa, typowe są więc modele reagowania. U nas przede wszystkim zwalnia się sekretarkę. Przedtem przestaje się jej płacić i od jej cierpliwości zależy, jak długo taka sytuacja trwa. Jeśli wciąż utrzymuje się biuro – jest także inny numer: zatrudnia się nową sekretarkę na okres próbny, oczywiście bez wynagrodzenia. Po miesiącu się ją wyrzuca z awanturą pod byle jakim pretekstem typu „pani nie dopilnowała!", a zatrudnia następną, na identycznych warunkach i z identyczną perspektywą. Wydawca przestaje odbierać telefony, a pod firmowym – odzywa się ktoś mało zorientowany.

I co z tego wynika dla autora? Niestety, wiele. To nasza książka mogła stać się „niesprzedawalna". Mogła utknąć w garażu ojca kolegi (i smutny jej los po zawilgoceniu!) czy trafić na bankructwo hurtownika. Mogliśmy przyjść z książką, gdy wydawca jeszcze nie stracił nadziei, ale już oszczędzał na wszystkim, łamanie książki zlecił więc komuś, kto robił to po raz pierwszy. My słyszeliśmy „trzeba dać szansę młodym!", potakiwaliśmy, bo jakżeby inaczej, ale potem strona tytułowa pojawiła się w jakimś nieoczekiwanym miejscu, czcionka była nieczytelna, a zmiany w korekcie – nie zostały wprowadzone. Mogło też okazać się, że wydawca wydrukował tylko kilka egzemplarzy naszej książki, żebyśmy się odczepili i dali mu spokój, bo przecież ma kłopoty. I jeszcze jedno, jeśli niebacznie podpisaliśmy umowę autorską przewidującą, że cedujemy prawa do tekstu na wydawcę – to można siąść i płakać. A po wypłakaniu się albo szukać prawnika, albo napisać kolejny utwór.

PS Tekst nie odnosi się do żadnego konkretnego wydawcy, ale wiele z opisanych sytuacji znam z własnego doświadczenia.

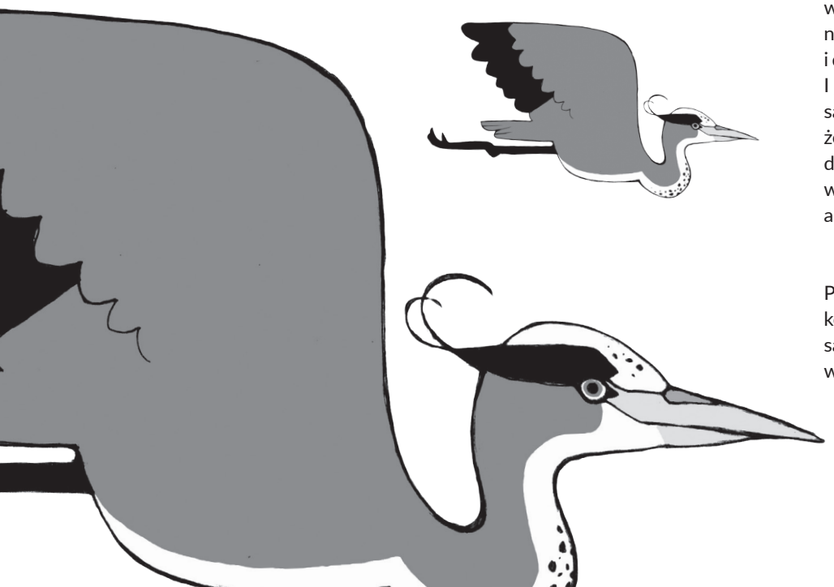

Aleksandra Wieczorkiewicz

Dziecko porwane

O jednym wierszu Williama Butlera Yeatsa
Esej przekładowy

William Butler Yeats | ur. 1865, zm. 1939. Poeta, dramaturg. Laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury (1923).

1.

Hrabstwo Sligo. Niewielka prowincja, położona w północno-zachodniej Irlandii, o postrzępionej linii brzegowej, którą obmywają wody Atlantyku. Kształtem Sligo przypomina znajdującą się w tarczy herbowej hrabstwa głowę odyńca – olbrzymiego dzika z wrzosowisk, który, wedle tego, co mówi celtycka legenda, w walce na stokach góry Ben Bulben powalił Diarmuida, kochanka pięknej Grainne. Gaelicka nazwa *Sligeach* oznacza „miejsce obfitujące w muszle", których mnóstwo znajdowano przy ujściu rzeki poniżej miasta Sligo – szesnaście białych muszli, odcinających się wyraźnie na czarnym tle, widnieje również w herbie. Prócz nich widać jeszcze księgę z czerwonym krzyżem celtyckim i różą (*The Rose* to tytuł drugiego młodzieńczego tomu poetyckiego Williama Butlera Yeatsa), a także banderolę ze słowami *Land of Heart's Desire*.

Nad *Krainą Pragnienia Serca* króluje Ben Bulben – dziwna góra wyrastająca niespodziewanie z bezdrzewnej równiny porośniętej wrzosem i wierzbówką: stromy, przepaścisty płaskowyż, ścięty równo jakby olbrzymim nożem i pamiętający być może czasy olbrzymów. U jego stóp, w cichej wiosce Drumcliff, stoi granitowy kościółek św. Kolumbana, a obok niego, na otoczonym niskim murkiem cmentarzu, pod szarą, kamienną płytą, spoczywa Poeta. Na płycie wyryto „słowa, które sam kazał umieścić":

Cast a cold Eye
On Life, on Daeth.
Horseman, pass by.
W. B. YEATS
June 13th 1865
January 28th 1939

Epitafium pochodzi z poematu *Under Ben Bulben*, który Yeats napisał niedługo przed śmiercią, w roku 1938, zawierając w nim niejako swój testament poetycki, a także ostatnią wolę dotyczącą pochówku. Kluczowy fragment w przekładzie Ludmiły Marjańskiej brzmi:

Tak samo chłodno spójrz
Na życie i na śmierć
Nie wstrzymuj konia, jedź!

Dziś – podobnie jak sto pięćdziesiąt lat temu – na zboczach góry Ben Bulben owce szczypią soczystą trawę. W jej cieniu bawił się też zapewne nieraz mały chłopiec William Butler, który spędzał wakacje u dziadków w Drumcliff: z głową pełną legend, historii dawnych bitew oraz opowieści o tajemniczych światłach wśród wrzosowisk. W świat „celtyckiego półmroku" wprowadzali małego Yeatsa wujowie i ciotki ze strony matki – Middletonowie i Pollexfenowie, skoligaceni ponoć z korsarzem Francisem Drakiem. W ciemnych chatach rybackich i wiejskich chudobach chłopiec poznawał opowieści o wróżkach, elfach i druidach, uczył się słyszeć podskórne szepty świata i „dawać język nadmorskim skałom". Uczył się też „nazywać rzeczy po imieniu", określać słowem to, co widzialne, i to, co ledwie przeczuwane, tkać z nici złotego i srebrnego światła „niebios wyszywaną szatę", która ściele się pod naszymi wciąż nieostrożnymi stopami.

2.

Jeden z młodzieńczych wierszy Yeatsa, napisany w 1886 roku i opublikowany trzy lata później w tomie poetyckim *Rozstaje* (*The Crossways*), nosi tytuł *The Stolen Child*. Jest pieśnią o dojmującej nostalgii za utraconym rajem wyobraźni i fantazji[1], tęskni za porzuconą przez ludzkość wiarą we współistnienie dwóch światów – duchowego, nadprzyrodzonego, magicznego oraz realnego, rzeczywistego, które w czasach, gdy słowo miało moc stwórczą i łączyło się ściśle z naturą, zdawały się

1 M. Bell, *Literature, modernism and myth. Belief and responsibility in the twentieth century*, Nowy Jork 1977, s. 44–45.

nieskończenie bliskie. Nie stanowiły odrębnych dziedzin, lecz były dwiema stronami tego samego świata, oddzielonymi od siebie płynną i niepewną granicą.

The *Stolen Child* łączy aurę irlandzkiego folkloru z wczesną Yeatsowską poetyką i wprowadza w zaklęty świat „celtyckiego zmierzchu", rojny od maleńkich istot uwijających się skrzętnie wśród poszycia i szuwarów, przeniknięty – jak dreszczem – dziwną muzyką, przejmującym śpiewem i uwodzicielskim wołaniem:

Come away, O human child!
To the waters and the wild
With a faery, hand in hand,
For the world's more full of weeping
/ than you can understand.

Ludzkie dziecię, ruszaj z nami,
Gdzie ostępy i moczary
Śladem tych, co znają czary,
Bo nie pojmiesz bólu świata,
który w sobie nie ma miary.

Ten okrzyk to inkantacyjne zaklinanie „ludzkiego dziecięcia", by dołączyło do tajemniczych istot bawiących w zaklętym świecie moczarów i dzikich ostępów, powtórzony jest w utworze po trzykroć i obok mocnego rytmu oraz dokładnych, bogatych rymów stanowi o jego śpiewności i melodyjności, chciałoby się rzec – nieledwie Leśmianowskiej. Owa poetycka melodia, poparta przejmującym nawoływaniem refrenu, zdaje się oczarowywać słuchacza (czytelnika) i rzucać na niego urok – uwodzi śpiewnie w dziedzinę mowy wiązanej, łowi w sieci słów i współbrzmień, wabi w pułapkę zastawioną na nieostrożne, zasłuchane dziecię.

Zwodzicielski czar rzucany przez poezję jest z pewnością jednym z tematów wiersza Yeatsa, jednak przede wszystkim obecna jest w nim pewna opowieść: poeta wciąga do konkretnego świata, przywołuje do istniejących na mapie miejsc, w których ukrywa się prowincja magii i mieszkają żywioły obce światu ludzi.

Where dips the rocky highland
Of Sleuth Wood in the lake,
There lies a leafy island
Where flapping herons wake
The drowsy water-rats;
There we've hid our faery vats,
Full of berries
And of reddest stolen cherries.

Gdzie się nurza wyż skalista
Lasu Sleuth wśród jeziora wód,
Leży tam zielona wyspa,
Gdzie czaplich skrzydeł huk
Bobrom nie daje spać;
Tam skryłyśmy zaklętą kadź
Pełną malin
I wiśni krasnych porwanych.

Wołanie „Come away!" – powtórzone w wierszu trzykrotnie – zaprasza ludzkie dziecię najpierw „Gdzie się nurza wyż skalista Lasu Sleuth wśród jeziora wód", a na jeziorze leży „zielona wyspa". Zarówno Sleuth Wood (dziś Slish Wood), jak i niewielką wysepkę na Lough Gill odnajdziemy na mapie Sligo, które dla poety było nie tylko krainą lat dziecinnych, lecz stało się także miejscem mitycznym i glebą kiełkowania poetyckiej wyobraźni. Ukryta wśród liści wyspa na jeziorze może być obrazem utopijnej krainy szczęśliwej, wyizolowanej dziedziny harmonii i spokoju, do której tęskni przerażony światem człowiek. Lecz coś w wierszu Yeatsa każe odrzucić ten obraz i wsłuchać się raz jeszcze w uparte nawoływanie do odejścia. Szczypta lądu, otoczona zewsząd wodą, jest dzika i złowróżbna: w przybrzeżnym gąszczu drzemią szczury wodne [*water rats*], z sitowia dobiega trzepot czaplich skrzydeł. Wyspa jest miejscem izolacji (jak podpowiada współbrzmienie angielskich słów *island – isolation*), światem bezludnym, niezrozumiałym i groźnym, zamieszkanym tylko przez zwierzęta i obce istoty, które swoim nawoływaniem wabią ofiarę w pułapkę, zastawiają na nią sidła pieśni, kryjącej w sobie uwodzicielskie kłamstwo. „Kadzie pełne malin / i krasnych wiśni porwanych", choć wypełnione są soczystymi, słodkimi owocami, przywodzą na myśl raczej Faustowską noc Walpurgii lub jaskinię Hekate z Shakespeare'owskiego *Makbeta* (użyte przez Yeatsa słowo *vats* – „kadzie", kojarzy się z mrocznymi rytuałami odprawianymi przez wiedźmy), a słodycz wiśni i malin, na pozór dziecięca i niewinna, okazuje się zwodnicza – jest skradziona, porwana [*stolen*], podobnie jak skradzione zostanie niedługo „ludzkie dziecię". Intensywny kolor owoców („najczerwieńszych") rozdziera zieleń wyspy i rani oczy – jest być może kolorem krwi, błyszczącej na blaszkach liści. Złowróżbna dzikość natury, pozornie tylko łagodnej i harmonijnej, przypomina do złudzenia klimat *Topielca* Bolesława Leśmiana (z cyklu *W zwiewnych nurtach kostrzewy* z tomu *Łąka*), w którym poeta opisuje wędrowca, zwabionego na swoją zgubę w odmęty „niepojętej zieloności":

Wówczas demon zieleni wszechleśnym powiewem
Ogarnął go, gdy w drodze przystanął pod drzewem,
I wabił nieustannych rozkwitów pośpiechem,
I nęcił ust zdyszanych tajemnym bezśmiechem,
I czarował zniszczotą wonnych niedowcieleń,
I kusił coraz głębiej – w tę zieleń, w tę zieleń![2]

W czterech anaforycznych otwarciach wersów („wabił – nęcił – kusił – czarował") Leśmian doskonale oddaje sens złowróżbnego nawoływania w zieleń, natomiast tego, który je artykułuje, nazywa wprost „demonem", choć nie wątpimy przecież, że jest to postać bliska istotom, które w wierszu Yeatsa nazwane zostały łagodniej, „baśniowiej" – *faery*. Leśmianowski wędrowiec, posłuszny wołaniu demona, biegnie „wybrzeżami coraz innych światów":

Odczłowieczając duszę i oddech wśród kwiatów,
Aż zabrnął w takich jagód rozdzwonione dzbany,
W taką zamrocz paproci, w takich cisz kurhany,
W taki bezświat zarośli, w taki bezbrzask głuchy,
W takich szumów ostatnie kędyś zawieruchy,
Że leży oto martwy w stu wiosen bezdeni,
Cienisty, jak bór w borze – topielec zieleni.[3]

2 B. Leśmian, *Poezje zebrane*, oprac. A. Madyda, wstęp M. Jakitowicz, Toruń 2000, s. 165.
3 Tamże.

Demon wiedzie wędrowca do zielonej krainy, do królestwa przyrody, prowadząc go w regiony coraz gęściej zarośnięte, w zarośla coraz duszniejsze, pełne ciszy i ciemności („bezświt", „bezbrzask głuchy"). Jednak droga nie prowadzi ku zjednoczeniu „zieleni" i „człowieczeństwa" – pośród kwiatów odczłowiecza się oddech i dusza, a topielec spoczywa martwy „w stu wiosen bezdeni". Zjednoczenie z naturą nie polega bowiem na harmonijnym wniknięciu człowieka w tkankę przyrody, wiąże się raczej z rozkładem tego, co ludzkie, w niezmożonej, pracującej materii natury. Zatopić się w zieleń to – inaczej – zniknąć w niej „bez reszty", zostać przez nią pochłoniętym całkiem dosłownie.

Jednak nim podróż w zieleń zostanie ostatecznie spełniona, mijamy wraz z wędrowcem „jagód rozdzwonione dzbany", „zamrocz paproci" i „bezbrzask głuchy", które zdają się coraz bardziej osaczać bohatera lirycznego. U Yeatsa natomiast tajemnicze, choć już złowrogie *fairies* stawiają przed dziecięciem „zaklętą kadź pełną malin" – która równie dobrze mogłaby być pełna jagód, gdyż angielskie *berries* nie określa precyzyjnie owoców znajdujących się w naczyniu – natomiast „paprocie" i ciemność stłoczonej roślinności (a więc „bezbrzask głuchy") odnajdziemy w trzeciej strofie wiersza Irlandczyka. Bliskość wizji Leśmiana obrazowaniu Yeatsowskiego *The Stolen Child* (starszemu od *Topielca* o ponad trzydzieści lat) jest zaiste uderzająca i każe zastanowić się, jeśli nie nad międzytekstowymi wpływami, to na pewno nad pokrewieństwem ostrej, poetyckiej wizji, która odziera późnoromantyczną nostalgię za naturą z jej łagodnego blasku i ukazuje nowoczesną nieprzystawalność człowieka do świata przyrody – i baśni.

W kolejnej strofie Yeats kontynuuje namysł nad złowróżbnym wołaniem tajemniczych *fairies*, które „hen, za najdalszym Rosses", wśród zalanych księżycowym blaskiem piasków „splatają aż po brzask / Zapomnianych tańców cienie, / Mieniąc dłonie i spojrzenie" [*mingling hands and mingling glances*]:

A gdy miesiąc umknie w dal,
Tu i tam wiedziemy tan,
Ścigając morskie piany,
A świat w smutku tkwi stroskany
I płochliwy jego sen.

Taniec oraz „ściganie piany" [*chase the frothy bubbles*] wydają się powtórnie zwiastować beztroskę dziecięcej zabawy, jednakże w radosnych pląsach czai się złowrogi potencjał niepokoju, transu i szaleństwa. Podobnie szalone, aż do omdlenia, są tańce wróżek i elfów – wiedzione w zaklętych kręgach bez opamiętania, po ostatnie minuty nocy – o których James Matthew Barrie pisze w powieści *Piotruś Pan w Ogrodach Kensingtońskich*. Noc jest również czasem panującym w utworze Yeatsa. Na plaży w Rosses – na najdalej wysuniętym cyplu otwierającym zatokę Sligo – gospodarzy nieznający (nocnego) snu żywioł magii i fantazji. W *Dziecku porwanym fairies* zdają się dowodzić, że ich świat jest miejscem beztroski i zabawy, w przeciwieństwie do świata prawdziwego, który „w smutku tkwi stroskany" [*the word* […] *is anxious in its sleep*], jednak ów proklamowany kontrast pomiędzy „zaklętym" spokojem a „realnym" niepokojem okazuje się pozorny. Trzecia strofa wiersza przynosi bowiem widok wodospadu Glen Car (Irlandia, hrabstwo Leitrim) i położonych wokół niego moczarów:

Where the wandering water gushes
From the hills above Glen-Car,
In pools among the rushes
That scarce could bathe a star […].

Gdzie wędrowna tryska woda
Ze wzgórz ponad Glen-Car,
W sadzawkach śród sitowia,
Gdzie gwiazd nie sięga blask […].

Wśród sadzawek i sitowia, do których nie dochodzi nawet światło gwiazd, „niepojęta zieloność" staje się duszna, stłoczona, i osaczająca: zdaje się wyciągać wodne pędy oraz mokre gałęzie, by pochwycić człowieka, który nie spodziewa się z jej strony żadnego zła. Podobnie kwiaty i nadrzeczne zarośla wciągają w „wodny grób" Ofelię na obrazie Johna Everetta Millais'go. Dalsze wersy utworu potęgują jeszcze poczucie bliskiego niebezpieczeństwa i nieokreślonego zagrożenia:

We seek for slumbering trout
And whispering in their ears
Give them unquiet dreams;
Leaning softly out
From ferns that drop their tears
Over the young streams.

Śpiącym pstrągom wraz
Zsyłamy groźne sny
Do ucha szepcząc im,
I ledwie dojrzysz nas
Zza paproci, co ronią łzy,
Gdzie ruczaj młody lśni.

Fairies szepcą więc groźne i niespokojne sny do ucha drzemiących pstrągów, a także wychylają się spomiędzy łodyg paproci, które płaczą nad wodami młodych ruczajów. Ich uwodzicielska pieśń okazuje się kłamstwem: wabi i przyzywa w dziką zieleń, która – pomimo pozornego, wmawianego słuchaczowi kontrastu ze „stroskanym we śnie" światem pełnym zmartwień i bólu – okazuje się także dotknięta nieszczęściem, skażona cierpieniem i niepokojem [*unquiet dreams, ferns that drop their tears*]. Nie obiecuje ukojenia i beztroski.

A jednak ludzkie dziecko, zasłuchane w głosy zwodniczego zaklinania, daje się w końcu uprowadzić w dotykalną niemal, cielesną gęstość tajemnego świata (i pieśni). Staje się „dzieckiem porwanym", wykradzionym, uprowadzonym i uwiedzionym, choć w „niepojętą zieloność" odchodzi samo, z własnej woli, niedotknięte żadną przemocą prócz (prze)mocy słów, które zapewniają o niemożności udźwignięcia ciężaru cierpienia:

Away with us he's going,
The solemn eyed
He'll hear no more the lowing
Of the calves on the warm hillside
Or the kettle on the hob
Sing peace into his breast,
Or see the brown mice bob
Round and round the oatmeal-chest.

For he comes, the human child!
To the waters and the wild,
With a faery, hand in hand,
From a world more full of weeping
/ than he can understand.

Oto wnet za nami ruszył
On, spoważniały,
By nie słyszeć już jak mruczy
Cielę wśród pól wygrzanych
I więcej imbryka śpiew
Nie wleje mu spokoju w pierś
W korcu owsa ostatni raz
Słyszy mysich pląsów gwar.

Ludzkie dziecię idzie z nami,
Gdzie ostępy i moczary
Śladem nas, co znamy czary,
I porzuca świat cierpienia,
w którym nie masz żadnej miary.

Porwane dziecko porzuca zatem przynależny sobie świat ludzkiego domostwa, który jest miejscem bezpiecznym, ponieważ oswojonym: oswojone są tu zwierzęta – łagodne cielęta pasące się na łąkach nagrzanych promieniami słońca (a zatem w „przestrzeni dnia", będącej dziedziną panowania człowieka), polne myszy baraszkujące w ziarnie; znajomy i niegroźny jest również świat roślinny (przyroda trzymana „pod kluczem", jak owies w skrzyni [*oatmeal-chest*]) oraz domowych, bliskich przedmiotów. Szczególnie owe przedmioty zdają się mieć w wierszu Yeatsa wyjątkową rangę: imbryk na kuchennej płycie okazuje się bowiem posiadać moc „wśpiewania spokoju" w ludzkie serce [*sing peace into his breast*]. Jawnym staje się kłamstwo pieśni, która wmawiała dziecku, że nic na ziemi nie może uśmierzyć bólu i przynieść ukojenia w niepewnym istnieniu, gdy tymczasem jedyne lekarstwo na rozpacz pozostało w świecie właśnie porzuconym przez omamionego czarem słów człowieka. Teraz bowiem jest już zbyt późno na zrozumienie pomyłki i naprawę błędu, o czym obwieszczają triumfalne okrzyki *fairies*: *Away with us he's going* („Oto wnet za nami ruszył") i *For he comes, the human child!* („Ludzkie dziecię idzie z nami") – pułapka zatrzasnęła się za odchodzącym na zawsze.

3.

Mit dziecka, które zostało „przejęte" przez świat nie-ludzki – porzucone przez „swoich" czy wykradzione przez obce żywioły – i uniesione w dziedzinę natury lub/i magii, sięga korzeni kultury europejskiej. Pierwszymi takimi dziećmi w kulturze zachodniej byli mityczni bracia Remus i Romulus, „synowie wilczycy", na których historii oparł z kolei swoją opowieść Rudyard Kipling, każąc Mowgliemu, „ludzkiemu szczenięciu", bohaterowi *Księgi dżungli*, zamieszkać w dzikich ostępach indyjskich tropików. Romantyzm stworzył własną wizję „uprowadzenia", które wiedzie już nie tyle w krainę nietkniętej ludzką stopą przyrody, ile w świat magii i czarów, niedostępny śmiertelnikom, lecz istniejący tuż obok nich i nieustannie dający o sobie znać. Tak dzieje się w balladzie Goethego *Król elfów* (znanej przede wszystkim jako *Król olch* czy *olszyn*), w której wieziony przez ojca chłopczyk wabiony jest w dziedzinę zaświatów przez tajemniczą postać tytułowego króla. Jak echo w utworze Yeatsa brzmią słowa zjawy z utworu Goethego:

– Mój ojcze, mój ojcze, czyś tego nie słuchał,
co Elf mi obiecał, naszeptał do ucha?
– Uspokój się, synku, uspokój się, mały,
to wiatr tak w olszynach liść rusza, liść stlały.

„Chodź piękny mój chłopcze, w te olchy… chodź ze mną!
Me córki troskliwie hołubić cię będą.
Me córy tam tańczą, nim zejdzie świt –
wśpiewają, whuśtają i ciebie w swój rytm…"

– Mój ojcze, nie widzisz, tam w cieniu, przy drzewie
Król Elfów mnie wabi do swoich królewien
– Mój synku… mój synku, sokoli mam wzrok:
To stare trzy wierzby szarzeją przez mrok.

Królewskie córki tańczące „nim zejdzie świt" są zapewne tymi samymi istotami, które na najdalszych piaskach Rosses „splatają aż po brzask / Zapomnianych tańców cienie". Zdolne „wśpiewać", „whuśtać" w ludzkie dziecię rytm swej uwodzicielskiej pieśni, okazują się silniejsze niż kojący głos ojca (w balladzie Goethego) czy „śpiew imbryka" (w wierszu Yeatsa), mogący „wśpiewać" spokój w pierś człowieka, uchronić go od nieznanej zguby na bezdrożach baśni.

Goethe i Yeats głoszą, że w niedostępnych ludzkim oczom krainach żyją wróżki i elfy, demony i chochliki, które mogą uprowadzić dziecko do lepszego świata bez bólu i cierpienia, zostawiając w kołysce inne „podmienione" niemowlę. Dziecko wykradzione potajemnie ze świata ludzi przez wróżki to z angielska *changeling* – „niemowlę tajemnie, podpowiada *Oxford English Dictionary*, podmienione na inne, szczególnie dziecko (głupie lub brzydkie), które miało być zostawione przez elfy w zamian za to, które zostało porwane (czasem określenie stosuje się względem dziecka zabranego, a nie pozostawionego w zamian)". Folklor słowiański nie posiada wprawdzie osobnej nazwy na „dziecko porwane, wykradzione" (*changeling*), lecz za to pojawia się w nim kategoria odmieńca – „dziecka podmienionego", pozostawionego w kołysce przez mamunę[4], demona czy raczej demonicę, która porywała dzieci. Odmieńca można było łatwo poznać po wyjątkowej szpetocie, nieproporcjonalnej głowie i członkach oraz złym i dokuczliwym zachowaniu. Istniały różne sposoby na pozbycie się „podmienionego dziecka"

4 Mamuny (inaczej mamony lub mamaki) opisuje się jako istoty o wyglądzie młodych, lecz niezbyt urodziwych kobiet, o rumianych licach, szerokich biodrach, gładkiej skórze i olbrzymich piersiach pełnych mleka, którymi Mamuny poją napotkanych ludzi, a także zwierzęta. „Nie mając kogo karmić, porywają noworodki lub niemowlęta, a oddają dziecię dopiero po jakimś czasie […]. Dzieci karmione przez Mamuny rosną wielkie, senne i ociężałe. […] Całymi dniami leżą w kołysce, aż w końcu mogą się z tego przerodzić w prawdziwego głupka, co w ogóle nie jest świata ciekawy, albo stać się niemową". Cz. Białczyński, *Stworze i zdusze, czyli starosłowiańskie boginki i demony*, Kraków 1993, s. 224.

i odzyskanie własnego: delikwenta należało pozostawić na kupie gnoju albo wynieść poza obręb wsi i zbić brzozową rózgą. Motyw dziecka uprowadzonego w dziedzinę czarów przez nie-ludzkie istoty pojawia się na przykład w utworze Marii Konopnickiej *O krasnoludkach i o sierotce Marysi*:
„– Nie ma co – mówi [baba] – tylko Boga na pomoc wezwać, tęgą wić brzozową wyciąć, tego odmieńca na leśne jabłko zbić i na śmietnisko cisnąć. Jak będzie na śmietnisku wrzeszczał, to Krasnoludki dziecko prawe odniosą, a tego nietwora zabiorą sobie!".

Zwykle jednak poeci i pisarze przedstawiają dzieje nieszczęsnego dziecięcia tylko do momentu, w którym zostaje ono porwane ze świata ludzi – i Goethe, i Yeats nie mówią nic o tym, co dzieje się z odmieńcem „po drugiej stronie": czy czeka go los topielca z wiersza Leśmiana, który „leży martwy" w zieleni, czy też staje się on kimś innym i – „odczłowieczywszy duszę" – zostaje mieszkańcem świata baśni. O tym, co dzieje się „później", możemy po części dowiedzieć się nie z tekstu, lecz z obrazu: motyw „dziecka wykradzionego" jest bowiem tematem grafiki *Changeling* z 1905 roku autorstwa Arthura Rackhama, znakomitego angielskiego rysownika, ilustratora między innymi *Piotrusia Pana w Ogrodach Kensingtońskich* Barriego i *Snu nocy letniej* Shakespeare'a.

W centrum grafiki, u stóp rozłożystego krzewu przypominającego zarośla głogu lub tarniny znajduje się grupa trzech postaci, które przyciągają oko widza przestrzennym zakomponowaniem i jasnymi kolorami. Młoda, piękna, ciemnowłosa kobieta w białej sukni (wróżka, królowa wróżek?) trzyma na kolanach nagie niemowlę, którego prawą nóżkę obejmuje inna postać: dziewczyna w wianku na głowie, leżąca obok. Ciemnowłosa oplata dziecko wieńcem stokrotek, podtrzymywanym przez skrzydlatych paziów nad jej głową oraz odsuniętą nieco w prawo uskrzydloną wróżkę w jasnopomarańczowej sukni. Na pierwszym planie, przed grupą centralną, przechadzają się fantazyjnie ubrane elfy (chochliki? gnomy?), polna mysz z glinianym dzbanem oraz miniaturowe postaci krasnoludków. Tło stanowią dziwne, skłębione chmury, które zdają się wyłączać przedstawianą scenę z realnego krajobrazu i umieszczać ją w nienazywalnej, tajemniczej przestrzeni. Dziecko, tytułowe *changeling*, jest blade, lecz spokojne – jego twarz nie wyraża ani przerażenia, ani radości; raczej smutek, czy też powagę lub zamyślenie. Oczy ma utkwione w niewiadomym punkcie poza ramami ilustracji, a jego poważny wzrok mija korowody baśniowych istot, przenikając być może poza magiczną krainę, z powrotem do świata ludzi, z którego zostało uprowadzone. Dziecko – wciąż jeszcze zawieszone pomiędzy dwoma światami – podobne jest do Yeatsowskiego „dziecka porwanego" (*the solemn eyed* – „spoważniały") jak dwie krople wody.

4.

Tłumaczeniowe dzieje Yeatsa w Polsce zaczęły się jeszcze w czasach mu współczesnych – pierwszych przekładów dokonał Zenon Przesmycki (Miriam) na początku XX wieku, liryki i dramaty Irlandczyka tłumaczył również Jan Kasprowicz. Później tłumaczami Yeatsa zostali między innymi Czesław Miłosz, Stanisław Barańczak, Leszek Engelking, Zygmunt Kubiak, Ludmiła Marjańska i Adam Pomorski, jednak w żadnym ze zbiorów, wyborów czy antologii nie znalazło się miejsce na utwór *The Stolen Child*. Do polskiej wersji wiersza dochodziliśmy bowiem drogą okrężną: poprzez muzykę, piosenkę.

W 1985 roku ukazał się *Elemental*, debiutancki album kanadyjskiej wokalistki Loreeny McKennitt, kompozytorki muzyki celtyckiej, harfistki i artystki adaptującej liczne teksty należące do klasyki poezji anglojęzycznej (m. in. Alfreda Tennysona, Williama Blake'a czy Yeatsa właśnie). Jednym z dziewięciu utworów *Elemental* był *The Stolen Child*, zaśpiewany przy akompaniamencie harfy – w urzekającej i zarazem niepokojącej melodii słowa wiersza Yeatsa odnalazły swój pierwotny rytm, który ginie w „bezgłośnej" lekturze. *The Stolen Child* po polsku zaistniało więc najpierw w amatorskich przekładach tekstu piosenki, później na forach dyskusyjnych tłumaczy – tak jak choćby ciekawa translacja Wojciecha Domagalskiego, który w komentarzu do tłumaczenia *Dziecka wykradzionego* z niezwykle trafną intuicją intertekstualną pisze, iż „irlandzką neoromantyczność starał się oddać po polsku, stylizując momentami [Yeatsa] na Leśmiana". Z kolei pierwszy przekład *sensu stricto*, stosunkowo nowy, został opublikowany pod tytułem *Skradzione dziecko* w internetowym „Akancie" i wyszedł spod pióra Barbary Dziedzic.

Pora teraz wytłumaczyć się z (pod)tytułowej figury „eseju przekładowego". Esej, z francuskiego *essai*, czyli „próba", jest bowiem w moim zamyśle nie tylko literacką „próbą opowieści" (o miejscu, poezji oraz miejscu poezji, a więc kontekście), lecz również rzeczywistą próbą przekładową, której opowieść towarzyszy, którą wyjaśnia i tłumaczy. Należy więc słowo powiedzieć jeszcze o samej translacji – by opowieść stała się choć po części kompletna.

Yeatsowskie *The Stolen Child* towarzyszyło mi od dawna – w angielskich wersach oryginału, celtyckiej melodii i muzyce harfy „zaklinało" i uwodziło, kusząc możliwością zjawienia się w innym językowym świecie. Przekład *Dziecka porwanego* powstał więc chyba z pobudek czysto egoistycznych: by odczynić czar i odegnać urok. Jest li tylko próbą, esejem, gdyż to zupełnie

jasne, że oryginał przerasta możliwości tłumaczki. A jednak melodia *The Stolen Child* cały czas dźwięczy w moich myślach – i szkoda, że nie mogę jej tu zanucić.

Yeats stworzył kunsztowne arcydzieło sztuki poetyckiej: nie tylko opowiedziana tu historia jest w pewnym sensie doskonała (doskonale nieprzenikniona), nie tylko przywoływane przez słowo obrazy można określić mianem fantastycznych (w podwójnym tego słowa znaczeniu). Oczarowuje – a tłumacza przeraża – przede wszystkim kompozycja, precyzja formalna, mistrzostwo warsztatu poetyckiego. *The Stolen Child* to wiersz nieregularny: cztery strofy liczą od ośmiu do jedenastu wersów, same wersy tworzą linię postrzępioną niczym zachodnie wybrzeża hrabstwa Sligo. Nie ma tu monotonii, choć jest powtarzalność: wszystkie strofy – prócz końcowej – rozpoczyna anaforyczne *Where* – „Gdzie"; każdą strofę bez wyjątku wieńczy czterowersowy refren, w którym odnaleźć można „ślady" stopy metrycznej (jambu, a więc metrum naturalnego dla angielszczyzny). Strofy, pozornie chwiejne, odznaczają się jednak zadziwiającą śpiewnością, która wynika z powtarzania w większej części wersów tej samej liczby zestrojów akcentowych (po trzy w linii, a zatem *The Stolen Child* można określić mianem trójzestrojowca). Niezwykłą muzyczność liryku współtworzą zadziwiające rymy, którym można by poświęcić osobne studium – rymy bogate, głębokie, czasem jednorodne, a czasem parzyste, okalające lub krzyżowe wiążą i splatają słowa w gęstą sieć znaczeń. Ile z tego bogactwa przepada w przekładzie, nie wie nawet sam tłumacz, który – próbując ocalić przede wszystkim brzmiącą w myślach „bezsłowną melodię wiersza" (by użyć określenia Leśmianowskiego) – wymienia pełne rymy na tańszą monetę współbrzmień.

„Dziecko" zostało „porwane" – nie zaś skradzione, wykradzione, uprowadzone czy uwiedzione – przede wszystkim dlatego, że „porwane" (a może „zerwane") są również wiśnie (*the reddest stolen cherries)* w pierwszej strofie wiersza, co przepięknie łączy bohatera lirycznego z dojrzałymi owocami, wykradanymi skądinąd przez „ludzkie dzieci" z sadów. Tłumacząc się dalej z owoców: *berries* to w przekładzie nie „jagody" (*blueberries*), lecz „maliny" (*raspberries*) raz z powodu pary brzmieniowej, a dwa z bliskości wszystkich malin Leśmianowskich, które odsyłają jednak raczej do potocznego imaginarium, niż – powiedzmy – do poetyckich konkretów rodem z *Topielca* (w którym przecież zamiast malin czernią się w dzbanach jagody).

Na podobną „podmianę" gatunkową pozwalam sobie również w otwarciu utworu, gdyż trzepot czaplich skrzydeł wyrywa ze snu nie „ospałe szczury wodne", jak w oryginale, lecz bobry, które nad pojawiającymi się u Yeatsa gryzoniami mają przewagę błogosławionej krótkości słowa w odmianie: dwie sylaby zamiast czterech to w trójzestrojowcu – przewaga nie do pobicia. Brak tu oczywiście zoologicznej precyzji, bo *water rat* to z pewnością nie *beaver*, jednak przedstawiciele obu gatunków posiadają jedną znaczącą cechę, której chwytam się niczym niezdarny pływak tonący u brzegów wyspy. Są mianowicie mieszkańcami wodno-ziemnego pogranicza, istotami żyjącymi pomiędzy dwoma światami, dwoma żywiołami: a o czym innym, jak nie o bytowaniu pomiędzy i przekraczaniu granic dwóch dziedzin – realności i fantazji – opowiada wiersz Irlandczyka?

Największy problem translatorski – prócz drobnych a istotnych szczegółów, o których długo by mówić – stanowią chyba jednak istoty, od których pochodzi niepokojące wołanie *Come away, O human child, / To the waters and the wild / With a faery hand in hand*. Kimże są one – owe *fairies*? Odpowiada na to pytanie ponownie William Buttler Yeats w przedmowie do zbioru *Fairy and Folk Tales of the Irish Peasantry*, wydanego w 1888 roku:

> *Kim one są? „Upadłymi aniołami, które nie były na tyle dobre, by trafić do raju, ani na tyle złe, by zasłużyć na wieczną karę" – powiada mądrość ludowa. „Bogami tego świata" – rzecze Księga z Armagh. „To bóstwa pogańskiej Irlandii" – mówią irlandzcy antykwariusze. „Tuatha Dé Danann, który, gdy przestano go czcić i składać mu ofiary, skurczył się w zbiorowej wyobraźni i teraz liczy tylko kilka dłoni wzrostu". […] Natura tych istot, ich kapryśność, chęć wyświadczania dobra dobrym i odpłacania złem złym, posiada wszelkie uroki prócz spójności i sumienności. Urazić je tak łatwo, że lepiej nie mówić o nich wcale […], lecz jednocześnie potrafią radować się z byle czego i zrobią wszystko, by odsunąć nieszczęście od tego, kto wieczorem nie zapomni zostawić im odrobinki mleka na parapecie okiennym. […] W snach przechadzamy się pośród nich, bawimy się wspólnie i toczymy z nimi walki. Być może te kapryśne stworzenia są ludzkimi duszami, poddawanymi ciężkiej próbie czyśćca.*

O ile jednak tajemnica bytu dziwnych istot ważna jest w interpretacji utworu, co innego przysparza kłopotu w przekładzie – chodzi mianowicie o to, jak oddać po polsku leksem obciążony licznymi konotacjami, zanurzony w celtyckim folklorze i zrośnięty z ludowymi wierzeniami. Słowo *fairies* odnosi nas z jednej strony do baśni jako gatunku (angielskie *fairy-tales*), z drugiej opisuje częstych jej bohaterów: mieszkańców i mieszkanki czarodziejskiego świata. Badacze zwracają uwagę na etymologię słowa, pochodzącego od łacińskiego *fatum*, wiążącego *fairies* z Parkami, tkającymi nici ludzkiego losu (warto przypomnieć, że w drugiej strofie *The Stolen Child fairies* tkają, „splatają" [*weaving*] „zapomnianych tańców cienie"). Pod mianem *fairies*, przekonuje Michał Choiński, ukrywa się „wiele różnorodnych istot", a jako polskie odpowiedniki leksemu można podać kolejno „wróżki", „duszki", „chochliki", „diabełki", „skrzaty", a także „elfy", które bywają uznawane za najbliższe oryginałowi, gdyż „jako jedyne pasują zarówno do baśni, jak i definicji zaczerpniętych z angielskich słowników".

W tłumaczeniu *Dziecka porwanego* na określenie zagadkowych istot posłużył mi jednak eufemizm – tak, jakby nie można ich było dotknąć nawet ziemskim słowem. „Śladem tych, co znają czary", może elfów, wróżek lub tajemniczych duszków, rusza zatem „ludzkie dziecię", krocząc poprzez chwiejne i niepewne wersy przekładu. Tu i tam, gdzieniegdzie, przebiega granica: między tym, co zmyślone, a tym, co prawdziwe, między swoim a cudzym, znajomym i obcym. W końcu, w najszerszym rozumieniu, *The Stolen Child* Yeatsa mówi również o przekładzie, który jest przecież przechodzeniem od tego, co oswojone, ku temu, co nieznane, i odwrotnie, o przekładaniu siebie na słowa innego świata.

ilustracja: Arthur Rackham, *Changeling* (1905)

Aleksandra Wieczorkiewicz | tłumaczka,
doktorantka na Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

William Butler Yeats

Dziecko porwane

Gdzie się nurza wyż skalista
Lasu Sleuth wśród jeziora wód,
Leży tam zielona wyspa,
Gdzie czaplich skrzydeł huk
Bobrom nie daje spać;
Tam skryłyśmy zaklętą kadź
Pełną malin
I wiśni krasnych porwanych.

Ludzkie dziecię, ruszaj z nami,
Gdzie ostępy i moczary
Śladem tych, co znają czary,
Bo nie pojmiesz bólu świata
który w sobie nie ma miary.

Gdzie księżyca poblask płochy
Srebrem siny kryje piach,
Hen, za najdalszym Rosses,
Splatamy aż po brzask
Zapomnianych tańców cienie,
Mieniąc dłonie i spojrzenie,
A gdy miesiąc umknie w dal,
Tu i tam wiedziemy tan,
Ścigając morskie piany,
A świat w smutku tkwi stroskany
I płochliwy jego sen.

Ludzkie dziecię, ruszaj z nami,
Gdzie ostępy i moczary
Śladem tych, co znają czary,
Bo nie pojmiesz bólu świata
który w sobie nie ma miary.

Gdzie wędrowna tryska woda
Ze wzgórz ponad Glen-Car,
W sadzawkach śród sitowia,
Gdzie gwiazd nie sięga blask,
Śpiącym pstrągom wraz
Zsyłamy groźne sny
Do ucha szepcząc im,
I ledwie dojrzysz nas
Zza paproci, co ronią łzy,
Gdzie ruczaj młody lśni.

Ludzkie dziecię, ruszaj z nami,
Gdzie ostępy i moczary
Śladem tych, co znają czary,
Bo nie pojmiesz bólu świata
który w sobie nie ma miary.

Oto wnet za nami ruszył
On, spoważniały,
By nie słyszeć już jak mruczy
Cielę wśród pól wygrzanych
I więcej imbryka śpiew
Nie wleje mu spokoju w pierś
W korcu owsa ostatni raz
Słyszy mysich pląsów gwar.

Ludzkie dziecię rusza z nami,
Gdzie ostępy i moczary
Śladem nas, co znamy czary,
I porzuca świat cierpienia
w którym nie masz żadnej miary.

Z tomu ***Rozdroża*** (1889)
przeł. Aleksandra Wieczorkiewicz

Bibliografia
Barrie J. M., ***Peter Pan in Kensington Gardens***, Londyn 1906.
Bell M., ***Literature, modernism and myth. Belief and responsibility in the twentieth century***, Nowy Jork 1977.
Białczyński Cz., ***Stworze i zdusze, czyli starosłowiańskie boginki i demony***, Kraków 1993.
Choiński M., ***Czy „fairies" to „elfy"? – czyli krótka wyprawa do irlandzkiego świata magii.*** „Przekładaniec" 2006, nr 1, s. 162–170.
Konopnicka M., ***O krasnoludkach i o sierotce Marysi,*** il. J. M. Szancer, Poznań 1990.
Krajewska W., ***William Butler Yeats***, Warszawa 1976.
Leśmian B., ***Poezje zebrane***, oprac. A. Madyda, wstęp M. Jakitowicz, Toruń 2000.
Miłosz Cz., ***Historia literatury polskiej***, przeł. M. Tarnowska, Kraków 1992.
Yeats W. B., ***Fairy and Folk Tales of the Irish Peasantry***, Nowy Jork [bez daty wydania].
Yeats W. B., ***Poezje wybrane***, przeł. L. Marjańska, Warszawa 1987.
Yeats W. B., ***The Collected Poems***, Nowy Jork 1944.
Yeats W. B., ***Wyspy na jeziorze***, przeł. L. Engelking, Kraków 1988.

Źródła internetowe:
Goethe J. W., ***Król elfów***, przeł. W. Szymborska: http://www.wiersze.annet.pl/w,,10636 [data dostępu: 6 lipca 2018].
Yeats W. B., ***Skradzione dziecko***, przeł. B. Dziedzic. „Akant" 2016: http://akant.org/23-aktualny-numer/poezja/5223-w-b-yeats-skradzione-dziecko-przel-barbara-dziedzic [data dostępu: 7 lipca 2018].
Yeats W. B., ***Dziecko wykradzione***, przeł. W. Domagalski: http://forum.mlingua.pl/showthread.php?t=39 [data dostępu: 7 lipca 2018].

Daniela Léharova (Praga)

Vlasta Dvořáčková

27 II 1924 – 14 III 2018

czeska poetka, tłumaczka literatury polskiej,
laureatka Nagrody Transatlantyk

Niełatwo przychodzi mi pisać o Vlastičce – tak do niej i o niej mówili jej czescy przyjaciele. Zdrobnienie pewnie było wyrazem nie tylko przyjaznego stosunku do niej, lecz (może podświadomie) wizualnego wrażenia – Vlastička była po prostu niziutka.

Pamiętam, jak mi raz opowiadała o swoim dzieciństwie: dzieci wtedy chodziły do szkoły z dużymi skórzanymi torbami na plecach, a Vlastička była taka malutka, że niektórzy ludzie się z niej śmiali, bo wyglądała jak tornister na nóżkach. Wtedy było jej przykro, będąc dorosłą kobietą, już tym sobie nie zawracała głowy. Po studiach polonistycznych czekała ją praca w wydawnictwach, z niedługą przerwą, kiedy pracowała jako „wolny strzelec", dom, dwójka dzieci. Do tego dochodził wielki talent literacki, który podczas długiego życia pozwolił jej pisać, tłumaczyć oraz redagować teksty innych tłumaczy w takich ilościach i na tak wysokim poziomie, że można tylko pozazdrościć. Tylko że Vlastičce chyba nie zazdrościł nikt, bo była człowiekiem obdarzonym nie tylko wieloma talentami, ale też wyjątkowymi cechami charakteru: bardzo serdeczna, prawdomówna, życzliwa, łaskawa, skromna, uśmiechnięta, niezwykle pracowita. Nie lubiła plotek ani mocnych słów, nigdy o nikim nie mówiła źle i kiedy ją zapytano o kogoś, kogo nie lubiła, odpowiadała, że woli o nim nie mówić.

Była nie tylko świetną tłumaczką przede wszystkim literatury polskiej (tłumaczyła też z angielskiego, z niemieckiego), lecz poetką, autorką bajek oraz słuchowisk radiowych; trzeba wymienić też jej owocną pracę redakcyjną, głównie w słynnym praskim wydawnictwie Odeon, w którym opiekowała się literaturą polską. Dvořáčková udostępniła czeskim czytelnikom wiersze swoich polskich rówieśników, ale tak samo świetnie potrafiła przetłumaczyć poezję autorów starszych (Czechowicza, Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej – wybór jej wierszy pt. *Profil bílé dámy* to czeska Pawlikowska!), doskonale poradziła sobie z Leśmianem, Mickiewiczem, poetami baroku czy z poezją ludową (wybór *Paní pána zabila*). Jednakowo dobrze dawała sobie radę z tłumaczeniami prozy Sienkiewicza, Żeromskiego, Iwaszkiewicza czy młodszych: Głowackiego lub Redlińskiego albo twórczością dramatyczną (m.in. Różewicza). Na jej translatorskim koncie widnieją dziesiątki polskich książek, którymi od lat pięćdziesiątych, właściwie do końca życia, wzbogacała czeską kulturę.

Obecnie jest w Polsce niewielu ludzi, którzy Vlastę Dvořáčkovą osobiście znali. Nie żyje Adam Włodek, który przygotował pierwszy polski wybór jej wierszy pt. *W nocy pod tęczą*, wydany w 1977 roku (w dwadzieścia lat po jej czeskim poetyckim debiucie, zbiorku *Větrný den – Wietrzny dzień*) przez Wydawnictwo Literackie. Nie żyje Wisława Szymborska, jej serdeczna przyjaciółka, której wiersze Dvořáčková tłumaczyła od młodości. Były sobie tak bliskie, że Szymborska zaprosiła ją na uroczystość wręczenia nagrody Nobla. Nie żyje Tadeusz Różewicz, nie żyją Czesław Miłosz, Zbigniew Herbert…

Poznałam ją podczas moich studiów polonistycznych w ówczesnym Ośrodku Kultury Polskiej, gdzie odbywało się sporo spotkań z polskimi pisarzami, pokazów filmowych, wystaw oraz innych wydarzeń kulturalnych. Wtedy oczywiście nasza znajomość była tylko powierzchowna. Dopiero później, pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy kończyłam studia i Vlaście Dvořáčkovéj zbliżał się czas przejścia na emeryturę, doszło do naszego bliższego poznania. W Odeonie wtedy istniał – bardzo nietypowy jak na czasy socjalizmu – zwyczaj, że redaktorzy przechodzący na emeryturę wybierali swojego następcę (Odeon był jedynym czeskim wydawnictwem, w którym istniał samodzielny etat dla redaktora-polonisty). Vlasta Dvořáčková wybrała i poleciła odeońskim zwierzchnikom mnie. Sporo rzeczy mnie nauczyła (cóż ja po studiach wiedziałam o pracy redakcyjnej, redagowaniu czy korektach – nic!), szybko zaprzyjaźniłyśmy się. Wtedy już mieszkała we własnym domu z ogrodem – jak na praskie warunki pokaźnym – w którym stała drewniana altanka. Właśnie w niej spędzałyśmy od wiosny do jesieni wiele czasu, nie tylko przy pracy, ale i przy winie, kanapkach i słodyczach, mówiąc o literaturze, o życiu, o wszystkim, co nas interesowało…

Przyjaźniłyśmy się dziesiątki lat: brakuje mi jej i będzie brakować. Vlastička, taki pogodny, mądry, dobry duszek, jedna z moich najlepszych przyjaciółek, pozostanie w mojej pamięci jako wyjątkowa kobieta, kochająca ludzi oraz literaturę polską.

Daniela Léharova | ur. 1954 w Pradze. Tłumaczka i popularyzatorka literatury polskiej w Czechach, redaktor Wydawnictwa Odeon oraz Biblioteki Słowiańskiej, współpracowniczka Ośrodka Kultury Polskiej w Pradze.

Jacek Wojciechowski

Babczenko

Arkadij Babczenko, „Wojna"

Wyd. 4. Moskwa: Alpina-non-fiction, 2018

Arkadij Babczenko | ur. 1977, rosyjski dziennikarz i prozaik.

Kilka miesięcy temu obiegła świat szokująca wiadomość o zamordowaniu w kijowskim mieszkaniu rosyjskiego dziennikarza, Arkadija Babczenki, przez – co wydawało się oczywiste – agenta rosyjskich służb specjalnych. Nikt nie miał wątpliwości. Przeciwnie: mnożyły się głosy potępienia. Jednak wkrótce okazało się, że delikwent jest cały i zdrowy, a cała ta hucpa była tylko wybrykiem ukraińskich specsłużb.

Mniej więcej piętnaście lat temu w Rosji i na świecie rozpoznano Babczenkę jako demaskatora wojennych okrucieństw w Czeczenii – niektórzy sugerują, że wojen w ogóle, ale mam inne zdanie – a później jako dziennikarskiego dysydenta. Za granicą tłumaczono to, co napisał, oraz licznie nagradzano i generalnie traktowano jako antyputinowca. Dlatego tak łatwo mizerną bajkę ukraińskich służb specjalnych uznano za prawdę.

Tym samym zresztą, niejako przy okazji, został przypomniany jego głośny, chociaż ilościowo skromny, dorobek pisarski. W Polsce przełożono pierwszą książkę Babczenki: powieść w nowelach *Dziesięć kawałków o wojnie. Rosjanin w Czeczenii* (tłum. Karolina Romanowska; WAB, 2009). Oryginał *Diesiat' serii o wojnie* ukazał się w 2002 roku i szybko doczekał się zagranicznych tłumaczeń, w angielskiej wersji jako *One soldier's war in Chechnya*. Później wydał Babczenko jeszcze tomy opowieści *Bożij czełowiek* (2005) oraz *Ałchan-Jurt* (2006). Ten ostatni, razem z pierwszym, złożył się następnie na wspólny tom *Wojna*.

Reakcje światowej krytyki i w ogóle mediów były wówczas entuzjastyczne. Być może również dlatego, że akurat nastała moda na wzmożoną antyrosyjskość. Uznano ponadto Babczenkę za współkreatora nowego wariantu wojennej prozy – chyba przedwcześnie oraz przesadnie – a także za demaskatora rosyjskiej praktyki wojenno-mocarstwowej. Swoją drogą, gdyby nie chodziło o Rosję, to zapewne słabsza byłaby tonacja pochwał i zdecydowanie mniejsza skala przyznanych autorowi zagranicznych nagród. Chociaż dla przyzwoitości dopowiem, że pierwszą w łańcuszku wyróżnień była rosyjska nagroda „za odwagę w literaturze".

Jego debiutancka książka zyskała i u nas wysokie uznanie ekspertów. Ustawiono Babczenkę na podium najwybitniejszych literackich kontestatorów wojen czeczeńskich. Nieco na wyrost, powtórzę, jakkolwiek swoje wartości ta proza ma.

Trudno jednak o przyrównanie do wspaniale metaforycznej i głęboko refleksyjnej powieści Władimira Makanina *Asan* (przeł. Jerzy Redlich; Poznań: DW REBIS, 2009), albo do paranej i wstrząsającej prozy Zachara Prilepina *Patologie* (przeł. Małgorzata Buchalik; Wołowiec: Wyd. Czarne, 2010). Samo zaś złożenie dwóch zbiorów opowiadań Babczenki w jeden wspólny tom *Wojna* ujawnia niejaki regres weny oraz pisarskiej pomysłowości, postępujący z biegiem czasu. Oby więc nie okazało się (bo nieraz tak bywa), że oto pojawił się autor jednej dobrej książki, do której już potem dorównać nie jest w stanie.

Babczenko – później ukończył studia prawnicze – jako osiemnastolatek trafił do wojska z poboru i od razu znalazł się w Czeczenii. Ale na drugą wojnę czeczeńską zaciągnął się już z własnej woli, jako podoficer kontraktowy. Dopiero potem nabrał wstrętu do tamtych zdarzeń i zaczął je parafrazować w dramatycznej przekładni.

Publikowane w związku z tym teksty wyrobiły mu opinię dysydenta, chociaż nie był nim od początku, a jako dziennikarz publikował relacje rozmaite: także korespondencje z Gruzji oraz z Kirgistanu. Atmosfera wokół niego, wzmagana zainteresowaniem zagranicznych mediów oraz międzynarodowymi nagrodami, zagęszczała się jednak stopniowo i w Rosji zaczął być źle przez władze postrzegany. W 2017 roku wyjechał razem z rodziną do Czech, następnie do Izraela, a w końcu osiadł w Kijowie, gdzie podjął pracę w prywatnej telewizji ATR. No i tam doszło do pseudozamachu.

Sugerowano, że ze względu na wątki czeczeńskie w Rosji rzeczywiście grozi mu niebezpieczeństwo. W końcu Anna Politkowska też demaskowała okropności czeczeńskiej wojny i została zamordowana. Ale to złe porównanie. Skala zdarzeń oraz ranga osób były zupełnie odmienne.

Prawda jest zaś taka, że na Babczenkę złożył donos docent historii (?) Borys Jakiemienko – lider proklemlowskiego młodzieżowego korpusu prawosławnego *Nasi* – w sprawie rzekomego nawoływania do masowych demonstracji antyrządowych. Moskiewska prokuratura wszczęła postępowanie, więc w obawie przed represjami Babczenko wyjechał z Rosji.

Swoją drogą, w oderwaniu od pisarstwa, Babczenki nie otoczyła nić sympatii. Już raczej przeciwnie.

Zwłaszcza jego zgoda na udział w pozorowanym zabójstwie, wywołała szok. Ponieważ rodzina nie miała pojęcia, że to lipa. Co warte było jej psychicznego wstrząsu i traumy na lata? A z okresu wcześniejszego wyłania się rozdźwięk pomiędzy autorską obstrukcją wobec wojen czeczeńskich i jego dobrowolnym akcesem do powtórnego w nich udziału. Świeżo zaś nieufność budzi nadmiar rozmaitych nagród, ewidentnie propagandowo-politycznych, zamiast waloryzujących. Ostatnio wywołał Babczenko wściekłość mediów oraz furię dziennikarzy żądaniem zawrotnych honorariów za ewentualnie udzielane wywiady. No i jeszcze są sugestie (jakkolwiek tylko rosyjskie), że role demaskatora oraz dysydenta wywodzą się głównie z opinii zewnętrznych, a nie z jego przekonań własnych.

Tom *Wojna*, ulepiony z dwóch wcześniejszych książek Babczenki, składa się z autonomicznych opowiadań, powiązanych wspólnym zakresem problemów oraz miejscem fabularnych (i rzeczywistych) zdarzeń. Nie ma tam narracyjnej chronologii, ale to w czytaniu w żaden sposób nie przeszkadza. Natomiast łatwo rozpoznać, że druga część tomu pochodzi z drugiej książki autorskiej, bowiem pomieszczone w niej opowieści są przeważnie słabsze. Niektórym w ogóle brakuje literackiego naddania: są czysto publicystyczne.

Całkowicie zaś poniżej poziomu prezentuje się nowelka *Ałchan-Jurt*, zbudowana z dialogów, zresztą banalnych, truistycznych i pustych. Jednak, co gorsze, wygląda na to, że chodziło w niej głównie o zapełnienie możliwie dużej przestrzeni grafemami. Oto bowiem liczne „wypowiedzi" na całą linijkę zawierają tylko znaki: – ? albo – ! To bardzo psuje dobre wrażenie, pozostawione przez opowieści poprzednie.

Na pewno rację mają opiniodawcy, sugerując, że w opowiadaniach Babczenki zawiera się wstrząsający obraz wojny, jej skrajnego okrucieństwa i całkowitego bezsensu. Mam jednak przekonanie: nie wojny w ogóle, lecz konkretnie tych (obu) wojen czeczeńskich. Dopowiem też, że skrajne, bezgraniczne okrucieństwo jest w tym tomie udziałem głównie Czeczenów. Rosjanie w takim kontekście pojawiają się rzadko. Chyba że znęcają się sami nad sobą, ale to jest czarny wizerunek soldateski jako takiej, do pewnego stopnia uniwersalny – lecz jednak nie antywojenny manifest.

Rosyjskim wojskowym natomiast autor częściej przypisuje nieporadność, głupotę, oraz tchórzostwo (masowe dezercje). I kompromituje tę armię sugestiami, że oficerowie to banda nieudolnych pijaków, elitarne formacje specnazu zaś składają się nie z patriotów, lecz z żądnych szmalu kondotierów. Jest też sygnał, że wśród piechoty znalazło się wielu przestępców, którzy uciekli przed wyrokami, nastawionych na rozszabrowanie tego, co jeszcze pozostało w zrujnowanych czeczeńskich miasteczkach i wsiach. No więc na pewno taki wizerunek armii nie wszystkich w Rosji zachwycił.

Owszem: przez opowieści nieustannie przewijają się sygnały nieprzemijającego strachu, powtarzają się marzenia o ucieczce do normalnego życia oraz padają deklaracje, że nikt nie rozumie sensu tego wojowania. Które według rządowej propagandy miało uchodzić za przejaw patriotycznego heroizmu.

Takie wykładnie tej prozy mogłyby satysfakcjonować. Jednak jest kłopot: zostały mianowicie wyrażone w formie dziennikarskiej publicystyki, a nie przez odliteracką metaforykę lub choćby w postaci sfabularyzowanej refleksji. W rezultacie siła ekspresji okazuje się mniejsza i poziom emocji opada.

Tylko niektóre z tych opowieści – pojedyncze sceny, obrazy i wątki – robią w lekturze mocne wrażenie i skłaniają do przemyśleń. Owszem, są i takie, lecz jednak niewiele. W syntetycznym ujęciu wygląda to tak, że w pewnym momencie poddał się Babczenko rozpętanej wokół niego wrzawie i wpadł w spiralę zdyszanego, nadmiernie szybkiego pisania, a to jest w literaturze grzech ciężki.

Szczególnie ekspresyjne są wątki, skupione wokół wewnątrzwojskowych praktyk, niewyobrażalnie okrutnych – kiedy to starsi żołnierze i oficerowie na okrągło znęcają się i torturują rekrutów oraz żołnierzy młodszych. I wprawdzie podobnych relacji jest sporo w światowej literaturze oraz w filmografii, ale odraza nie jest przez to mniejsza.

Poza tym u Babczenki dużą rolę gra kontekst. Otóż autor zestawia te obyczaje z powszechnym w tamtejszej armii pijaństwem, bałaganem, niechlujstwem oraz z wszechobecną kontrabandą. Dochodzi bowiem nawet do sytuacji, że rosyjscy żołnierze sprzedają Czeczenom amunicję, której tamci później używają, kiedy do nich strzelają. Jak wszystko to połączy się razem, impresja rzeczywiście jest wyjątkowo ponura.

Szokujące są również niektóre detaliczne opisy zabijania i torturowania. Z tym jednak, że wojna – powiada Babczenko – nie jest klarownie czarno-biała. Z jednej strony wyzwala to, co w człowieku najgorsze, oraz deformuje charaktery (rekruci to wszak osiemnastoletni smarkacze), lecz jednocześnie tak bardzo zniewala, że potem bez niej nie wiadomo jak żyć.

Niektóre autorskie relacje mają charakter dziennikarsko-reportażowy, trochę wobec literackiej formy obcy. Ale z drugiej strony, być może właśnie dlatego (na zasadzie „coś z życia") nabierają dodatkowej ekspresji. Jak choćby te o matkach, szukających po całej Czeczenii zwłok swoich poległych synów. No bo tak było naprawdę. Na prawdziwy – a więc nie sentymentalny – wygląda też (przywołany) list dziewczyny do żołnierza: „wracaj, choćby nawet bez rąk i nóg".

Tak więc Babczenko, jeżeli się spręży, potrafi poruszyć i wzruszyć oraz dać do myślenia. Na przykład zestawiając żołnierskie cmentarze i obeliski, które różnią się tylko charakterystycznym szczegółem. Na jednym są prawosławne krzyże, a na drugim – półksiężyce. Oraz jeszcze taka oto scena. Na pobojowisku leżą dwie martwe czeczeńskie snajperki, przy czym wiadomo, że obydwie to Rosjanki. W jednej z nich rosyjski żołnierz rozpoznaje sąsiadkę ze swojego bloku. A nad obiema przystaje rosyjska sanitariuszka: wygląda jak bliźniacza siostra.

Niejako dla przeciwwagi znalazłem również obrazek pogodny (ale tylko jeden). Przez pole minowe idzie młody lekarz, pod rękę z młodą sanitariuszką. Oboje wpatrzeni w siebie

i nieświadomi, gdzie są. Ale, inaczej niż w całym tomie, los jest łaskawy: żadna mina nie wybucha.

Mówiąc najogólniej, nie mam wątpliwości, że pisarstwo Babczenki zasługuje z wielu względów na uwagę – nawet jeżeli nie całe. Ponieważ zaś pierwsza z jego książek istnieje już w wersji polskiej, stosowna rekomendacja wydawałaby się nie od rzeczy. Ale po przejrzeniu katalogów wielu naszych bibliotek publicznych, nie widzę w tym najmniejszego sensu. Bo tej książki (prawie?) nigdzie w naszych bibliotekach nie ma! Rusofobia w stanie czystym? Naczelny kanon bibliotekarstwa – żeby gromadzić i upowszechniać możliwie rozlegle globalne dokonania intelektualne, także literackie – w tym wypadku omsknął się po brzytwie.

Ponad pół wieku temu, kiedy Miczurin uchodził za uczonego, a na kartki była nawet wódka, w książki rodem z Moskwy oraz z Leningradu nasze biblioteki zaopatrywano w pierwszej kolejności. Obecnie natomiast ta kolejność jest zupełnie odwrotna. Najwidoczniej bez skrajności nie da się żyć.

Jacek Wojciechowski | filolog, bibliotekoznawca, krytyk literacki.

Kamil Pecela

Inne historie

Kamil Pecela | pracownik naukowy Pracowni Kultury Litwy Uniwersytetu Jagiellońskiego; tłumacz z języka litewskiego. Przełożył m.in. P. Kępińskiego, H. Kunčiusa, *Rozmowa Litwina z Polakiem*, Wrocław 2015.

Zapomnieć – to wygodne i ludzkie. Arcyludzkie.
Leonidas Donskis

Są miasta, których poznanie wymaga zaopatrzenia się w wiele map i zatrudnienia wielu przewodników, wysłuchania – z uwagą i niedowiarstwem – wszystkich, a potem wyruszenia w samotną wędrówkę, pozwolenia, aby własna wyobraźnia odpowiedziała na pytania, opowieści, krzyki, skargi, uśmiechy i anegdoty żywych oraz zmarłych ludzi wypełniających ulice. Ta wielka gmatwanina i natężenie utrudniają stworzenie jednolitego obrazu albo jednolitej opowieści. Żadne miasto, zwłaszcza takie jak Wilno, nie jest jednorodne. I nie potrzebuje, ponieważ różnorodność to być może najważniejszy z przejawów jego dziedzictwa i charakteru.

Z tych samych powodów trudno Wilnem zawładnąć. O ile jest to cecha pożądana przez wędrowców, o tyle każda władza, z natury swej stawiająca na jednolitość i pielęgnująca przekonanie swoich poddanych o tym, że nie ma alternatyw, musi z różnorodnością walczyć. Wystarczy jedna stosunkowo poprawna mapa i jeden wykształcony zgodnie z programem państwowej szkoły przewodnik, który zna nie więcej jak dwa języki, wyłączając język oprowadzanego. Relacja przewodnika koniecznie musi pokryć się z nielicznymi obiektami zaznaczonymi na oficjalnej mapie. Jedyny margines swobody to wrażliwość na wytyczne płynące z Ministerstwa Prawdy. O reszcie trzeba milczeć, aż nie zniknie w zapomnieniu.

Na szczęście nigdy nie udało się zupełnie zrealizować tego mrocznego scenariusza, ludzie zapominają samoistnie. Nikt na przykład – tak się przynajmniej zdaje – nie pamięta o szkole dla dziewcząt im. Królowej Jadwigi w Wilnie. Poza Kristiną Sabaliauskaitė. To ona w opowiadaniu *Juodieji Franko perlai* (*Czarne perły Franco*, ze zbioru *Danielius Dalba ir kitos istorijos* [*Danielius Dalba i inne historie*]) wywołała z niepamięci tę szkołę z nieistniejącej ulicy św. Anny w nieistniejącym polskim Wilnie. Autorka trzy lata temu podbiła serca polskich czytelników powieścią *Silva rerum*, a już wkrótce – zgodnie z zapowiedzią Wydawnictwa Literackiego – zechce ten czyn powtórzyć. Jednym z atutów pisarstwa Sabaliauskaitė jest wizja historii, czy raczej sposób uczestnictwa w niej i jej odgrywania. Opowiadania ze zbioru *Danielius Dalba i inne historie* nie są kontynuacją ani uzupełnieniem opowieści z *Silva rerum*, ale realizują ten sam projekt i wynikają z tej samej wrażliwości, w której Leonidas Donskis upatrywał największej siły

Kristiny Sabaliauskaitė. W oczekiwaniu na kolejną część sagi rodu Narwojszów warto ten projekt przypomnieć.

W wydanej w 2015 roku książce *Užmaršties amžiaus siužetai* (*Tematy wieku zapomnienia*) litewski filozof poświęcił pisarstwu swojej rodaczki dwa teksty. Sama książka to zbiór esejów, które w taki lub inny sposób łączy szczególna dialektyka: zapominanie i niepamięć jako polityka i strategia władzy oraz przypominanie i pamiętanie jako metody walki z dehumanizacją, jaka spotyka jednostkę w naszych czasach. Autor stawia diagnozę dzisiejszej rzeczywistości, gdzie globalna ekonomia, nowe media, rozwój technologii w efekcie doprowadzają do stopniowej utraty władzy przez świat polityki, lecz także stanowią zjawiska zagrażające ludziom zarówno w jednostkowym, jak i w społecznym wymiarze. Uprzedmiotowienie, poddanie kontroli i odarcie z prywatności, determinizm i fatalizm – zjawiska nie po raz pierwszy będące przedmiotem analiz Donskisa –stanowią tło dla rozważań o pamięci i historii. Perspektywę wyznaczają najważniejsze zjawiska najnowszej historii Litwy, nic zatem dziwnego, że znalazły się tu również refleksje poświęcone fenomenowi twórczości Kristiny Sabaliauskaitė.

W eseju *Suvenyrinės atminties ir istorijos alternatyva* (*Alternatywa pamięci i historii pamiątkowej*) Donskis jako przyczynę braku dobrej powieści historycznej na Litwie wskazuje fakt, że litewska historia nie uczestniczy w litewskiej teraźniejszości. Autor twierdzi, że historia przybrała charakter pamiątki, która jest substytutem i kłamstwem, mającym łagodzić dysonanse. Natomiast brak historii jako doświadczenia, które ma egzaminować dzisiejszą tożsamość. Nie jest ona przestrzenią moralnego wyboru, która pomagałaby zrozumieć teraźniejszość – stanowi raczej zbiór wygodnych i przyjemnych wspomnień, z których wyłączane są (również na drodze naukowej izolacji) fakty budzące niepokój, nieprzyjemne i niewspółgrające z pozytywnym obrazem własnego ja. Z tej perspektywy Wilno staje się miastem bez pamięci, ponieważ wyjaśnienie jego współczesności utrudnia różnorodna i wielokulturowa historia. Dlatego jest ona ignorowana oraz poddawana procesom amnezji i anestezji, po których przyjmuje odpowiednią formę, aby stać się czynnikiem w politycznej grze. Wobec bogactwa litewskiej historii to dotkliwa utrata.

Publikacja *Silva rerum* zmusiła Leonidasa Donskisa do ponownego przemyślenia swojej diagnozy. Oto bowiem pojawiła się wizja dziejów Litwy, która ponownie łączy ją z historią Europy. Sabaliauskaitė opowiada o dawnych czasach z perspektywy rodziny, a o rodzinie z perspektywy rzeczy, jakie ją otaczały. W świecie, gdzie wydarzenia z przeszłości sprowadzone są do suwenirów, z których pola semantycznego wymazano wszelkie kłopotliwe znaczenia i opatrzono płytkimi sentymentami, pojawia się utalentowana pisarka, umiejąca odwrócić ten proces. Z racji swojego wykształcenia, bogatej wyobraźni oraz – przede wszystkim – wrażliwości i empatii potrafi dostrzec za pojedynczymi przedmiotami ludzi, ich emocje i losy oraz historię, jaką tworzyli i w jakiej uczestniczyli. Nie unika przy tym rzeczy kontrowersyjnych czy wręcz negatywnych, dzięki czemu przywraca przeszłości jej zadanie moralnego zobowiązywania teraźniejszości. Potrafi odnaleźć odpowiednie proporcje między dystansem niezbędnym dla dobrej literatury i intymnością, bez której trudno oddziałać na czytelnika. Efektem jest opowieść – przeciwieństwo opisu – dzięki której historia ze swoim „egzaminem z etyki" na powrót staje się utożsamieniem ufundowanym na głębokim odczuciu losu innego człowieka, a nie elementem gry władzy. W eseju *Lietuva jaunos moters ir seno žydo akimis* (*Litwa w oczach młodej kobiety i starego Żyda*) Donskis zajmuje się zbiorem *Danielius Dalba ir kitos istorijos*. Dostrzega kontynuację projektu wynikającego z autorskiej interpretacji *Silva rerum*. Na poziomie poetyki tekstu powraca znana z powieści barokowość. W jego ocenie ważniejsza jest tu jednak o wiele bardziej rozbudowana polifoniczność. Jeśli spojrzeć na opowiadania jako całość, jawi się ona jako chór złożony z wielu różnych, niewspółmiernych głosów, których celem jest wyśpiewanie Wilna (jego: historii? charakteru? ducha?). Współczesna Litwa w wielowarstwowych opowiadaniach Sabaliauskaitė widziana jest z perspektywy ludzi różnej narodowości, płci, wieku, statusu społecznego i historii osobistej, przy czym autorce udaje się uniknąć fragmentaryczności i „puentylizmu", który może być postrzegany jako jeden z zabiegów „suweniryzujących" pamięć i historię. Donskis ocenia możliwość odnalezienia się w cudzej skórze jako jedną z najważniejszych zalet tomu, wynikających z wrażliwości autorki (wrażliwości wileńskiej). Może to lepszy niż emigracja sposób na uniknięcie jednej, jedynie słusznej – zaprojektowanej gdzieś jako litewska – i postrzeganej jako prowincjonalna, tożsamości? Jej fatalizm, a raczej jego krytyka, jest wątkiem łączącym opowiadania. Jeśli drogą do wpojenia ludziom przeświadczenia o niemożności wyboru jest między innymi odrzucenie Innego jako elementu własnej historii i tożsamości, izolacja, wykluczenie, rezygnacja z dialogu, zniszczenie indywidualizmu, twórczości i wrażliwości, uniformizacja, czy posłuszeństwo w odgrywaniu narzuconej roli, to opowiadania Kristiny Sabaliauskaitė są odważnym gestem sprzeciwu.

W ten sposób litewski myśliciel dostarcza aparatu, albo przynajmniej ramy czy perspektywy, dzięki której teksty Sabaliauskaitė odsłaniają swoje znaczenie nie dość, być może, widoczne z brzegu Wisły. Szczególnie istotne wydają się refleksje oscylujące wokół tego swoistego urzeczowienia postaci, zjawisk i wydarzeń historycznych prowadzących do atomizacji historii i zamiany jej w zbiór przypadkowych (przynajmniej z perspektywy tego, któremu się taki obraz narzuca) suwenirów.

Zjawisko to wydaje się pokrewne używanemu przez Donskisa gdzie indziej – i zaczerpniętemu ze słownika Zygmunta Baumana – pojęciu adiaforyzacji. Operacja ta polega na uznaniu pewnych cech danego fenomenu za nieistotne z moralnego punktu widzenia, dzięki czemu dochodzi do jego neutralizacji, uznaniu za relatywnie nieistotny. Można go wówczas używać nawet w kontekstach moralnie podejrzanych, a już na pewno w grze politycznej.

Historię szkoły żeńskiej im. Królowej Jadwigi w polskim Wilnie można by na przykład zneutralizować (jeśli złośliwie upatrywać w tym starań czyjejś woli, a nie – jak prawdopodobnie sprawy się mają – działania równie przerażającego i przejmującego smutkiem „tradycyjnego" zapomnienia), sprowadzając ją do jednej, pochodzącej z drugiej połowy lat trzydziestych fotografii żeńskiego chóru uczennic tej szkoły: bladych, szczupłych dziewcząt w ciemnych mundurkach i dziecięcych nadal – choć we własnych oczach są już kobietami – fryzurach.

Takie zdjęcie może tylko wywoływać ciekawość zabarwioną nostalgią. Jest uwięzionym w archiwum zjawiskiem, nieuczestniczącym w dzisiejszym życiu miasta. Choć stanowi jego część, jest zaledwie odsyłaczem do miasta innego, niewidzialnego, do którego dostęp mają tylko przewodnicy zza grobu i które można odnaleźć jedynie na specjalnych mapach. A losy dziewczyn ze zdjęcia nie mogą już nikogo poruszyć.

Choć Leonidas Donskis nie zajmował się bezpośrednio opowiadaniem *Czarne perły Franco*, intuicja podpowiada mi, że mogłoby być ono dobrą ilustracją jego obserwacji. Kristina Sabaliauskaitė niczym imażynistka albo autorka filmowego scenariusza rozpoczyna budowę utworu od pojedynczych obrazów, które bardzo szybko przestają być jedynie literackim artefaktem: pocztówką z polskiego Wilna, suwenirem z międzywojnia. Kiedy uczennice szkoły im. Królowej Jadwigi wychodzą poza kadr, aby zapalić papierosa, wyobraźnia i wrażliwość autorki wypełnia je życiem i każe ponownie odegrać swoje historie: te małe, osobiste, wypełnione życiem rodzinnym, planami i marzeniami czy pierwszymi romansami albo tęsknotami za nimi, ale też te duże, będące udziałem całej polskiej społeczności miasta, boleśnie od niego odrywanej, uwikłanej w skomplikowane sąsiedzkie relacje oraz prześladowanej przez głównych aktorów II wojny światowej. Autorka w wiarygodny sposób ożywia ten świat. Używa polskich słów i określeń, odtwarza polską topografię Wilna, przypomina historyczne zjawiska, które miały istotne znaczenie dla wileńskich Polaków – od dogasającego kultu marszałka, po rodzący się kult Miłosierdzia Bożego, czy nawet kanony zachowań. Przy czym, zarysowując tło, nie zapomina o rzeczy najważniejszej – konkretnym życiu swoich bohaterek. Dlaczego właśnie one? Ponieważ zarówno fotografia, jak i wybuch wojny zamroziła je na progu dojrzałości, uwięziła w niewinności, uniemożliwiła i odebrała najwspanialsze doświadczenia młodości, których żaden człowiek nie powinien być pozbawiony. Skazane na chaos domysłów patrzącego na zdjęcie i chaos II wojny światowej nie poznały innej miłości niż miłość czasów zarazy i przeżywały przygody pozbawione czaru znanego im z awanturniczych romansów XIX wieku (subtelna gra autorki z powieścią *Czarna perełka* Kraszewskiego jest jednym z bardziej urokliwych komplementów dla polskiego czytelnika – należy wierzyć, że opowiadanie się go doczeka – wypełniających ten utwór). Znaczenie empatycznego gestu Kristiny Sabaliauskaitė to odwrócenie „suweniryzacji". Zreifikowana, zadiaforyzowana, aseptyczna niewinność zostaje ponownie ożywiona, a możliwość jej utraty, a więc uczestnictwo w życiu, obecność zachowana. Dzięki temu do chóru postaci pozostałych opowiadań zbioru dołącza polski głos chórzystek Królowej Jadwigi. Autorka niczym medium oddaje swój (litewski) głos innym ludziom, podobnie jak sto lat przed nią czynił to Jonas Biliūnas i jak dwie dekady temu zrobiła to Onutė Narbutaitė w oratorium *Centones Meae Urbi* (które niedawno można było usłyszeć w Krakowie).

Inne podmioty mojej historii – to wyrażenie nie wydaje się tak bardzo paradoksalne w kontekście twórczości Kristiny Sabaliauskaitė. Zwłaszcza kiedy pamięta się o patchworkowej naturze szlacheckich sylw, z którymi pokrewieństwo cyklu powieściowego Litwinki czasem się podkreśla. Sylwy bowiem niekoniecznie były efektem działania jednego podmiotu i tylko z trudem ich elementy dawały się układać w jednolitą, spójną narrację. Łatwiej z nich wyczytać historię rodziny, domu, lokalności, a nawet narodu, a trudniej osoby. Uwagi Donskisa wydają się bardziej przenikliwe niż zestawienie *Silva rerum* z sylwami. Kristina Sabaliauskaitė reinterpretuje zasadę sylwiczności. Nie tworzy ona „na gorąco", nie zestawia przypadkowo i „okolicznościowo" skrawków historii. Raczej rzucona w las rzeczy rozumianych dosłownie – jako przedmiotów godnych uwagi historyczki sztuki – albo przenośnie – jako uprzedmiotowionych, zdehumanizowanych żywotów – przywraca należne im miejsce w historii, wplatając je w fabułę (rzecz obcą sylwom) ożywianą przez wrażliwość i wyobraźnię. Metoda Sabaliauskaitė bliższa jest może eksperymentom Alaina Robbe-Grilleta, który zmuszał przedmioty do ruchu, aby opowiadały o ludziach i wydarzeniach (choć cele, natura i wrażliwość pozostają różne), jest bliższa eksperymentom niż brakowi metody sylw, w których ludzie i wydarzenia sprowadzają się do nieukładających się w całość, przypadkowych zapisków. Z kolei narratorowi Sabaliauskaitė bliżej wszechwiedzącym narratorom historycznych powieści z XIX wieku niż wszech-i-wiecznie-nie-wiedzącemu „narratorowi" sylw. Najbliższym chyba związkiem *Silva rerum* z sylwiczonością jest to, co celnie podkreśla Piotr Kępiński: powieść bez szkody można czytać „wyrywkowo, komplementarnie albo wręcz chaotycznie". Kwestią wyobraźni łasej na intelektualne szarady i mającej czas na gdybanie jest to, jak wyglądałyby powieści *Silva rerum*, gdyby autorka istotnie i bez refleksji nadała sylwiczną naturę strukturze tekstu, jej fabule, psychologii postaci... I czy miałaby wówczas szansę bić rekordy popularności, chwytać za serce czytelników w kilku krajach i wpływać na ich rozumienie historii?

Należałoby wreszcie – odwagi! – poruszyć jeszcze jeden problem. Jak w świetle tej wynikającej z refleksji Donskisa interpretacji wygląda „polski aspekt" twórczości Sabaliauskaitė? Czy bez długich, naukowych wyjaśnień, które grożą pominięciem etycznego wymiaru sprawy, da się utrzymać tezę, że litewska pisarka napisała powieść historyczną dotyczącą „polskiej historii Litwy" i „polskich korzeni Wilna", a nie po prostu powieść z historii Litwy? Czy można bez zająknięcia powiedzieć, że sensem, choćby nawet nie pierwszorzędnym, opowiadania *Czarne perły Franco* jest „uznanie polskości międzywojennego Wilna przez kogoś o litewskiej tożsamości"?

Może zamiast pytać, czy utwory Kristiny Sabaliauskaitė są zapowiedzią dojrzałości Litwinów do przyznania się do polskiej (nadal nie chcemy w takich sytuacjach opatrywać tego przymiotnika odpowiednimi przypisami) części historii Litwy i Wilna, warto zadać pytania inne. Czy „polska" część historii Litwy i Wilna w naszej powszechnej świadomości (w przeciwieństwie do świadomości profesjonalistów) jest czymś więcej niż suwenir, pamiątka dla kobiety żołnierza? Czy zdołaliśmy już – wobec braku powodu do bezpośredniego konfliktu, wobec otwarcia granic i uczestnictwa we wspólnocie wyższego rzędu, wobec swobodnego przepływu ludzi, myśli i wartości (w każdym sensie tego słowa), wobec rosnącej wzajemnej ciekawości – zdobyć wiedzę i wypracować w sobie empatię lub inne środki odpowiednie do tego, aby spojrzeć na Litwę i Wilno litewskimi oczami?

Czy my sami w świecie próbującym przekonać o braku alternatyw jesteśmy w stanie stworzyć inną wersję historii: nie

po to, aby ją zakłamać, ale by ją ożywić i ustawić zobowiązująco wobec naszej współczesnej tożsamości? Dialog o Wilnie należy kontynuować. Miasto to forma życia, a więc Vilnius, Wilno, Вільня, Вильнюс, *Wilna*, הנליו, ענליוו jest najlepszym sprzymierzeńcem w walce z urzeczowieniem, tym wrogiem życia.

Jeśli w rezultacie zamiany człowieka w przedmiot rodzi się nowoczesne zło, to Sabaliauskaitė, sprzeciwiając się temu poprzez odwrócenie procesu – przywrócenie urzeczowionych do porządku życia, daje nadzieję na możliwość istnienia nowoczesnego dobra. Polegałoby ono, chcę wierzyć, między innymi na wolnym od strachu zapośredniczeniu własnego losu w losie cudzym, pełnym ufności ofiarowaniu i odkrywaniu, wyobrażaniu i odgrywaniu siebie w komunikacji z kimś innym oraz wspólnym snuciu wyzwalającej opowieści.

Vladas Braziūnas
wybór: Jadwiga Malina

Wiersze

roziskrzenie

płoche płomyki połykają mrok
(na końcu języka noc)

mysz na stryszku
na życie patrzy z góry

oczy przestronniejsze niż ciało
w które je wstawiono na próbę

ontes amoris, 2012, s. 11,
tytuł oryginalny ***apaugau kibirkštimis***

* * *

zwęszył cię zwierz ciszy
nieprzenikniony
dziki
nie do oswojenia

twardy, a nie głaz
ryczy, a nie lew
dobry, a nie ojciec

wrzesień twojego serca

gwiazda przewodnia

w świt dzień napłynął na płyciźnie
spłynęłaś do mnie we śnie, mówiłaś: bez śmierci
tu się nie obędzie – musisz mieć niezawodną
przewodniczkę

obłąkaną jak strzała, co dla ciebie
zatruty postradała grot, ślepego
anioła o skrzydłach ze zgliszczy
z popiołu, z grobu ognia, z zetlałych lat, z wahań

wyrwij się, dźwignij z dołu, pełznij, leź
póki żyjesz - ptak czy dąb, próchniejący pąk, śmiej
przejrzeć i zawierzyć, konać, modlić się
do błędnego ognika, do świetlików wspomnień

fontes amoris, 2012,
s. 83, tytuł oryginalny ***kelrodė***s

* * *

za brata-wiatr, za powietrze i chmurę
za pogodę i za niepogody
za to, że mnie zadziwiasz
za to, że nadal umiem
i nadal chcę być zdziwiony

za to, że kiedy ciało mdłe, coś się nawinie pod rękę
za to, że kiedy duch truchleje, coś wpadnie w oko
zatocz się, hulajże hulaj, nim zachrypnie pieśń

potem tylko charkot i chwytanie tchu
potem tylko nagi niezdarny ornament choroby
tylko długie sine żmije
płowiejące sploty słów
tylko długie zmierzchy, już przyszło wezwanie

bez chochlika, iskry, wieczoru
bez blasku i splendoru
bez migotliwej gwiazdy
bez tej bajki, że mały w gromadzie

wiosna i jesień tarnieją
w oddali chrzęści powietrze
dzwonią trójkąty żurawi
cicho, prawie bezdźwięcznie
cisza i mgła, milczenie mgieł
szare godziny, szare dni
nareszcie noc, po nocy świt
dziś odkrztusiła mnie tu śmierć

Stół góra ołtarna

przymioty Boga

wialnia wchłonęła wiatr
jak Cymbria Gotów, z omłotu
sypie się ziarno do żaren
i nasienie na siew

odsiew ofiarny w czerpaku
lub w rogu ciążącym jak stal
on patrzy, my brniemy przez suche
dno morza, wśród wodnych ścian

Stół góra ołtarna

Przekłady pochodzą z książki ***Stalo kalnas,*** która niebawem ukaże się w polskim tłumaczeniu autorstwa Agnieszki Rembiałkowskiej pt. ***Stół góra ołtarna*** (Wydawnictwo Pogranicze).

Vladas Braziūnas | ur. 1952. Litewski poeta i tłumacz.

Agnieszka Rembiałkowska | wykładowca w Katedrze Językoznawstwa Ogólnego, Wschodnioazjatyckiego Porównawczego i Bałtystyki. Członkini Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury.

Biblioteka Antyczna
prezentuje:

pod redakcją
Ariadny Masłowskiej-Nowak

Dion Chryzostom

Dion Chryzostom | ur. ok. 40 w Prusie, zm. ok. 120.
Grecki filozof, autor *Mów*.

„Nie wiem, jak należy nazwać Diona z Prusy, gdyż pod każdym względem odznaczał się doskonałością. Był bowiem rogiem Amaltei, jak to się mówi, w którym połączyło się to, co najlepsi powiedzieli najlepiej”[1] – to słowa Flawiusza Filostrata o mówcy i filozofie greckim, któremu późniejsze pokolenia nadały przydomek „Chrysostomos” – „Złotousty”. Urodzony w bityńskiej Prusie około 40 r. n.e., był Dion utalentowanym oratorem, pełnym pasji moralistą, miłośnikiem Diogenesa Cynika i piewcą prostego, skromnego życia. Wiele wędrował po cesarstwie rzymskim, bywał i w Rzymie, i na krańcach imperium. Podróże te – czasem wymuszone, gdyż za rządów Dion musiał udać się na wieloletnie wygnanie – stały się ważnym elementem jego literackiej autokreacji. Czerpiąc z etyki stoickiej i cynickiej, nawoływał do powrotu do natury, piętnował głupotę i niemoralność odwiedzanych przez siebie społeczności i barwnie opisywał swoją tułaczkę, kiedy to wędrował „po wsiach i bezdrożach” i obracał się „w towarzystwie pasterzy oraz myśliwych, szlachetnych ludzi o prostych obyczajach”.

Obszerny i niezwykle różnorodny zbiór zachowanych pism Diona obejmuje osiemdziesiąt utworów, z których pierwsze dziesięć ukazało się w 2016 r. w serii „Biblioteka Antyczna”. Chociaż zwykle określa się je mianem „mów”, znajdziemy w nim obok mów politycznych i popisowych również dialogi oraz utwory o charakterze etycznym – w istocie, niezwykła różnorodność tematyki oraz form literackich, po które mówca sięgał, warte są uwagi. Zbiór pism Diona otwierają podziwiane przez starożytnych cztery *Mowy o królestwie*, z których dwie mają formę ciągłej mowy, a dwie to dialogi: młodego Aleksandra z ojcem Filipem Macedońskim i starszego Aleksandra, już jako władcy, z Diogenesem Cynikiem. *Mowy o królestwie* kreślą obraz dobrego króla, przeciwstawianego tyranowi, oraz pouczają i napominają władcę, by postępował właściwą drogą. Tzw. mowy diogenejskie ożywiają postać ekscentrycznego greckiego filozofa, Diogenesa Cynika, i stanowią ważne źródło dla badaczy doktryny cynickiej. *Mowa eubejska* opowiada o spotkaniu Diona z prostym myśliwym, którego autor spotkał, gdy jego łódź rozbiła się o skalisty brzeg wyspy, po czym kreśli obraz prostego, zgodnego z naturą życia.

Styl Diona był powszechnie podziwiany przez późniejszych autorów i to jemu mówca zawdzięcza swój przydomek „Chrysostomos”. Ma on niezwykły dar prowadzenia narracji: *Pierwsza mowa o królestwie* kreśli żywy obraz Diona wędrującego wzdłuż Alfejosu i gubiącego się w gorące południe w plątaninie wydeptanych przez bydło ścieżek – doświadczenie znane dobrze tym, którzy zapuścili się kiedyś poza utarte greckie szlaki; po lekturze *Mowy eubejskiej* nie sposób zapomnieć jelenia, który, zagoniony przez psy, skacze z klifu i leży na brzegu morza, jeszcze oddychając. Uderza śmiałość obrazowania i plastyczność Dionowej prozy, która czerpie pełnymi garściami z obfitych zasobów wcześniejszej literatury, jednocześnie nie tracąc świeżości i oryginalności.

Filozof wśród mówców, mówca wśród filozofów, jest Dion przedstawicielem greckiej „filozofującej retoryki” cesarstwa rzymskiego i jednym z pierwszych przedstawicieli prądu kulturowego zwanego „drugą sofistyką”, który przyniósł renesans sztuki wymowy, w tym wysoko cenionej improwizacji. Dion stoi na progu epoki, w której sławni mówcy greccy staną się „celebrytami”, skupiającymi wokół siebie tłumy i odwiedzanymi przez rzymskich cesarzy.

Katarzyna Jażdżewska

W roku 2016 w serii „Biblioteka Antyczna” ukazał się pierwszy tom ***Mów*** Diona Chryzostoma, zawierający mowy 1–10. Autorką przekładu, wstępu i przypisów jest Katarzyna Jażdżewska.

1 Flawiusz Filostrat, *Żywoty sofistów* s. 487, przeł. M. Szarmach.

Pierwsza mowa o królestwie

Pierwsza z czterech mów *O królestwie* porusza temat dobrej władzy monarszej, przeciwstawiając ją władzy tyrańskiej. W poniższym ustępie Dion przytacza przypowieść pewnej kobiety, którą spotkał, przebywając na wygnaniu.

[…]

[50] Otóż zdarzyło się, że wędrowałem niegdyś w czasie mego wygnania – jestem doprawdy niezwykle wdzięczny bogom, że nie kazali mi oglądać ogromu występków, do jakich wtedy dochodziło – i przemierzałem, podobny z wyglądu i odzienia do włóczęgi, tyle krain, ile zdołałem, przebywając zarówno wśród Hellenów, jak i wśród barbarzyńców – żebrząc wszak o odpadki, nie zaś o miecze czy kotły[2].

Przybywszy na Peloponez, nie zbliżałem się do miast, lecz wędrowałem po wsiach i bezdrożach, **[51]** gdzie można zdobyć niemałą wiedzę, i obracałem się w towarzystwie pasterzy oraz myśliwych, szlachetnych ludzi o prostych obyczajach.

[52] Idąc wzdłuż Alfejosu z Herai do Pizy, przez jakiś czas szedłem drogą, wkrótce jednak znalazłem się w lesie i na bezdrożu, gdzie widać było tylko wiele ścieżek wiodących do stad bydła i owiec. Nie mając kogo zapytać o drogę, zgubiłem się i błądziłem w samo południe. Ujrzawszy pagórek, na którym rosło parę dębów przypominających gaj, skierowałem się ku niemu, aby rozejrzeć się stamtąd w poszukiwaniu jakiejś drogi czy domostwa. **[53]** Znalazłem tam nagromadzone bez ładu kamienie, porozwieszane skóry zwierząt ofiarnych, kije i laski – zapewne dary złożone przez pasterzy. Nieco dalej dostrzegłem siedzącą kobietę w starszym wieku, silną i imponującej postury, odzianą w wiejską szatę; jej siwe włosy opadały luźno. **[54]** Zacząłem wypytywać ją o wszystko po kolei, a ona spokojnie i życzliwie, w dialekcie doryckim, odpowiedziała, że miejsce to jest poświęcone Heraklesowi, a co do niej – że jej syn jest pasterzem i ona sama też często wypasa owce; poza tym posiada dar wieszczy, który otrzymała od Matki Bogów, a z którego korzystają wszyscy okoliczni pasterze i rolnicy, radząc się w sprawie plonów i trzody: jak je hodować i ustrzec od zguby.

– **[55]** I ty także przybyłeś tu nie bez boskiego zrządzenia – powiedziała. – Nie pozwolę ci bowiem tak po prostu odejść.

Następnie przepowiedziała, że moje wędrówki i trudy dobiegają końca:

– Zarówno twoje, jak i innych ludzi – rzekła.

[56] Mowa jej była opanowana i rozumna, nie taka jak owych mężczyzn i kobiet, którzy uchodzą za natchnionych i głośno dyszą, kręcą głowami oraz toczą wokół strasznym wzrokiem.

– Spotkasz kiedyś – powiedziała – potężnego męża, władającego większością krain i ludów. Nie omieszkaj przytoczyć mu tej opowieści, nawet jeśli jacyś ludzie mieliby patrzeć na ciebie z pogardą jak na plotącego bzdury włóczęgę. **[57]** Ludzkie gadanie i wszelakie sztuczki nic nie są warte w porównaniu z natchnieniem i głosem bogów. Wszystko, co ludzie mądrze i sprawiedliwie powiedzieli o bogach i wszechświecie, ujawniło się [w duszy] ludziom za sprawą bożej woli i przeznaczenia, a także za pośrednictwem pierwszych proroków i boskich mężów, **[58]** takich jak pewien Orfeusz, który ponoć żył w Tracji i był synem Muzy, czy ten drugi pasterz, który na jakiejś górze w Beocji słuchał samych Muz[3]. Jeśli natomiast ktoś samodzielnie, bez boskiej inspiracji i natchnienia, stworzył jakieś opowieści i przedstawił je jako prawdziwe, są one bezwartościowe i pełne niegodziwości.

Słuchaj zatem mojej przypowieści czujnie i uważnie, abyś zapamiętał ją i przekazał mężowi, którego – jak powiedziałam – spotkasz. Dotyczy boga, w którego przybytku właśnie się znajdujemy. **[59]** Był on, jak wszyscy twierdzą, synem Zeusa narodzonym z Alkmeny, królem nie tylko Argos, lecz całej Hellady, o czym wielu nie wie, bo spędzał całe życie na wyprawach wojennych, walcząc w obronie państwa; powiadają zaś, że władcą w tym czasie był Eurysteusz[4]. **[60]** Jest to jednak opinia fałszywa. W istocie, to tamten był nie tylko władcą Hellady, ale całej ziemi rozciągającej się od wschodu do zachodu słońca i wszystkich ludzi, u których znajdujemy świątynie Heraklesa.

[61] Odebrał proste wykształcenie, dalekie od pokrętności i zbędnego nadmiaru, pełnego sztuczek i machinacji niegodziwców. Powiadają, że Herakles chodził bez ubrania i uzbrojenia, mając na sobie jedynie skórę lwa, a w ręku dzierżąc maczugę. **[62]** Mówi się tak, ponieważ nie cenił złota, srebra czy bogatych szat, lecz uważał to wszystko za rzeczy bezwartościowe, z których jedyna korzyść jest taka, że można je komuś podarować i wyświadczyć mu w ten sposób przysługę. W każdym razie obdarował wielu ludzi, rozdając nie tylko niezliczone bogactwa, ziemię oraz stada koni i bydła, ale nawet całe królestwa i miasta. Wierzył bowiem, że wszystko należy do niego i że nic nie jest cudzą własnością, a ponadto, że zaskarbia sobie w ten sposób życzliwość obdarowanych.

[63] Nie jest natomiast prawdą, gdy mówią, że wyruszał na wyprawy w pojedynkę, bez wojska. Nie da się zdobywać miast, obalać tyranów i zarządzać całym światem bez armii. Ludzie opowiadali, że wyprawia się w pojedynkę i przeprowadza swoje zamierzenia, ponieważ sam brał się do dzieła, miał duszę pełną zapału i sprawne ciało, a trudził się bardziej niż inni.

[64] Ojciec bardzo się o niego troszczył, zaszczepiając w nim dobre skłonności i kierując go ku towarzystwu ludzi dobrych; zsyłał też przeróżne znaki: wróżby z lotu ptaków, wróżby w czasie spalania ofiar i wszelkie inne tego rodzaju.

[65] Gdy zobaczył, że syn chce władać nie dla przyjemności i zysku, z powodu których wielu zazwyczaj kocha władzę, lecz po to, by jak najbardziej przysłużyć się jak największym rzeszom, zrozumiał, że ma on szlachetną naturę. Zarazem jednak przypuszczał, że może tkwić w nim znaczny pierwiastek śmiertelności. Wiedział też, że ludzie dostarczają wielu złych przykładów zbytku i rozwiązłości, a tłum psuje człowieka o dobrym charakterze wbrew jego woli, naturze i przekonaniom. Po rozważeniu tego wszystkiego wysłał Hermesa, pouczywszy go, co ma czynić.

2 Homer, *Od.* 17, 222.

3 Mowa o Hezjodzie, poecie z beockiej Askry, który w pierwszych wersach *Narodzin bogów* opisuje swoje spotkanie z Muzami na Helikonie.

4 Eurysteusz był królem Tirynsu, w którego służbę musiał oddać się Herakles i który kazał mu wykonać słynne dwanaście prac.

[66] Ten więc przybył do Teb, gdzie wychowywał się Herakles, wówczas jeszcze młodzieniec. Wyjaśnił mu, kim jest i przez kogo został posłany, po czym poprowadził go tajemną drogą, nietkniętą ludzką stopą, aż dotarli do niezwykle wysokiej, widocznej z daleka góry. Była bardzo stroma, zbocza ostro pięły się w górę, a wokół korytem wydrążonym w głębokiej rozpadlinie opływała ją hucząca rzeka. Patrząc z dołu, widziało się jeden szczyt, w rzeczywistości jednak były to dwa oddalone od siebie wierzchołki, wyrastające z jednego masywu. **[67]** Pierwszy z nich nosił miano Szczytu Królewskiego i poświęcony był Zeusowi Królowi, drugi zaś zwał się Szczytem Tyrańskim i zawdzięczał nazwę Tyfonowi.[5]

Prowadziły ku tym dwóm wierzchołkom dwie drogi. Na Szczyt Królewski wiodła droga bezpieczna i szeroka, tak że można było bez obaw i trudu jechać po niej wozem, pod warunkiem jednak, że otrzymało się pozwolenie najwyższego boga. Druga – wąska, kręta i niebezpieczna, tak że ci, którzy próbowali nią iść, w większości ginęli na urwistych zboczach i w nurcie rzeki, zapewne dlatego, że ruszali na wędrówkę z pogwałceniem sprawiedliwości. **[68]** Kiedy patrzy się z daleka, dwa wierzchołki – jak mówiłem – zdają się być jednym. W rzeczywistości jednak Szczyt Królewski jest znacznie wyższy i wznosi się ponad chmurami w czystym, przejrzystym powietrzu. Wokół drugiego, o wiele niższego wierzchołka kłębią się chmury, spowijają go ciemność i mgła.

[69] Hermes, który prowadził Heraklesa, wyjaśnił mu charakter tego miejsca. Herakles zaś, młody i żądny sławy, pragnął bliżej przyjrzeć się temu, co się tam znajduje.

– Dobrze, chodź zatem – odparł bóg – abyś dobrze zrozumiał też inne różnice pomiędzy oboma szczytami, te, których głupcy nie widzą.

[70] Najpierw ukazał mu znajdującą się na wyższym szczycie kobietę, która siedziała na błyszczącym tronie, piękną i wysoką, odzianą w białą szatę. Trzymała berło, jednak zrobione nie ze złota czy srebra, lecz z jakiejś innej materii, czystej i niezwykle rozświetlonej. Najbardziej przypominała wizerunki Hery. **[71]** Jej twarz była zarazem radosna i dostojna, tak że we wszystkich dobrych ludzi, którzy na nią spoglądali, zaraz wstępowała otucha, a znów źli nie mogli znieść jej widoku, zupełnie tak, jak człowiek o słabym wzroku nie może patrzeć prosto w słońce. Spojrzenie jej było spokojne i stałe, nieuciekające na boki. **[72]** Wokół panowały pobożna cisza i niezakłócony spokój. Miejsce obfitowało w dorodne plony i zwierzęta każdego gatunku, zgromadzono tam również mnóstwo złota, srebra, brązu i żelaza. Ona jednak nie zwracała uwagi na złoto ani nie znajdowała w nim upodobania, lecz bardziej cieszyła się z płodów rolnych i ze zwierząt.

[73] Herakles na jej widok ucieszył się i zarumienił, przepełniony czcią i szacunkiem niczym dobry syn wobec szlachetnej matki. Zaraz też zapytał Hermesa, co to za bóstwo, a ten odparł:

– To błogosławiona bogini Władza Królewska, córka Zeusa Króla.

Uradował się Herakles i poczuł przypływ odwagi. Następnie zapytał o towarzyszące jej kobiety:

– Kim są? Wyglądają tak szlachetnie, wspaniale i męsko!

– **[74]** Ta, która siedzi po prawej stronie i spogląda zarazem surowo i życzliwie, to promieniejąca najjaśniejszym pięknem Sprawiedliwość. Obok niej Praworządność, bardzo podobna i niewiele różniąca się od niej wyglądem. **[75]** Po drugiej stronie siedzi pełna wdzięku kobieta, wytwornie ubrana, o beztroskim uśmiechu – tę nazywają Pokojem. Mężczyzna, który stoi przy Władzy Królewskiej, tuż obok berła, silny, siwy i pełen dostojeństwa, to Prawo; zwą go też Słusznym Słowem. Jest on doradcą i pomocnikiem kobiet – bez niego nie mogą niczego uczynić ani postanowić.

[76] Herakles, słysząc to i widząc, radował się i wytężał uwagę, aby nigdy nie zapomnieć tego, czego był świadkiem.

Gdy zeszli na dół i znaleźli się przy drodze wiodącej na Szczyt Tyrański, Hermes rzekł:

– Zobacz teraz tę drugą, której pożądają tłumy i dla której gotowi są podjąć wiele wysiłków. To dla niej, nieszczęśni, dopuszczają się morderstw, dla niej dzieci knują przeciw rodzicom, rodzice przeciw dzieciom, a bracia przeciw braciom. Pragną największego zła – a jest nim władza, której towarzyszy głupota – i uważają je za szczęście!

[77] Najpierw pokazał mu drogę na szczyt. Widać tam jedną ścieżkę, niezwykle – jak wspomniałem – niebezpieczną, która prowadzi brzegiem urwiska, a są też inne przejścia, niewidoczne i ukryte, tak że cały masyw, pełen krętych podziemnych tuneli, jest nimi poprzecinany aż do samego wierzchołka, gdzie znajduje się tron. Wszystkie te korytarze i przejścia były umazane krwią i pełne trupów. Nie poprowadził nimi Heraklesa, lecz pobliską drogą, znacznie mniej zbrukaną, ponieważ miał on – jak sądzę – pozostać jedynie obserwatorem.

[78] Gdy dotarli na szczyt, zastali tam Tyranię, siedzącą wysoko, a przy tym rozmyślnie udającą i naśladującą Władzę Królewską. Wydawało jej się, że ma wyższy i wspanialszy tron, gdyż był bogato rzeźbiony i ozdobiony kompozycją ze złota, kości słoniowej, bursztynu, hebanu oraz wszelakich ornamentów. Tron ten nie wydawał się jednak solidny i dobrze ustawiony, bo chybotał się i chwiał. **[79]** Wszędzie wokół również panował bezład pośród mnogości bereł, mnogości tiar i zdobiących głowę diademów, które zgromadzono dla sławy i przez próżność oraz umiłowanie zbytku.

Tyrania próbowała naśladować Władzę Królewską, jednak zamiast przyjaznego uśmiechu na jej twarzy gościł krzywy, fałszywy grymas, a dostojne spojrzenie zastąpił wzrok ponury i dziki. **[80]** Nie spoglądała na zbliżających się, lecz lekceważyła ich i traktowała ze wzgardą, sądząc, że w ten sposób wyda się bardziej dostojna. Dlatego też wszyscy jej nienawidzili, a ona wszystkich podejrzewała. Nie potrafiła siedzieć spokojnie. Co rusz rozglądała się wokół i podrywała z tronu. Strzegła złota, haniebnie przyciskając je do piersi, to znowu wystraszona rozrzucała je wokół, po czym zrywała się i każdą odrobinę wydzierała przechodniom. **[81]** Zdobiła ją wielobarwna szata, miejscami purpurowa, miejscami szkarłatna i szafranowa; niektóre warstwy wydawały się białe. Ubranie to było okropnie postrzępione. Wyraz jej twarzy co chwilę się zmieniał, ukazując na zmianę strach, zdenerwowanie, niedowierzanie i gniew. Chwilami gnębiła ją troska, chwilami unosiła radość; to śmiała się zuchwale, to zaczynała lamentować.

[82] Również ją otaczał zastęp kobiet, lecz zupełnie nie przypominały one towarzyszek Władzy Królewskiej. Były tam: Okrutność, Zuchwałość, Bezprawność i Kłótnia, które deprawowały ją i niosły jej haniebną zgubę. Miejsce Przyjaźni zajmowała przewrotna i służalcza Pochlebczyni, która nie ustępowała innym w spiskowaniu i której najbardziej zależało na unicestwieniu Tyranii.

[83] Gdy Herakles już się napatrzył, zapytał go Hermes, który z tych dwóch losów i którą z dwóch kobiet by wybrał.

– Pierwszą z nich podziwiam i kocham – odparł. – Wydaje mi się prawdziwą boginią, godną naśladowania i szczęśliwą. Druga jest mi nienawistna i plugawa, najchętniej zgładziłbym ją, zrzucając ze szczytu.

Hermes pochwalił jego słowa i powtórzył je Zeusowi. **[84]** Ten zaś obdarzył Heraklesa władzą nad całym rodzajem ludzkim, bo był on w stanie temu zadaniu podołać. Ilekroć więc Herakles natknął się na tyranię i tyrana, czy to wśród Hellenów, czy barbarzyńców, wymierzał karę i pozbawiał władzy; ilekroć natrafił na królestwo i króla, szanował władcę i chronił go. To dlatego był wybawcą i ziemi, i ludzi, a nie dlatego, że bronił ich przed dzikimi zwierzętami. Jakąż szkodę może wyrządzić lew albo dzik? Raczej przyczyną było to, że karał ludzi dzikich i występnych, że pozbawiał władzy butnych tyranów. Jeszcze i dzisiaj czyni to samo i pozostaje wsparciem oraz ochroną twej władzy tak długo, dopóki będziesz sprawował władzę królewską.

5 Tyfon (lub Tyfoeus) – straszliwy potwór, który o mało nie zawładnął ludźmi i bogami, lecz został pokonany przez Zeusa.

Druga mowa o królestwie

***Druga mowa o królestwie* to dialog między Filipem Macedońskim a jego synem Aleksandrem – którego historia obdarzyła przydomkiem „Wielki" – tu jeszcze młodzieńcem. Głównym tematem jest poezja Homera i jej przydatność dla władcy. W końcowej partii tekstu, tu przytoczonej, Aleksander porównuje dobrego władcę do byka.**

[…]

[65] Wiele jeszcze można by powiedzieć o radach i pouczeniach Homera dotyczących męstwa i władzy królewskiej, lecz wymagałoby to zbyt długiego wywodu. Dodam jedynie, że poeta jasno wyraża przekonanie, iż król powinien być najlepszy ze wszystkich, a szczególnie dobitnie ukazuje to w momencie, gdy Agamemnon po raz pierwszy ustawia wojsko i wylicza wszystkich dowódców oraz wielką liczbę okrętów. **[66]** Nie pozwolił też na rywalizację innych bohaterów z Agamemnonem, bo – jak powiedział – król tak się wyróżniał wśród innych niczym byk górujący tężyzną i posturą nad stadem; mówił:

> *I tak jak buhaj kroczący wśród stada o wiele góruje ponad wszystkimi krowami, bo im na polu przewodzi, tak dnia owego Atrydę spomiędzy wszystkich wyróżnił Zeus. Nad wieloma górował i bohaterów przewyższył*[6].

6 Homer (*Il.* 2, 480–483); przeł. K. Jeżewska.

[67] Poeta nie powiedział tego jedynie po to – jak mi się wydaje – by pochwalić i ukazać siłę wodza, bo gdyby chciał tak uczynić, użyłby pięknego porównania do lwa, a tu postanowił ukazać jego wrodzoną łagodność i troskę o poddanych. Byk nie tylko należy do najszlachetniejszych zwierząt, ale ponadto nie wykorzystuje siły dla własnej korzyści, jak czynią lwy, dziki i orły, które ścigają i poskramiają inne zwierzęta dla pożywienia i dlatego należałoby je uznać raczej za przykład władzy tyrańskiej niż królewskiej. **[68]** Jest moim zdaniem oczywiste, że wybrał byka jako symbol władzy monarszej i obraz króla. Na pastwisku byk żywi się gotowym pokarmem, nie musi więc uciekać się do przemocy ani wykorzystywać swej przewagi, zatem jak majętni królowie ma pod dostatkiem tego wszystkiego, czego potrzebuje. **[69]** Rządzi zwierzętami swego gatunku z życzliwością i – jak można by rzec – z troską: to wiedzie je na pastwisko, to znów, gdy pojawi się drapieżnik, nie ucieka, lecz walczy w obronie wszystkich i śpieszy na pomoc słabszym osobnikom, pragnąc ochronić stado przed groźnymi i niebezpiecznymi zwierzętami. Tak samo powinien zachowywać się władca i prawdziwy król, godny największej sławy wśród ludzi.

[70] Czasem, gdy pojawi się inne stado, byk walczy o zwycięstwo z przywódcą tamtego – po to, aby on i jego stado zyskali sławę silniejszych. Z ludźmi jednak nie walczy, chociaż bowiem przewyższa inne nierozumne zwierzęta władczością i szlachetnością, podporządkowuje się władzy istoty lepszej od siebie; choć pod względem siły, męstwa i mocy nie ustępuje nikomu, z własnej woli poddaje się rozumowi i mądrości. Czy zaprzeczy ktoś, że **[71]** jest to lekcja i nauka królowania, skierowana do roztropnych królów – mianowicie, że trzeba, by człowiek, który okazuje się lepszy panował nad pozostałymi ludźmi; że sprawuje on władzę sprawiedliwie i zgodnie z naturą; że powinien chronić poddanych, decydując i walcząc za nich, kiedy potrzeba, oraz bronić ich przed niebezpiecznymi i gwałcącymi prawa tyranami? Z innymi królami, jeśliby tacy się znaleźli, powinien stawać do współzawodnictwa w cnocie i – o ile to możliwe – zwyciężać dla pożytku wszystkich ludzi. **[72]** Bogom, którzy są od niego doskonalsi, powinien być posłuszny niczym dobrym pasterzom, czcić ich potęgę i szczęśliwą naturę. Ma ich uważać za panów i władców, a także świadczyć, że najbardziej czcigodną własnością najwyższego i pierwszego króla-boga jest on sam, a po nim ci, którzy zostali przez niego wyznaczeni.

[73] Dobrym przykładem są tu mądrzy pasterze i to, co czynią, gdy trafi im się trudny i niebezpieczny byk, który zuchwale i wbrew naturze zagarnął władzę, ma w pogardzie własne stado i dręczy je, a jednocześnie schodzi z drogi zagrażającym stadu drapieżnikom i wystawia na pierwszy ogień bezradną gromadę. Gdy nie ma niebezpieczeństwa, jest zuchwały i hardy: donośnie i groźnie ryczy, naciera rogami na tych, którzy wcale mu się nie sprzeciwiają, demonstruje siłę wobec słabszych i pokojowo nastawionych, tak że przerażone stado nie może się spokojnie paść. Właściciele bydła i pasterze usuwają takiego osobnika, gdyż nie nadaje się do przewodzenia innym i nie przynosi pożytku. **[74]** Jeśli natomiast trafi się byk łagodny dla podążających za nim krów, a odważny

i nieustraszony wobec drapieżników, dostojny i pełen godności, który dobrze chroni i prowadzi stado, posłuszny i ustępujący z drogi pasterzom, wtedy pozostawiają go na czele aż do późnej starości, nawet kiedy siły już go opuszczają. […]

Czwarta mowa o królestwie

Dialog Aleksandra Wielkiego z Cynikiem Diogenesem, rozwijający motyw spotkania władcy z mędrcem lub filozofem. Poniższy ustęp stanowi wprowadzenie do właściwej rozmowy.

[1] Opowiadają, że Aleksander spotkał się niegdyś z Diogenesem, człowiek niezwykle zajęty z kimś, kto miał czasu pod dostatkiem, jeden był bowiem królem Macedończyków i wielu innych ludów, drugi wygnańcem z Synopy. Wielu autorów opisujących to spotkanie wcale nie mniej[7] podziwiało i chwaliło Aleksandra, że dzierżąc władzę nad tyloma ludami i dysponując największą w owym czasie potęgą, nie wzgardził rozmową z biedakiem, który jednak był mężem rozumnym i wielce wytrzymałym.

[2] Ludzie zupełnie naturalnie cieszą się, gdy widzą mądrość poważaną przez tych, którzy mają ogromną władzę i potęgę, dlatego autorzy tego typu opowieści niezupełnie trzymają się prawdy, lecz fantazjując i wyolbrzymiając zdarzenia, pozbawiają mędrców różnych przymiotów i właściwości – jak pieniądze, sława czy sprawność fizyczna – aby było widać, że zaznali szacunku jedynie ze względu na swoją mądrość. **[3]** I ja opowiem, jak mogło wyglądać takie spotkanie, bo tak się składa, że mam czas wolny od innych zajęć.

[4] Powiadają, że Aleksander był człowiekiem najbardziej na świecie żądnym czci. Pożądał sławy ponad wszystko, a jego pragnieniem było zyskać jak największy rozgłos wśród wszystkich Hellenów i barbarzyńców. Pożądał zresztą nie tylko podziwu ludzi, gdziekolwiek by mieszkali, ale – jeśli to tylko byłoby możliwe – również ptaków i zwierząt żyjących w górach. **[5]** Gardził wszystkimi i nikogo nie uważał za godnego rywala: ani Persa, ani Scyty, ani Inda, ani żadnego męża spośród Hellenów, ani jakiegokolwiek miasta. **[6]** Widział przecież, że dusze niemal wszystkich były zepsute przez zbytek i lenistwo, pokonane przez miłość zysku i przez przyjemności. Gdy usłyszał o Diogenesie, o słowach, które wypowiedział, i o czynach, których dokonał, oraz o tym, jak zniósł wygnanie, chwilami – jako człowiek młody i wychowany w królewskiej pysze – pogardzał jego nędzą i ubóstwem, **[7]** często jednak podziwiał go, zazdrościł mu odwagi i wytrzymałości, a szczególnie sławy, gdyż będąc tym, kim jest, był rozpoznawany i podziwiany przez wszystkich Hellenów, tak że nikt inny nie mógł mu pod dorównać pod tym względem.

[8] Zazdrościł mu też z tego powodu, że podczas gdy on sam potrzebował falangi Macedończyków, konnicy Tessalów, także Traków, Pajonów i wielu, wielu innych, aby dotrzeć tam, gdzie chciał, i osiągać to, co chciał, Diogenes mógł wędrować w pojedynkę, zupełnie bezpiecznie, dokąd tylko miał ochotę, i to nie wyłącznie za dnia, lecz także nocą. **[9]** Aleksander potrzebował mnóstwa złota i srebra, aby wykonać to, co zamierzył; nawet aby zapewnić sobie posłuszeństwo Macedończyków i innych Hellenów, musiał pozyskiwać przychylność ich przywódców i tłumu, co i rusz przekonując ich słowem i posyłając im dary. **[10]** Tamten nie musiał kupować niczyjej łaski pochlebstwem, szczery wobec wszystkich, bez jednej drachmy, czynił to, co chciał, przeprowadzał to, co zaplanował, i jako jedyny prowadził takie życie, jakie uważał za najlepsze i najszczęśliwsze, tak że nie oddałby swej biedy ani za władzę królewską Aleksandra, ani za bogactwo Persów i Medów. […]

Diogenes o tyranii

Jedna z czterech tzw. mów diogenejskich, świadectwo fascynacji Diona postacią cynika Diogenesa. Zawiera m.in. opis trybu życia Diogenesa, który autor przeciwstawia marnej egzystencji perskiego króla.

[1] Gdy Diogenes Synopejczyk został wygnany z Synopy, przybył do Hellady i pomieszkiwał trochę w Koryncie, a trochę w Atenach. Mówił, że naśladuje w ten sposób tryb życia króla Persów, który spędzał zimę w Babilonie i Suzach, a czasem także w Baktrach, czyli w najtagodniejszych rejonach Azji, lato zaś w Ekbatanach w Medii, gdzie powietrze jest najchłodniejsze i gdzie lato przypomina babilońską zimę. **[2]** Podobnie i on zmieniał miejsce zamieszkania w zależności od pory roku. Attyka bowiem, inaczej niż Peloponez czy Tessalia, nie ma ani wysokich gór, ani rzek; ląd jest tam wąski, a powietrze lekkie, tak że opady występują rzadko i woda się nie zatrzymuje. Ponadto prawie cała jest otoczona przez morze, skąd zresztą bierze się jej nazwa, stanowi bowiem jakby cypel. Samo miasto leży nisko i zwraca się na południe, **[3]** a dowodem na to fakt, że od strony Sunion nie da się do Pireusu przypłynąć inaczej niż z południowym wiatrem. Nic dziwnego zatem, że zima bywa tam łagodna. W Koryncie natomiast latem powietrze jest przyjemne dzięki wiatrom zawsze wiejącym z powodu wcinających się w ląd zatok. Akrokorynt zapewnia cień, a miasto zwraca się w stronę Lechajonu i ku północy.

[4] Diogenes uważał, że te dwa miasta są znacznie piękniejsze od Ekbatan i Babilonu, a Kranejon oraz Akropol i Propyleje w Atenach znacznie przewyższają tamtejsze pałace, ustępując im jedynie wielkością. Obwód Aten wynosi bowiem zaledwie dwieście stadiów – a i to licząc wraz z Pireusem i wiodącymi do niego murami, które obejmują tereny nie zawsze dawniej zamieszkane – tak że Ateny stanowią połowę obszaru Babilonu, jeśli wierzyć temu, co o nim opowiadają. **[5]** Lecz pod innymi względami – jak piękno portów, posągi, malowidła, złoto, srebro i brąz, monety, wyposażenie oraz konstrukcja domów – przewyższały w jego opinii tamte miasta. Tak naprawdę jednak Diogenes nie troszczył się zbytnio o tego typu sprawy.

[6] Król perski, jeśli chciał zmienić rezydencję, musiał przebyć bardzo długą drogę i dlatego znaczną część zimy i lata spędzał w podróży. On zaś mógł przenocować po drodze w Megarze i bez trudu następnego dnia być już w Atenach – jeśli chciał, mógł iść przez Eleusis lub podążyć najkrótszą drogą przez Salaminę, omijając pustkowia. Pod tym względem, jak żartował, przewyższał owego króla i żył wygodniej, bo lepiej rozwiązał problem mieszkania. **[7]** Ludziom, którzy podziwiali bogactwo Persa i to, co uważano za jego szczęście, dowodził, że sytuacja króla wcale nie jest taka, jak im się wydaje: część tego, co posiada, nie przynosi mu żadnego pożytku, a inna jest dostępna nawet dla zwyczajnych biedaków. [8] Nie jest prawdą, że Diogenes nie troszczył się o ciało, jak sądzili pewni głupcy, którzy widząc, jak marznie, mieszka pod gołym niebiem i chodzi spragniony, uważali, że zaniedbuje swoje zdrowie i życie. Jednak prowadząc taki tryb życia, był zdrowszy od ludzi, którzy nieustannie opychali się i stale przebywali w domu, nigdy nie doświadczając ani zimna, ani skwaru; [9] i ciepło zaś, i jedzenie sprawiały mu więcej przyjemności niż im. Najbardziej jednak cieszyły go pory roku. Radował się, gdy nadchodziło lato i stężałe powietrze rozluźniało się; z drugiej strony, gdy lato się kończyło i ustawał skwar, nie martwił się, lecz dotrzymując kroku kolejnym porom i stopniowo przyzwyczajając się do nich, bez trudu przyjmował każdą zmianę.

[10] Z ognia, cienia i dachu korzystał rzadko i nie wcześniej, niż było to konieczne, inaczej niż ludzie, którzy mając cały czas dostęp do ognia, zapasu ubrań i domu, uciekają z dworu, gdy tylko poczują odrobinę chłodu, przez co ich ciała stają się nieodporne i niezdolne do przetrwania zimy, **[11]** latem natomiast, ponieważ bez ograniczeń mogą korzystać z cienia i pić tyle wina, ile zechcą, przestają doświadczać słońca oraz naturalnego pragnienia. Wiodą życie w domach jak kobiety: ciała ich są gnuśne i nie znają wysiłku fizycznego, a dusze karmione opilstwem i zapomnieniem. Stąd wymyślają szkodliwe potrawy i kąpiele, stąd kilkakrotnie w ciągu dnia pragną to ochłody, to okrycia, to śniegu, to ognia, a co najdziwniejsze, pożądają zarówno głodu, jak i pragnienia. **[12]** Rozwiązli, nie czerpią przyjemności z miłości zmysłowej, ponieważ nie czekają na pożądanie. Dlatego przyjemności, których szukają, nie mają powabu i w ogóle ich nie cieszą.

On natomiast zawsze czynił przed posiłkiem użytek z głodu i pragnienia, które uważał za najlepsze i najostrzejsze przyprawy. Dlatego też bardziej smakował mu zwykły placek niż innym najdroższe potrawy, a woda ze strumienia bardziej niż innym wino z Thasos. **[13]** Wyśmiewał ludzi, którzy spragnieni mijali źródła i szukali miejsca, gdzie mogliby nabyć wino z Chios lub Lesbos – mówił, że są głupsi od bydła, które spragnione nigdy nie minie czystego źródła lub strumienia, a gdy głodne, nigdy nie pogardzi delikatnymi liśćmi i trawą, będącymi dla niego wystarczającym pożywieniem.

[14] Uważał też, że najpiękniejsze i najzdrowsze domy w miastach stoją dla wszystkich otworem: są to świątynie i gimnazjony. Wystarczał mu jeden płaszcz, ten sam latem i zimą, gdyż przyzwyczajenie sprawiało, że łatwo znosił zmiany pogody. **[15]** Stóp nigdy nie chronił, twierdził bowiem, że nie są delikatniejsze od oczu czy twarzy, które – choć z natury słabe – są najbardziej odporne na zimno dzięki temu, że zawsze pozostają odsłonięte; nie da się wszak chodzić, mając oczy okryte niczym stopy. Mawiał, że bogacze podobni są do noworodków: stale w powijakach.

16] To, co ludziom przysparza najwięcej kłopotów, to, na co wydają najwięcej pieniędzy, to, przez co wiele miast legło w gruzach, a wiele ludów nędznie wyginęło – jego kosztowało najmniej trudów i wydatków. **[17]** Nigdzie nie musiał udawać się z powodu spraw Afrodyty, lecz żartował, że Afrodyta jest mu dostępna wszędzie i za darmo, a poeci po prostu oczerniają boginię i z powodu własnej rozwiązłości nazywają ją Wielce-Złotą. Gdy mu nie wierzono, poświadczył swoje słowa publicznie, na oczach wszystkich, i powiedział, że jeśli inni ludzie byliby tacy jak on, Troja nie zostałaby zburzona, a Priam, zrodzony z Zeusa król Frygów, nie zostałby na ołtarzu Zeusa zabity; **[18]** tymczasem Achajowie byli takimi głupcami, że uważali, iż nawet umarli wciąż potrzebują kobiet, i dlatego zabili Polyksenę na grobie Achillesa. Mówił też, że ryby wydają się mądrzejsze od ludzi: gdy chcą pozbyć się nasienia, odpływają na bok i ocierają się o coś chropowatego. **[19]** Dziwne, że ludzie nie płacą, by ktoś ich drapał w nogę, rękę lub inną część ciała – nawet najbogatsi nie wydaliby na to ani jednej drachmy! – a na potrzeby jednego organu często przeznaczają wiele talentów, a niektórzy nawet z tego powodu narażają życie. **[20]** Żartował, że ten typ stosunku jest wynalazkiem Pana, który zakochawszy się w nimfie Echo, nie mógł jej posiąść i błądził po górach nocą i dniem. Wtedy to Hermes nauczył go tej sztuki, litując się nad niedolą Pana, ponieważ bożek był jego synem. Dzięki tej nauce Pan pozbył się wielkiej udręki, a potem od niego umiejętność tę przejęło wielu pasterzy.

[21] Tak więc przemawiał Diogenes, wyśmiewając ludzi żyjących w pysze i głupocie. […]

Ariadna Masłowska-Nowak | starszy dokumentalista, sekretarz Biblioteki Pisarzy Staropolskich i Biblioteki Pisarzy Polskiego Oświecenia.

Katarzyna Jażdżewska | adiunkt w Katedrze Literatury Greckiej i Bizantyjskiej UKSW; członek-specjalista Komitetu Nauk o Kulturze Antycznej Polskiej Akademii Nauk.

7 Domyślnie: niż Diogenesa.

Anna Marchewka

W ukryciu

Wybór wierszy Elfriede Gerstl (1932–2009) ukazał się w serii „Śpiewać to być. Współcześni poeci austriaccy znani i nieznani" zainicjowanej i prowadzonej przez Ryszarda Wojnakowskiego, który (wraz z cyklem) do tej pory wędrował między wydawnictwami, ale ostatnio osiadł w krakowskiej Austerii. Na ogół seria wprowadza do języka polskiego poetycki dorobek poetów i poetek znanych lub co najmniej rozpoznawalnych, choć niekoniecznie z poetyckich powodów; niekiedy są to nazwiska zupełnie nowe. Ten ostatni aspekt to przypadek Gerstl, bo poza obecnością jej utworów w „Literaturze na Świecie" (1-2/2014) była do czasu publikacji *Używam więc jestem* nie tyle nieznana (na pewno nie inaczej niż w kontekście znajomości z Elfriede Jelinek i jej tekstów), co właściwie nieobecna. Trudno jednoznacznie powiedzieć, co wpływa na szansę wyraźniejszej obecności czyjejś twórczości, ale przekład książki z pewnością pomaga. Można tę listę nazwisk i tytułów, która jest bogata i na której do tej pory znalazły się Christine Lavant i *Nocny krzyk pawia* (jesienią ubiegłego roku ukazały się również jej *Zapiski z domu wariatów*), Georg Trakl i *Sebastian we śnie*, Christine Busta i *Wśród powszechnego przemijania*, Ilse Aichinger i *Podarowana rada* (zbiór opowiadań i słuchowisk ukazał się w innej międzywydawniczej serii „Kroki" pod redakcją Jacka St. Burasa), Friederike Mayröcker i *Zielony montaż*, Lisa Mayer i *Anioł o dwóch twarzach*, Ingeborg Bachmann i *Wyjaśnij mi, miłości*, Rose Ausländer i *Głośne milczenie*, Ernst Jandl i *Sielanki i inne wiersze*, Thomas Bernhard i *Śmierć i tymianek* oraz Evelyn Schlag i *Zamieć w głowie*, traktować jako całkiem niezły przewodnik i po bliskim, a wciąż jakby dalekim literackim świecie. Część z nich – nie tylko książek, ale i samych autorów i autorek – nie miała szczęścia w obiegu literackim, a najmocniejszym z nich i najlepiej radzącym sobie jest, rzecz jasna, Bernhard, przy czym poetycka część jego twórczości raczej nie przykuwa uwagi. Inna z autorek ujętych w serii „Śpiewać to być", czyli Evelyn Schlag, gościła w 2017 roku na Festiwalu Miłosza; jej książka ukazała się w ramach festiwalowego projektu wydawniczego. Może wszystkie, nie tylko dwujęzyczny wybór wierszy Gerstl, staną się początkiem większej przygody? Oby tak się właśnie było.

Szkoda by było przegapić ten wyrazisty głos, przez lata pozostający w cieniu również w rodzimym obiegu literackim. Pierwszy z nich to cień sławnej przyjaciółki, czyli Jelinek, która wprost mówiła o konieczności poznania twórczości Gerstl (były sobie wyjątkowo bliskie, zarówno artystycznie, jak i światopoglądowo), a drugi to konsekwencja środowiskowego nieprzystosowania. Gerstl już na początku drogi twórczej wyczulona była na wszelkie nieakceptowalne zjawiska. Słynna Grupa 47, z którą miało sporo ją łączyć, okazała się przykrywać nierozliczone antysemityzm, homofobię i mizoginię; współpraca z nimi nie była zwyczajnie możliwa. Przyjmując perspektywę obejmującą całe życie poetki, pisarki i eseistki (bo w pełni Gerstl zrozumieć można, widząc jej rozpiętość formalną), strategia „ukrywania się" jest czymś większym niż samo pisanie, co sugeruje Matthias Fallenstein, autor wstępu *Wiersz jako rozmowa* zamieszczonego

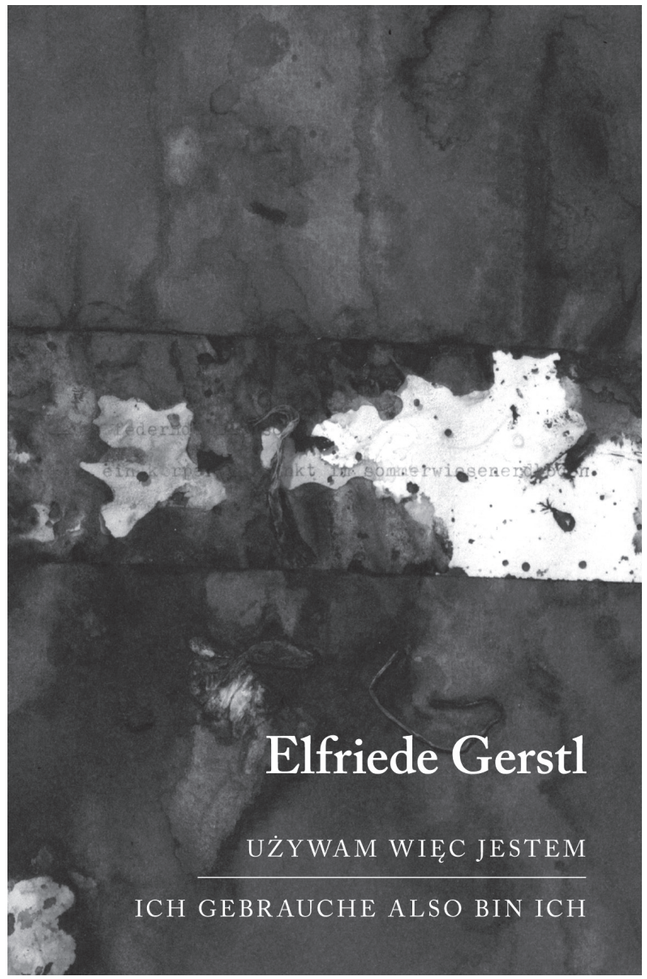

w *Używam więc jestem*. Czasy drugiej wojny przeżyła w ukryciu. Ocalała z Zagłady, ale po wojnie okazywało się nazbyt często, że nie jest u siebie. Nierozliczony, przykryty przymusem powrotu do normalności nazizm i antysemityzm mościły się w jądrze wydarzeń. Pozycja niecentralna stała się dla Gerstl jedyną możliwą, choć jej koszty były wysokie: nie tylko brak uznania, bo duże nagrody przyszły pod koniec życia, ale i trudności finansowe. Gerstl jest zarazem zaczepiona w świecie, bacznie obserwuje, z jakim oporem przebiegają głębokie zmiany lub przykrywane są grubą warstwą pozorów, ale i zupełnie do niego nie przystaje. Jej stałe miejsce bywalczyni wiedeńskich kawiarni jest mocno przechodnie, zawsze pomiędzy, pozycja obserwatorki niedostępnej dla obserwowanych przechodniów, z kawiarnianego krzesła w każdej chwili można wstać i odejść. Ze wszystkich trudności i szeregu utrat Gerstl zdolna była, dzięki ironii, posługując się gorzkim humorem, nie szczędząc nikogo (podejrzliwie traktowała wszystkie frakcje polityczne i organizacje), robić znakomite wiersze. Dla autorki *Używam więc jestem* nie ma innego schronienia niż język, ale też nie wolno się nim zasłaniać, ale raczej pracować na nim, eksperymentując, nie dając się ponieść schematom, frazom choćby najbardziej urodziwym i wygodnym. W tytułowym wierszu *używam więc jestem/ 21 substytucji* pisze: „04 język to władza", „05 nazywam się język, o niczym nie wiem", „15 język jest jedynym rajem, z którego nie można nas wypędzić".

Jej wysoka świadomość ekologiczna nie skłoniła jej oddawaniu się tak zwanej naturze, zbyt wyraźnie wykorzystywana była w propagandzie narodowców. W artykule *Literatura, natura, ekologia* jasno stawiała sprawę: „między sztuką a naturą istnieje porządek wrogości". W wierszu „natura – nie, dziękuję" dodawała „nie, dziękuję odpowiadam przyjaciołom/ wspinającym się po górach i dolinach/ tutaj w środku/ natury mam pod dostatkiem". Natura oznacza nie tyle piękno (jakkolwiek definiowane), ale przewagę silniejszych, eliminację słabszych oraz nieuchronną śmierć. Gerstl bez uników rejestruje w swoich wierszach postępujące starzenie się, choroby i rozkład ciała, również jako wyraz oporu wobec nacisków zewnętrznych określających typ urody i wykluczających niedopasowanych, chorych czy starych, zwłaszcza kobiety traktowane jak przedmiot wykorzystywany w reklamie innych przedmiotów (jak w wierszu „do dup"). Kultura jednak nie gwarantuje pozytywnego projektu, od niczego nie wyzwala, skoro możliwe jest to, o czym napisała w wierszu „wolność w demokracji": „proletariusze wszystkich krajów/ mogą wreszcie/ kupować/ fast food i colę/ jak mr. rockefeller i mr. trump", który brzmi aż zbyt gorzko. Nie o taką wygraną szło, podpowiada „strażniczka swoich trosk i lęków", pobudzając do czujności, nie ustając w pracy krytyki i podważania stanu rzeczy, stanu ludzi.

Elfriede Gerstl, ***Używam więc jestem***
Wybrał i przełożył: Ryszard Wojnakowski,
Wstępem opatrzył: Matthias Fallenstein,
Wydawnictwo Austeria,
Kraków – Budapeszt – Syrakuzy 2018

Używać wolności „do"

Dyskusje na temat znaczenia nagród i festiwali literackich dla rozwoju nie tylko współczesnego życia literackiego, ale i literatury w ogóle, nie cichną. Głosy krytyczne podkreślają zagrożenia wynikające z myślenia w rytmie nagród, bo przecież zawody literackie z gruntu są średnio sprawiedliwe. Ocena książki jako najlepszej to zawsze powód do dyskusji, a na dyskusje właśnie w ogarniętym festiwalozą i nagrodozą świecie już nie ma czasu, a na dodatek wyróżnienie jednej tylko książki sprawia, że cała reszta chowa się w cieniu. Jeśli dołożyć do tego wszystkiego gorączkę nowości, to na doczytanie innych niż książki-laureatki szanse są nikłe. Same festiwale zaś, idąc tym tropem, nakierowują uwagę na samo święto, a nie proces – lektura to przecież nie tylko spotkanie, wymaga czasu, a książki można czytać wiele lat od daty wydania. Mniej krytyczne głosy wskazują na pozytywne wymiary istnienia tych zjawisk: festiwale budują społeczność czytelników i czytelniczek, zwłaszcza poza oczywistymi ośrodkami literackimi jak Warszawa czy Kraków, a nagrody, czy może lepiej powiedzieć: nominacje do nagród, pełnią funkcje przeglądów krytycznych. Jeśli w ten sposób czytać listy nominowanych, to otrzymać można całkiem pokaźny zbiór lektur podsumowujących poprzednie miesiące czy nawet rok. Jeśli przyjąć, że w skład jury wchodzą krytycy i krytyczki literackie, to przygotowywane przez nich listy można traktować jak szansę na dotarcie do wszystkich tych książek, które nie miały wystarczająco mocnego wsparcia promocyjnego lub zatonęły w zgiełku zapowiadającym nadejście tak zwanych pewnych przebojów. W przypadku książek poetyckich sprawa jest szczególna: z zasady są niszowe i choć ukazuje się całkiem sporo, to jednak ich zasięg powodowany a to niskim nakładem, a to nikłą dystrybucją jest niewystarczający. Nagrody i festiwale poetyckie pełnią wręcz informacyjną, wprowadzającą rolę dla wszystkich tych, którzy nie są środowiskowo związani z najnowszą czy nową poezją. Nagroda Europejski Poeta Wolności, która w tym roku przyznana została już po raz piąty, spełnia wzorowo wszystkie postulaty zwolenników tego rodzaju wydarzeń. Towarzyszy jej merytorycznie bez zarzutu przygotowany festiwal, w czasie którego odbywają się czytania, spotkania autorskie i debaty w sprawach istotnych (nazwa nagrody zobowiązuje) tak, by pokazać szerokie oddziaływanie poezji oraz jej zdolność do tłumaczenia świata. Tłumaczenie (czy też może lepiej powiedzieć: przekład) to w Gdańsku słowo-klucz. Od dziesięciu lat, bo nagroda przyznawana jest co drugi rok, na zmianę z inną gdańską inicjatywą, czyli festiwalem „Odnalezione w tłumaczeniu" (w czasie którego przyznawana jest nagroda im. Tadeusza Boya-Żeleńskiego), organizatorzy wraz z całą rzeszą tłumaczek i tłumaczy działają na rzecz porozumienia ponad granicami języków, państw, tradycji. Przy Europejskim Poecie Wolności bowiem ukazują się książki pochodzące z krajów losowo wybieranych (zasady

losowania pozwalają na to, by nie powtarzały się kraje i języki oraz by szanse na prezentację były możliwie wyrównane). Zatem otrzymujemy nie tylko samą listę do czytania, ale całe zbiory wierszy, dzięki którym już nie trzeba ślepo ufać jurorom-krytykom-autorytetom, tylko sprawdzić osobiście, jakie to dobre i z czym się je. Podobnie dzieje się przy Festiwalu Miłosza; inicjatywa wydawnicza podejmowana i utrzymywana od kilku lat pozwala poznawać twórczość poetek i poetów goszczących przez kilka dni w Krakowie nie tylko na ucho i przez rozmowę, ale przez czytanie wydanych z tej świątecznej okazji książek. Przekłady poetyckie mają się – w odróżnieniu od przekładów prozatorskich – kiepsko w Polsce, nawet te dokonywane z języka angielskiego. Idea stojąca za EWP jest taka, by nie tylko używać poezji do rozmowy, ale by wychodzić poza krąg języków dominujących, takich jak na przykład angielski.

W tym roku udało się spełnić te postulaty bardziej niż dobrze. Nie tylko dostaliśmy książkę przełożoną przez Jacka Godka z języka islandzkiego, ale i na dodatek tytuł książki Lindy Vilhjálmsdóttir brzmi *Wolność*. Autorka, obywatelka państwa, któremu wielu zazdrości poziomu rozwoju społecznego i ekonomicznego, celnie i bez lęku wylicza zagrożenia związane z życiem w społeczeństwie przeżartym konsumpcjonizmem, tak sytym i leniwym, że zapomniało, co to znaczy właściwie być wolnym i jak z tej wolności korzystać, jak ją wykorzystywać we wspólnej, ludzkiej, ziemskiej sprawie. Dla Vilhjálmsdóttir jasne jest bowiem, że myślenie w kategoriach tylko państwa czy narodu jest przepisem na gwarantowaną klęskę. Książka, którą właściwie można traktować jak poemat w trzech częściach, stawia pytania, zostawia czytających z nimi, nie daje łatwych recept, porad ani rozwiązań. Pobudza do myślenia, zmusza do ruszenia w podróż, może w rytm kolejnych wierszy (podróż do Palestyny jest tą najważniejszą) wybijania się z letargu, czy z poczucia oczywistości. Ta otwarcie zaangażowana książka konfrontuje nas, żyjących w tej dostatniejszej i spokojniejszej części świata, z następującym odkryciem: z prawami, jakie zdobyliśmy lub odziedziczyliśmy, wiążą się również obowiązki wobec tych, którzy równym prawom nie podlegają. Przywileje, z których korzystamy, mają dodawać nam sił do podejmowania aktywności, pomagać przełamywać poczucie bezsilności i bezradności wobec losu własnego i innych, również tych wszystkich, których wcale nie znamy.

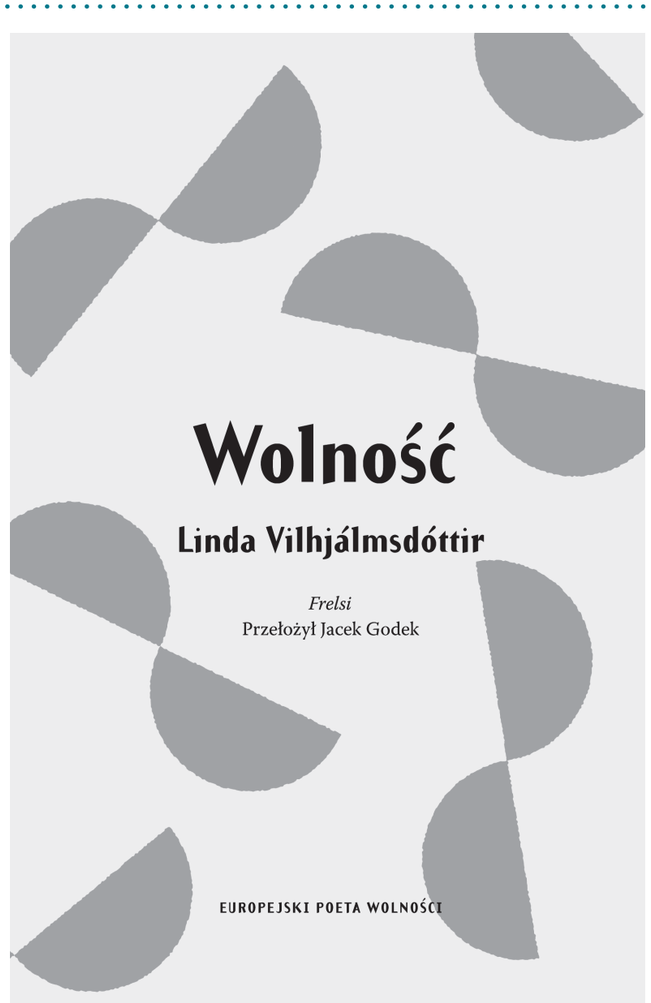

Linda Vilhjálmsdóttir, ***Wolność***
Przełożył: Jacek Godek
Europejski Poeta Wolności
Instytut Kultury Miejskiej, Gdańsk 2018

Anna Marchewka | krytyczka literacka, doktor nauk humanistycznych, związana z Uniwersytetem Jagiellońskim. Wydała *Ślady nieobecności. Poszukiwanie Ireny Szelburg* (2014).

Pierwsze polskie wydanie wierszy
Elfriede Gerstl
w wyborze i przekładzie
Ryszarda Wojnakowskiego

AUSTERIA

austeria.pl

jestem tak wolna
jak mogę
jestem tak wolna
jak sobie pozwalam
jestem tak wolna jak
wierzę że jestem
jestem tak wolna
jak inni sądzą że jestem
jestem tak wolna
jak sądzę że
inni o mnie sądzą

Spacer, przechadzka, marsz, pielgrzymka, wędrówka, włóczęga – to tylko niektóre z form pieszego obcowania z miastem i z naturą. Solnit przekonuje, że przemierzanie przestrzeni rzadko bywa niewinne, często ma charakter aktu filozoficznego lub politycznego. Opowieść autorki o dziejach zachodniej kultury swobodnie meandruje od perypatetyków do Rousseau, od Baudelaire'a do marszy antyglobalistów i ekologów.

Tylko w dobrych księgarniach i na karakter.pl!